AMERYKA-POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY LITERACKO-EKONOMICZNY

ROK III — STYCZEŃ 1925 — Nr. 1

CO CZYTAĆ?... ...CO KTO WOLI!

PISMO NASZE, WZORUJĄC SIĘ NA AMERYKAŃSKICH „MAGAZINE'ACH", DAJE TREŚĆ JAKNAJBARDZIEJ UROZMAICONĄ.

A więc przedewszystkiem dwa opowiadania: *jedno osnute na tle życia Ameryki Północnej, drugie zaś na tle Ameryki Południowej.* Literatura piękna najlepiej odzwierciadla byt, to też obie nonowelki tak się różnią jedna od drugiej, jak dwa kontynenty amerykańskie. Pierwsza, *„Ślub...?"*, to wyraz życia dojrzałego, tętniącego energją i czynem, to akcja kinematograficzna życia codziennego. Druga *Zemsta „Peroby"* — to pierwotne, nieśmiałe jeszcze, borykanie się człowieka z otoczeniem, to wvraz niemocy wobec nieukształtowanych stosunków rodzinnych, rasowych i społecznych.

A co to jest *Coney Island?* Co to jest *Broadway w Nowym Jorku?* O tych największych atrakcjach amerykańskich opowiadają stronice opowieści *„Gwiazdy i dolary".*

O prawdziwej *uczcie historycznej*, jaką przeżyła niedawno Warszawa podczas wystawy *„Kościuszko w Ameryce"*, dowie się Czytelnik z opisu tej wystawy oraz z mów wygłoszonych na niej.

„Niemówny Mówca"—„jest to dziś najpotężniejszy władca na całej kuli ziemskiej", który mówi, *„nie wahajcie się być tak rewolucyjnymi, jak nauka; tak reakcyjnymi, jak tabliczka mnożenia".*

Nawet i obieranie kartofli wymaga doskonałości w wykonaniu. Do tej perfekcji doszedł profesor uniwersytetu amerykańskiego, pan *Mierzwa*, o którego ciężkiej a radosnej pracy, o pięknej karjerze i działalności piszą dwa artykuły: *„Od sochy do katedry"* i *„Profesor Stefan Mierzwa".*

Plan Dawes'a—te słowa wszyscy mają na ustach. Wyrzucamy sobie wzajemnie, że *Polacy tworzą zbyt wiele planów!* Nic podobnego! Mało planujemy, a jeszcze mniej ich urzeczywistniamy. *Uczmy się planować na miarę kanałów Panamskich, na skalę Planu Dawes'a.*

Niemcy, jak wiadomo, wiekami studjowali biblję świętą i dlatego też u podstaw życia swego postawili zasadę *„Pukajcie, a będzie wam otworzono".* Pukali, pukali i dobili się... dolarów amerykańskich. Uczmy się pukać!

„Praca" to hasło świata powojennego. Musimy przestać mówić o pracy, a *wziąć się do pracy na wzór pracy amerykańskiej! „List otwarty do polskich byznesmenów", „Przemysł i Ekonomika", „Laborologja"*—do pracy takiej nawołują.

Czy nie jest to fatalnym brakiem naszej gospodarki, że ludność polska, miast wytwarzać bogactwa w kraju własnym, musi oddawać swe siły państwom innym? *O emigracji* mówi artykuł *„Ameryka-Polska".* Sprawom *emigracji do Ameryki Południowej* poświęcimy więcej miejsca w numerach następnych.

Kinematograf obecnie, niemniej niż książka, jest dźwignią cywilizacji nowoczesnej. Artykuł *„Za kulisami ekranu"* mówi nam o technice, tworzącej cuda na ekranie. W drugiem miejscu *Gwiazdy filmowe* zdradzają nam swe ukryte myśli o kochaniu i miłości.

Szczegółowy spis tych i innych ciekawych rzeczy w tym numerze—na ostatniej stronicy.

Wydawnictwo Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 74 (Pałac Staszica).

NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35.

Ślub...?

Czarująca historyjka bez najmniejszego sensu

Tego sensu pozbawił nowelkę sam autor, Amerykanin F r a n k R. A d a m s, który w swej twórczości literackiej, ulegając wpływom kinematografu, daje typową, drgającą życiem i uśmiechem, amerykańską „historyjkę". Ilustruje ją świetny „cartoon'ista" H. Ch. C h r i s t y. Rzecz swego czasu była drukowana w Nowojorskim miesięczniku „C o s m o p o l i t a n".



— Tak, cichy ślub jest rzeczą bardzo przyjemną—zauważyła panna młoda—ale ten... doprawdy nie wyobrażałam sobie nic podobnego".

Sędzia gotów był już do rozpoczęcia ceremonji — rzecz działa się w jego gabinecie urzędowym. Najlepszy z mężczyzn *) oraz najlepsza z kobiet (sama się tak nazwała, czując wstręt do banalnego imienia „druchny") wciąż jeszcze zajmowali się swą garderobą: on poprawiał krawat, ona — swe lniane włosy. Oboje zdradzali silne zdenerwowanie, silniejsze, niż główni aktorzy tej ceremonji, wiedzieli bowiem z własnego doświadczenia wobec jakiej życiowej niespodzianki stają obecnie te dwie rybki na jeden haczyk złowione.

Najlepszy z mężczyzn był świadkiem uroczystości ślubnej w zastępstwie brata panny młodej, a jednocześnie przyjaciela pana młodego, który nie mógł przybyć w porę, ponieważ coś go w ostatniej chwili zatrzymało w armji. Zaproszono zatem męża druchny, jako zastępcę świadka.

Było to pomysłem pana młodego, urządzenie takiego ślubu — czuł on się też mile zadowolonym z niego. Pan młody, zresztą, zawsze marzy o cichym ślubie, rzadko jednak urzeczywistniają się jego marzenia. Ta okoliczność, iż narzeczona była sierotą, potęgowała w nim owe chęci.

— Istotnie wydaje się cichym — rzekł on — i otacza nas taka jakaś śmiertelna powaga, jakgdyby orkiestra z siedemdziesięciu osób i biskupem na czele grała nam coś uroczystego.

— Nie chodzi mi w tej chwili o samą ceremonję, mój drogi — odpowiedziała Margery — lecz o cały nasz stosunek. Nikt nie sprzeciwia się naszemu szczęściu, nigdy nie wyrzucano cię za drzwi z mego domu, nigdy nie byłam o ciebie zazdrosną.

— Zato ja byłem — wtrącił Joe.

— To się nie liczy — stłumiła jego nic nie znaczące pretensje.

— Za późno już, Marge, ożywiać teraz w pamięci te wspomnienia—z żalem powiedział Joe.— I sędzia ma wygląd taki, jakgdyby chciał co rychlej załatwić całą tę sprawę. Idziemy! Uwaga, prawe ramię naprzód! Marsz!

Pochód był wcieleniem prostoty. Uszli dziesięć kroków i znaleźli się u celu. Upłynęło dziesięć sekund i sędzia rozpoczął.

Po upływie następnych dziesięciu sekund otwierają się drzwi i rozlega się twardy głos:

— Stój!

Gość, który, nie zważając na protesty sekretarza, wpadł na salę, trzymał prawą rękę w kieszeni palta w taki niedwuznaczny sposób, jakby mógł strzelać stamtąd, nie wyjmując wcale ręki.

Niedarmo sędzia wczytywał się gorliwie w awanturnicze historje Dalekiego Zachodu. Zorjentował się zaraz, iż nie warto oponować. Ceremonjał był przerwany.

Przybysz był istotnie typem zachodnim. Prze-

*) Tak nazywają Amerykanie w potocznej rozmowie drużbę.

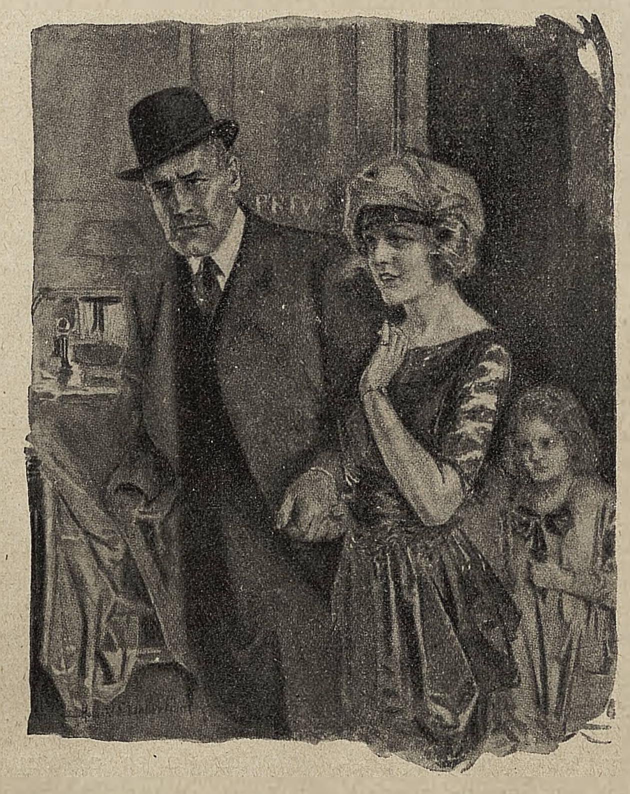
dewszystkiem świadczył o tem zuchwały sposób osadzenia na głowie melonika; następnie — cera mahoniowa, wąsy popielate, obwisłe; obcisłe spodnie, mimo że były wyprasowane, nie mogły ukryć mięśni ud, rozdętych od konnej jazdy.

— Pan jesteś Joseph C. Kelley — nie omyliłem się? — zagrzmiał groźnie przybysz, nieomylnie zwracając się do pana młodego.

— Tak jest — potwierdził Joe głosem skromnym, w którym drżało przerażenie.

— Co takiego? Mów pan głośno, jeśli chcesz się rozmówić ze mną. Straciłem prawie zupełnie słuch w St. Mihiel — i, dalibóg, jeśli nie usłyszę, co pan mówisz, mogę wystrzelić ze zdenerwowania!

— Tak, jestem Joe Kelley, — powtórzył pan młody, żywo kiwając głową, jakby usunąć chciał wszelkie wątpliwości.



— Aha, a to miał być pański ślub? — nalegał niecierpliwie nieznajomy ze złowrogą uprzejmością.

— To jest mój ślub— poprawił Joe głośno i dobitnie. — Moglibyśmy zaprosić nań pana, gdybyśmy wiedzieli, że to go zaciekawi, i wreszcie, gdybyśmy znali nazwisko pana.

Pan młody najwidoczniej odzyskiwał równowagę.

— Nazywam się Clint Loomis — i to samo nazwisko nosi Phyllis — dziewczę, któreś pan obiecał poślubić, jestem jej ojcem!

— Pan Loomis? Bardzo mi przyjemnie poznać pana — nieprzymuszenie zapewnił Joe, wyciągając rękę.

— Nie wierzę temu! — Pan Loomis nie wyjął ręki z kieszeni. — Uścisnę pańską dłoń nie prędzej, aż pobierzecie się z Phyllis, lecz nie przedtem!

— Przyjemność bardzo oddalona — mruknął grzecznie Joe *sotto voce*.

Najniespodziewaniej jednak głuchy jegomość usłyszał, jak to się zresztą często głuchym przytrafia.

— Nie tak bardzo oddalona — pocieszył go. — Phyllis bowiem jest tu w poczekalni, a brat jej, Henry, wnet nadejdzie z biura registracyjnego z papierami ślubnemi. Lada chwila będą tu oboje. Zbyteczne są jakiekolwiek protesty z pańskiej strony. Ja się sam zajmę ceremonją.

Joe nie mógł powstrzymać się od wesołej uwagi, zwróconej do swej niedoszłej małżonki.

— Czyniłaś mi wyrzuty za zbyt skromną ceremonję ślubną. Jakże ci się podoba?

Margery odskoczyła od niego ze złością.

— Postąpiłeś jak gad — syknęła.

Joe wzdrygnął się, niby żądłem ukłuty.

— Nie bierzesz chyba tego na serjo, Marge? Czy nie pojmujesz, iż jest to jakiś aktor, którego nadesłali nam znajomi, by spłatać figla?

— Czy być może?

— Ależ na pewno tak jest! Nigdy w życiu nie oglądałem tego indywiduum w obcisłych spodniach.

— A Phyllis?

— To bardzo ładne imię żeńskie, nie podoba ci się?

— O wiele ładniejsze, niż pospolite Marge — krzywiąc noskiem, odpowiedziała właścicielka tego imienia.

— Zapewniam cię, że tu żadnej Phyllis niema. Jest to zwykłe jakieś nabieranie i nic więcej.

Na te słowa człowiek z Zachodu roześmiał się głosem przykrym i drażniącym. Joe nie mógł znieść tego głosu. Ranił on go boleśniej, niż myśl o rewolwerze, który tkwił w kieszeni intruza, każdej chwili gotowy do strzału. Owładnęła nim straszna obawa. Błyskawicą przeleciała myśl, iż należałoby wreszcie te niedorzeczne pretensje zbadać.

— Jakżeż pan mnie tu znalazł?

— O, to głupstwo. — Znów ten przykry uśmiech. — Ze ślubu swego uczynił pan tajemnicę. Gazety nic o nim nie donosiły, z wyjątkiem zresztą urzędowej rubryki zezwoleń na małżeństwa. Przeglądam ją zawsze razem z cedułą giełdy bydlęcej. W tym właśnie celu biorę do ręki gazety.

Panna młoda, nie hamując gniewu, zwróciła się do swego bezbronnego narzeczonego.

— Dlatego więc chciałeś cichego ślubu? Teraz wszystko zrozumiałam! Jak mogłam dopuścić do tak haniebnej zdrady!

Pan Loomis nie dosłyszał słów, lecz z mowy i zachowania się jej pojął o co chodzi.

— Powiadam pani, to podejrzany człowiek — zapewnił ją. — Mojem zdaniem, powinna pani być

szczęśliwą, że się go pozbywa. Chciałem go podstrzelić, jak tylko dowiedziałem się o jego zamiarze, i dalibóg byłbym to zrobił, gdyby nie Phyllis. Ona słuchać o tem nie chciała, a ja nie mam serca odmawiać jej w czemkolwiek. Powiada, że woli go, niż innych, choćby był ostatnim szubrawcem. Każdy nowonarodzony kociak w naszem gospodarstwie jest pod jej wyłączną opieką; nie pozwala mi zabić żadnego stworzenia, które sobie upatrzy. Docna zepsułem dziewczynę.

W tej chwili drzwi się powtórnie otworzyły i do gabinetu wbiegł spocony młodzieniec, jednak o wyglądzie już nie tak uderzająco zachodnim, jak pierwszy.

— Mam, papo, to, coś chciał — krzyknął radośnie i z jakąś szczególną wyrazistością.—Urzędnik czynił mi przeróżne trudności, lecz wkońcu udało mi się go namówić.

— Czy aby nie śmiertelnie? — spytał ojciec z odcieniem obawy i zarazem dumy w głosie.

— O, nie, zwykły wypadek, wymagający tylko doraźnej pomocy. A więc to ten jest przeznaczony dla Phyllis?

— Tak, nawet gdyby on sam nie uważał się za takiego. Przypilnuj go tu, a ja przyprowadzę Phyllis.

Młodzieniec spojrzał badawczo na przyszłego szwagra.

— Wcale pan nie wyglądasz na takiego faceta, któryby tak ordynarnie obszedł się z moją siostrą. Bądź co bądź, jesteś ptaszkiem nielada, jeśliś otumanił taką królewnę, jak Phyllis.

— Królewnę?... — Margery wybuchnęła długo tłumionym niepokojem. — Czy dobrze rozumiem, że pańska siostra jest bardzo piękną osobą?

Henry wyszczerzył zęby i kiwnął głową.

— Cała uroda naszej rodziny skupiła się w jej osobie i wiele więcej jeszcze nadto. Nie umiem ocenić jej tak, jak człowiek obcy, a przecież rozumiem, że nikt jej dorównać nie może.

Margery nie spytała: „Czy jest piękniejszą odemnie?“ miała jednak taki wygląd, jakgdyby pytanie to rysowało się na jej twarzy, ponieważ młodzieniec ciągnął dalej:

— Oczywiście, jest ona zupełnie innym typem, niż pani. Pani jest brunetką, Phyllis zaś blondynką, cukiereczkiem, kotkiem. Pani jest średniego wzrostu, Phyllis — to malutka przylepeczka, każdy mężczyzna instynktownie pragnie ją wziąć na ręce i tulić, aż się nie przekona, że wre w niej taki ogień, który z rozmiarami jej nie ma nic wspólnego. Nie jest zresztą objawem dobrego wychowania takie przechwalanie swych krewnych. Sądzę też, iż jestem, jak siostra mówi, bez taktu.

Henry zamilkł, lecz Margery nie śmiała potwierdzić słów jego. Joe bujał daleko myślami, rozmyślał i próbował coś zrozumieć. Próżno jednak— w tej bowiem chwili wszedł stary Loomis, prowadząc za rękę Phyllis. Za nimi dreptało prześliczne czteroletnie bobo, prawdopodobnie rodzaju żeńskiego.

Margery nie wytrzymała. Na widok Phyllis wykrztusiła zdławionym, niemal histerycznym głosem:

— Nie pozostanę tu ani chwili dłużej! — Naraz̀ie gniew, zabijając w niej wszystkie inne uczucia, powstrzymał ją od płaczu, lecz z pewnością, gdy była już za drzwiami, rozpłakała się serdecznie. Rozkazującym tonem zwróciła się do druchny i drużby, ciągnąc ich do wyjścia.

— Słuchaj, Marge — próbował zatrzymać ją Joe.

— Nie waż się mówić do mnie!

— Niech się pani nie boi — pocieszył ją stary Loomis — nie będzie on już pani więcej dręczył.— Zdecydowanym ruchem znalazł się pomiędzy Joe a jego niedoszłą małżonką.

Nie można się dziwić, że Margery była doprowadzona do ostateczności widokiem Phyllis, tej „wstrętnej, żądnej rozgłosu jakiejś panny Loomis“. W głębi serca swego wierzyła dotąd jeszcze zapewnieniom Joe, że wszystko to jest jakimś niesmacznym żartem lub mistyfikacją. Ale gdy na własne oczy ujrzała sprawczynię wypadku, pojęła naraz całą gorzką prawdę.

Phyllis była rzeczywistością, jak życie samo, lecz tysiąckrotnie piękniejszą — była odurzającą. Żadna kobieta nie powinnaby znieść obok siebie istnienia Phyllis. Czytelniku, gdybyś był niewiastą, sambyś uczuł w sobie poryw skręcenia jej pięknego karku. Jedna tylko subtelnie wygięta linja górnej jej wargi usprawiedliwiłaby zbrodnię, a barwa oraz tkanka jej cery, co jak listek róży wykwitała z sukni, budziła chęć podrapania tej skóry do krwi. Nawet w sposobie jej ubrania nie było nic, coby mogło przyćmić jej urodę — o ile czarny aksamit przybrany koronkami może być do twarzy blondynce. Sami aniołowie mają w swej pieczy takie kobiety, jak Phyllis! Cóż mogą ich obchodzić inne?

Margery miała oko jak objektyw fotograficzny; spostrzegła to odrazu i żaden szczegół wyglądu Phyllis nie uszedł jej uwagi.

— Przystępujmy do rzeczy — wtrącił ranczer *), jak tylko opozycja ustąpiła. — Panie sędzio, bierz się prędzej do roboty.

— Ależ poczekaj, ojcze! — krzyknęła córka w przerażeniu.

— Czekać? Dość tego! Zbyt już długo czekałaś. Najpierw ślub, potem możesz sobie poczekać!

— Proszę pana — rzekł Joe — nie może mnie pan zmusić do poślubienia kobiety, której nie chcę.

— Nie słyszę, co mówisz — obojętnie przerwał pan Loomis — będziesz się musiał odzwyczaić od mruczenia pod nosem, gdy sprowadzisz się do naszego ranczu. Obecnie jednak możesz sobie mruczeć, co ci się podoba.

*) R a n c z e r pochodzi od słowa r a n c h, co oznacza duże pastwisko dla hodowli zwierząt. Ranczer — ich właściciel, tak samo, jak farmer, właściciel farmy.

— Ależ...

— Sędzio, zaczynaj! — Ranczer istotnie wyjął broń z kieszeni. — Za pół godziny odchodzi mój pociąg do domu, lecz pierwej muszę uszczęśliwić córkę, choćby wszyscy inni poszli do szpitala.

Czy dźwięk jego głosu, który huczał, jak motor lotniczy, czy też widok rewolweru, przestraszyły ciche dotąd dziecko; zaczęło głośno płakać.

Loomis na nic nie zwracał uwagi.

— Sędzio, zaczynamy!

Sędzia obejrzał się, jakgdyby szukał drogi do ucieczki. Nie znalazł jej jednak, zaczął więc drżącym głosem wymawiać swe stereotypowe zdania:

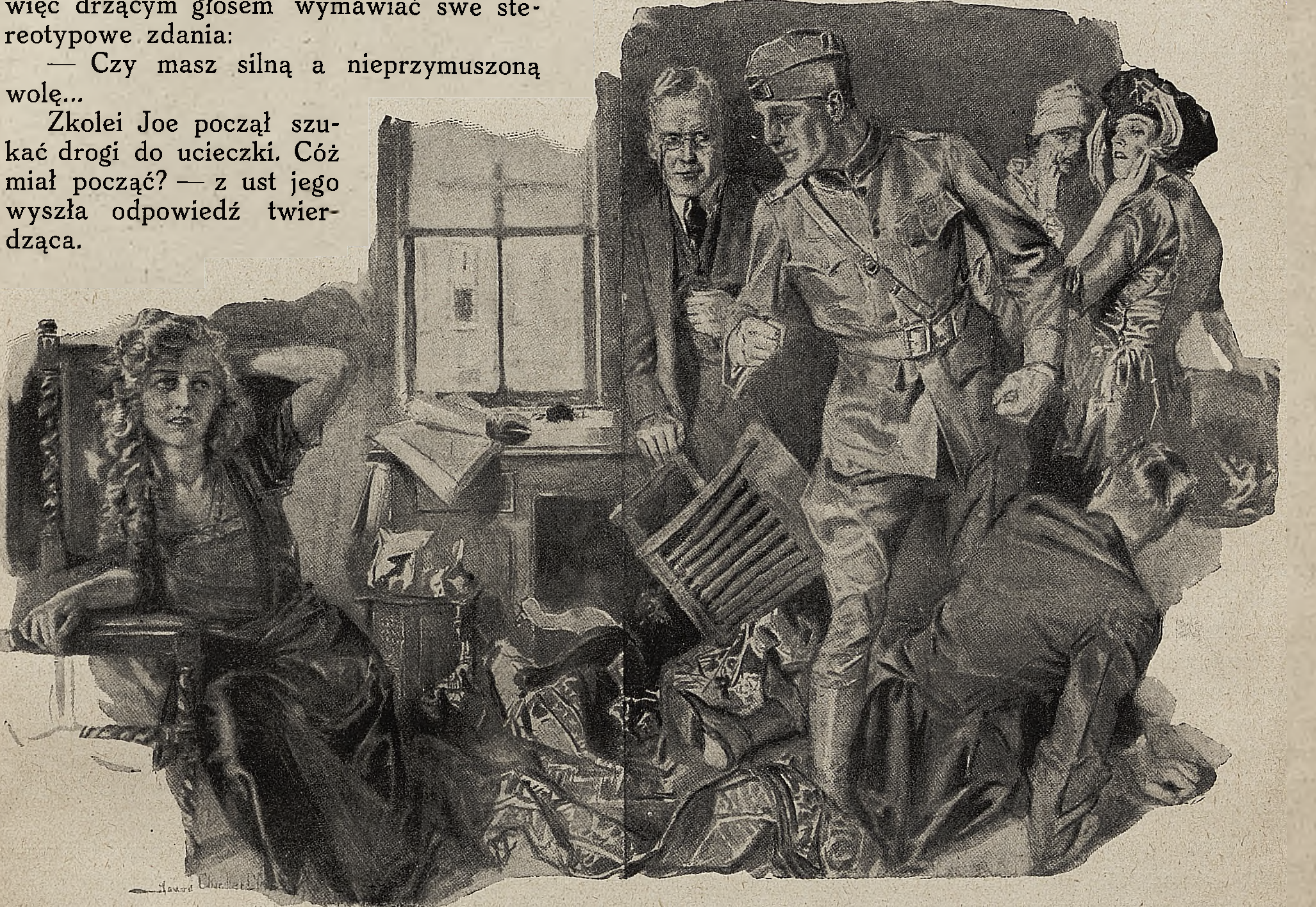
— Czy masz silną a nieprzymuszoną wolę...

Zkolei Joe począł szukać drogi do ucieczki. Cóż miał począć? — z ust jego wyszła odpowiedź twierdząca.

pę—mam podarunek ślubny—dodał, wręczając jej rewolwer. Przyda ci się teraz więcej, niż mnie. Pamiętaj, że ta mięsista część nogi wcale nieźle nadaje się do strzału i nie jest miejscem gorszem od innych. Musisz się nauczyć traktować rzeczy na serjo. Pokoje dla was są już zamówione w hotelu Draymore. Depeszuj, jeśli co zajdzie, i wracajcie zaraz po załatwieniu waszych spraw. All right, Henry — musimy biec, czasu mało! Jeżeli się spóźnimy, stracimy cały tegoroczny zbiór pszenicy".

— Ależ, papo, nie zostawiaj mnie!

— Nie bój się, Phyl. Wszak musisz się przy-



Tymczasem dziecko coraz więcej zwracało na siebie uwagę. Wreszcie i głuchy Loomis usłyszał jego przeraźliwe szlochanie.

— Uspokój to dziecko, Phyl! — rozkazał córce. — Zrobisz to lepiej, niż Henry, a ja mam ręce zajęte.

Przygarnęła więc Phyllis dziecko w ramiona, poczęła je pieścić i szeptać do ucha, podczas gdy sędzia kończył swój obowiązek.

Był to wzruszający obraz — piękna młoda kobieta, z dzieckiem silnie przytulonem do łona — bądź co bądź bardzo niezwykły podczas ślubu. Scena ta nie należała do programu uroczystości.

— A zatem — wszystko odbyło się ładnie i składnie — wyraził swe zadowolenie pan Loomis.—A dla ciebie, Phyl,—no ucałuj-że swego pa-

zwyczaić do tego. Chłopcem tym łatwo pokierujesz. Zdaje się, że będzie doskonałym mężem, jeżeli potrafisz go wziąć w ręce, jak ja to zrobiłem— kończył w niewinnym tonie, wychodząc.

Phyllis ostrożnie ułożyła śpiące dziecko w fotelu sędziowskim. Dopiero teraz mogli państwo młodzi przyjrzeć się sobie dokładnie.

— Ja pani nigdy w życiu nie widziałem — oświadczył Joe.

— I ja pana pierwszy raz widzę. Pan nie jest tym prawdziwym...?

— Nie jestem kim?

— Tym prawdziwym Joe Kelley.

— Łaskawa pani — wtrącił sędzia — czemuż więc żądaliście ode mnie ślubu pod pozorem za-

(Dalszy ciąg patrz „na str. 52).

List otwarty

do polskich Byznesmenów *)

Warszawa dn. 15. grudnia 1924.

Szanowni Panowie!

Nie będziemy trudzili Sz. Panów rozmyślaniami na temat, czem jest prasa w życiu społecznem i jaką ona winna grać rolę w zakresie ich działalności.

Jedno jej określenie jednak przytoczyć musimy, a mianowicie: prasa jest zwierciadłem życia społecznego.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż nasze życie społeczne drga najżywotniejszem tętnem; można się raczej obawiać, iż puls jego jest wyższy od normalnego.

Krzywa takiego stanu rzeczy odzwierciedla się też w naszej prasie ogólnej. Niema miesiąca, nawet tygodnia, by nie pojawiło się nowe pismo, czy to dziennik, tygodnik czy miesięcznik, jako wyraz pewnych potrzeb, nurtujących pod powierzchnią świadomości społecznej.

Jedne giną, nie znalazłszy gruntu życiodajnego; inne — wegetują z braku niezbędnych dla ich rozwoju pierwiastków niejako chemicznych; jeszcze inne, jak grzybki pasorzytnicze, plenią się na zgangrenowanych miejscach organizmu społecznego. Wyjątkowe tylko pisma polskie, zdrowe w swem założeniu i celowe w swych dążeniach, znajdują podatny grunt dla swego rozwoju — stały się bowiem wyrazem i prawdziwem zwierciadłem zdrowych i celowych objawów naszego życia.

Jednem z tych ostatnich jest właśnie nasze pismo „Ameryka-Polska". Torując sobie uporczywie drogę śród różnych trudności doby ubiegłej, „Ameryka-Polska" już od dwóch lat dąży do wypełnienia tej luki w naszej prasie, jaka się od czasu odbudowy państwa tak zdecydowanie odczuwać daje. Luką tą jest organiczna potrzeba zekonomizowania naszego narodu!

Jakim przyczynom zawdzięcza Ameryka swą potęgę, swą niemal że hegemonję nad światem całym? Nie uspokajajmy swego sumienia bezradną wymówką, że sprawcą tego jest jakoby wyższa rasa, ta krew „anglo-saska", która tętni w żyłach Amerykanów. Ameryka zawdzięcza swą potęgę głównie ogólnej sumie tej pracy ludzkiej, pracy wytężonej i celowej, jaką każda jednostka wkłada w ogólny organizm państwowy. Wyniki tej pracy ogniskują się w instytucjach i przedsiębiorstwach amerykańskich w taki sam sposób, jak w skarbcach państwowych i w wielkich bankach koncentrują się drobne grosze publiczne, tworząc ogromne kapitały. Jeżeli więc przyznalibyśmy, że rasa anglo-saska posiada więcej woli i chęci do pracy, niż rasa słowiańska, to wówczas też przyznać musielibyśmy wyższość jej nad nami. Oto do czego można sprowadzić socjologiczną zagadkę wyższości ras.

Lecz trudno pogodzić się z myślą, byśmy pracować nie chcieli; jeżeli cokolwiek przeszkadza nam w tej chęci do pracy, to chyba tylko niedostateczna umiejętność jej, niedostateczne skoordynowanie naszej pracy fizycznej z umysłową, pewne przestarzałe metody tej pracy. A tych rzeczy zawsze nauczyć się można w takiej samej zresztą mierze, jak uczymy się w szkołach, uniwersytetach, akademjach, w biurach i w fabrykach najnowszych zdobyczy naukowych czy technicznych, dochodzących do nas codziennie z zachodu.

Oto właśnie cel, który stawia przed sobą „Ameryka-Polska", by w jasnych, prostych, możliwie ciekawych i możliwie pięknych obrazach zaznajomić nasze społeczeństwo z temi faktami i metodami pracy amerykańskiej, które wprowadzają, i słusznie, świat cały w podziw największy.

O jednym z tych przejawów umiejętnej i zharmonizowanej pracy amerykańskiej pragniemy właśnie zakomunikować Sz. Panom.

Nie dość jest pracować samemu — praca osobista, indywidualna winna promieniować i zapładniać innych. W Ameryce promieniuje też ona poprzez dziesiątki i setki czasopism i tysiącami artykułów zapładnia innych. Każdy kierownik, dyrektor, szef oddziału, oraz ich zastępcy i najbliżsi pomocnicy we wszystkich dziedzinach przemysłu, handlu, bankowości, transportu, administracji państwowej etc. uważają sobie, jako naczelny obowiązek, najmniejsze ulepszenie w swej pracy codziennej podawać zaraz do ogólnej wiadomości. W ten sposób każdy z wymienionych byznesmenów z największą ciekawością oczekuje wyjścia z pod prasy interesujących go pism, albowiem zgóry jest przekonany

*) Objaśnienie wyrazu „Byznesmen" znajdzie czytelnik we wrześniowym numerze „Ameryki".

o tem, że znajdzie w nich nowe myśli i idee, nowe wskazówki i ulepszenia, które będzie mógł zastosować u siebie i tem samem przyniesie korzyść temu przedsiębiorstwu, w którem pracuje.

Z drugiej strony każdy z tych byznesmenów ma o tyle naprężoną ambicję własną, iż pragnie, by jak najszerszy ogół w zakresie jego fachowej pracy miał dokładne wiadomości o jego działalności.

W y t w a r z a s i ę w i ę c t a k s i l n e f a c h o w e s p ó ł z a w o d n i c t w o, o p a r t e, r z e c z p r o s t a, n a e t y c e p r o f e s j o n a l n e j, o j a k i e m m y t u t a j w P o l s c e p o j ę c i a n i e m a m y. J e d n a k t a k i e w ł a ś n i e s p ó ł z a w o d n i c t w o j e s t j e d y n ą g w a r a n c j ą w z m o ż e n i a n a s z e j k o l e k t y w n e j p r a c y i w ł a ś c i w e g o j e j z o r g a n i z o w a n i a!

Chodzi więc nam o to, by Sz. Panowie uczynili z naszego pisma swoją własną i n t e l e k t u a l n ą g i e ł d ę, na której będzie się odbywała najżywsza i największej aktualna wymiana wszystkich praktycznych wartości, wytwarzanych osobiście przez Sz. Panów w zakresie ich działalności.

Jeżeli pewne przedsiębiorstwo w wyniku pewnego ulepszenia obniży koszta własne chociażby o 1%, to będzie ono miało w najlepszym wypadku kilka tysięcy złotych zysku. Jeżeli zaś ulepszenie to będzie zastosowane w całej odnośnej gałęzi przemysłu, to korzyści dla całego państwa wyrażą się już w miljonach złotych. Tę samą zasadę można zastosować i do handlu przy organizacji zbytu i zakupów, i do urzędów państwowych przy organizacji pracy biurowej, i do każdej innej działalności ludzkiej.

Że powierzchowne pojęcie o konkurencji zawodowej nie ma z tą zasadą nic wspólnego, najlepszy dowód daje nam właśnie Ameryka.

Tak więc, Sz. Panowie, w myśl naszego założenia, iż prasa jest zwierciadłem życia społecznego, niechaj nasza „Ameryka-Polska" będzie tem zwierciadłem, w którem każdy z Sz. Panów ujrzy odbicie tego potężnego procesu reorganizacyjnego, jaki się obecnie odbywa w naszem życiu gospodarczem. Jeżeli w tym procesie reorganizacyjnym oprzemy się na faktycznych i realnych zdobyczach amerykańskiej pracy, wówczas przyszłość nasza wobec konkurencji sąsiadów i Europy całej będzie zapewniona. Lecz jest to c o n d i t i o s i n e q u a n o n!

Zapraszamy więc Sz. Panów do nadsyłania nam swych artykułów z zakresu Ich codziennej praktycznej działalności, przynoszącej czy to przedsiębiorstwu czy to instytucji Sz. Panów chociażby 1% oszczędności.

Zasłużą sobie Sz. Panowie na wdzięczność całego społeczeństwa, a Redakcja pisma naszego oprócz wdzięczności będzie w miarę sił kompensować pracę Sz. Panów.

Wierząc najmocniej, iż apel nasz do poczucia obowiązku Sz. Panów względem swego zawodu, oraz do poczucia obywatelskiego względem swego Państwa znajdzie jak najżywszy oddźwięk, kreślimy się

z poważaniem

REDAKCJA
„AMERYKA-POLSKA".



Niemówny Mówca

Calvin Cooligde

Wola obywateli amerykańskich powierzyła godność Prezydenta Stanów Zjednoczonych na dalsze czterolecie Calvinowi Coolidge'owi. Jest to dziś najpotężniejszy władca na całej kuli ziemskiej. Ani mierzyć się z nim innym prezydentom republik, a tem mniej ukoronowanym niedobitkom, trzymającym się jeszcze, tu i owdzie, rozchwierutanych tronów. Najpotężniejszy z monarchów, Jerzy V, nosi wprawdzie szumny tytuł króla Anglji, Szkocji i Irlandji, cesarza Indyj i Posiadłości Zamorskich, i siedzi dość twardo na swym stolcu, jako reprezentant majestatu Wielkiej Brytanji i jedyny symbol-łącznik całego Imperjum; ale władzy nie ma żadnej: ma jej mniej, niż który bądź z jego pełnoletnich „poddanych" płci obojga! Natomiast p. Coolidge dzierży rzeczywistą władzę i to w całej pełni. Prawodawstwo należy w Ameryce do Izb, wymiar sprawiedliwości do sądów; — poza tem— związkiem 48 Stanów i 110 miljonami wolnych obywateli, produkujących niesłychane bogactwa, rządzi samowładnie przez swoich ministrów Prezydent, mając ponad sobą jedynie Konstytucję.

Taki ogrom władzy, kierownictwo największem w dziejach świata przedsiębiorstwem ekonomicznem, jakiem są Stany, wymaga nie tylko niezwykłej bystrości umysłu, lecz i niesłychanego wysiłku pracy. Mogła królowa Wiktorja rządzić chlubnie lat kopę zgórą i nie zmęczyć się bardzo; drugiego czterolecia władzy nie wytrzymały siły ani Wilsona, ani Hardinga, iż zgoła Amerykanie zadają sobie pytanie, czy to nie przechodzi sił ludzkich. A co cztery lata stają przed innem pytaniem, na które dać muszą odpowiedź natychmiastową: gdzie szukać takich tytanów mózgu i mięśni, coby sprostali nadludzkiemu wysiłkowi? Na to pytanie dają odpowiedź dzieje Stanów. A odpowiedź ta brzmi: wielkość Stanów polega na ich instytucjach, a nie na ludziach wyjątkowych. Gdy chodzi o wybór prezydenta, nie szukać nad-ludzi, ludzi genjalnych, lub bodaj ludzi nad miarę wybitnych; włodarzem Stanów winien być człowiek zrównoważony i wytrawny, nie z genjalnemi porywami, lecz ze spokojnym sądem i źrałą rozwagą, na którą liczyć można zawsze, stróż praw bezwzględny. Od tego prawidła trzy były tylko wyjątki: Waszyngton, Lincoln i Wilson, a jeszcze dwaj ostatni uczynili niespodziankę, okazując się większymi, niż to sądzono w chwili ich wyboru. Zdawaćby się mogło, że tam, gdzie o wyborze decydują miljony, największe widoki mieć winien wielki mówca-demagog, pociągający za sobą masy wymową namiętną a złotoustą. Wszak nie tak dawno był taki: parokrotny, nieszczęśliwy kandydat, W. Bryan, co natchnionem słowem wszędy olśniewał i porywał słuchaczów, co na usługach myśli jasnej, a wzniosłej miał i dar wymowy, wręcz niebywały, i prześliczny głos, tak potężny, że na zgromadzeniu 30.000 wyborców (sam słyszałem) każdy wyraz zosobna wbijał dosadnie we wszystkie uszy i mózgi. Wszędy też zbierał grzmiące oklaski, a zamknięty w sobie, trzeźwy Mac Kinley — głosy.

Gdyby wymowa rozstrzygała o wyborze prezydenta Stanów, nie siedziałby pewno dzisiaj p. Coolidge w Białym Domu. Czyż więc p. Coolidge nie jest mówcą? Jest, i to nie byle jakim. A jednak sądzę, że na licznem zebraniu przegadałby go snadnie byle pyskacz czy pleciuga. Coolidge jest mówcą, lecz nie jest krasomówcą. Unika wszelkich dźwięcznie brzmiących a efektownych zwrotów, a mowę swą układa jako problem myślowy, ujęty w wywód logiczny, ścisły, wyrażony najmniejszą liczbą wyrazów, niezbędnych do uwypuklenia wątku. Mowy jego nazwaćby można suchemi, gdyby nie to, że z za każdego z tych skąpych słów wyziera, przyczajona za niem, głębia myśli i uczuć. Na wieść o zawieszeniu broni Coolidge, wówczas gubernator w Nowej Anglji, wydał proklamację, której wątek taki:

„...Dzięki poświęceniu swych żołnierzy, Stany patrzą w przyszłość ufnie. Wojna jest panowaniem siły; pokój — panowaniem prawa. Gdy pielgrzymi przybili do brzegów N. Anglji, wezwawszy Boga na świadka, postanowili wprowadzić słuszne prawa i zapewnić im posłuch. Było to 11 listopada 1620 r. 11 listopada 1918 r. ostatnia twierdza siły uległa żądaniom Ameryki i Sprzymierzeńców i zgodziła się odłożyć miecz, a poddać się prawu... Niech odtąd kres będzie wojnie i sile, a zapanuje pokój i prawo".

Oto macie całą „niemowną" wymowę Coolidge'a! Czy można było górniej spojrzeć na wielką chwilę? zwięźlej wyrazić swe c r e d o w misję dziejową Ameryki i przyszłość ludzkości?

Mam przed sobą cały tom, zbiór mów Coolidge'a *) wygłaszanych w czasach, gdy był prezesem

---

*) HAVE FAITH IN MASSACHUSETTS. A Collection of Speeches and Messages by Calvin Coolidge. Boston and New York. Houghton Mifflin Company.



(The New York Times). *Prezydent Cooligde podczas urlopu letniego stale pracuje na farmie. Widzimy go tutaj ładującego siano na wóz.*

senatu, następnie gubernatorem Stanu Massachusetts w N. Anglji: tej pierwszej siedzibie „pielgrzymów", kolebce i ostoi tradycyj amerykańskich. Mam je streszczać? Jak streścić mowy, w których niema zbytecznego wyrazu, ujęte przez mówcę w zwroty tak spoiste i zwarte, jakgdyby nie miały być wyrzucane lotnem słowem, lecz ryte na spiżu? Więc, rad nierad, ograniczę się do przytoczenia garści takich zdań krótkich i urywanych, z których Coolidge, jak z kamieni ciosowych, buduje swe sklepienia myślowe:

„Ludzie nie robią praw; oni je tylko odkrywają. Prawa muszą mieć usprawiedliwienie w czemś więcej niż w większości. Muszą mieć wieczyste podwaliny słuszności. Najlepszą jest ta forma rządu, która ma najsprawniejsze organy do odkrywania praw. Najbliższym doskonałości systemem, jaki dotąd rozum stanu wymyślił, jest system reprezentacyjny. Jego słabe strony są słabemi stronami natury ludzi, co go stosują. Jego siła polega na tem, że nawet w tych warunkach daje ludziom więcej dobrego, niż dał jaki bądź inny system".

„Żaden rząd nie może zwolnić nas od pracy. Ludzie normalni sami dbać muszą o siebie. Samorząd oznacza samowystarczalność".

„Nie wahajcie się być tak rewolucyjnymi, jak nauka; tak reakcyjnymi, jak tabliczka mnożenia. Nie podniesiecie słabych poniżeniem silnych. Nie śpieszcie się z nowemi prawami: dajcie rządowi możność doścignięcia prawodawcy".

„Sam dobrobyt nie wystarcza, choćby zarobki spadały, jak liście jesienne. Człowiek ma naturę duchową. Do niej się odezwij, a zwróci się ku tobie, jak igła busoli do bieguna. Niech do niej, nie do samolubstwa, odzywają się nasze prawa. Niech i najniższym, spełniającym najpodlejszą pracę, obwieszczają ich obywatelską godność, równającą ich z tymi, co pracują u szczytów. Taka jest dro-

ga do równości wobec prawa. Taka jest podwalina wolności pod prawem. Takie jest wzniosłe objawienie o stosunku człowieka do człowieka: — Demokracji".

„Gdyby zarobki otrzymywać można bez pracy, praca straciłaby siłę kupna. Bo w swej istocie cena produktu jest wykładnikiem trudu włożonego w jego osiągnięcie".

„Po wieku krytyki religijnej nastał wiek krytyki ekonomicznej. Jak z tej krytyki podstawy wiary wyszły oczyszczone i wzmocnione, tak będzie i z ekonomicznemi... Lecz w swym postępie człowiek robi krok za krokiem. Nie było w dziejach wypadku, by przeskakiwał stopnie: by z epoki kamiennej wskoczył wprost do bronzowej, lub z despotyzmu do demokracji".

„Historja ziszcza się tylko czynami... Bez Waszyngtona Deklaracja Niepodległości byłaby czczą gadaniną marzycieli, byłaby, jako miedź brzękająca albo cymbał brzmiący".

„Dobrego rządu nie nabędziesz na targowicy publicznej". „Program stronnictwa musi mieć określone granice; na tych granicach zaczyna się patrjotyzm". „Nie dopuśćmy, by powstały dwie klasy obywateli: jedna, co żyje z rządu, druga, co ten rząd opłaca".

„Patrjotą jest ten, co gotów cierpieć, by Ojczyzna zyskała; paskarzem — kto chce zysków kosztem cierpienia Ojczyzny". „Minęły czasy, kiedy każdy mógł robić, co chciał, ze swą własnością. Kto nie używa swej własności dla powszechnego dobra, ten się naraża na utratę samego tytułu własności".

„Suwerenność nasza tkwi w prawach każdej jednostki, każdego obywatela, które chronić winniśmy przeciw wszystkiemu i przeciw wszystkim". „Zbudowaliśmy swe instytucje na prawach jednostki". „Toczyliśmy wojny, by ograniczyć prawa rządu, a rozszerzyć prawa jednostek". „Nie chcemy, by rząd za nas kupował i sprzedawał, my to robić będziemy sami". „Celem wszystkich naszych instytucyj jest ochrona praw jednostki. Nie dbamy, jaka siła, jakie bogactwa, jakie wpływy, jaka liczba za kimś stoi. Każdy najskromniejszy obywatel wiedzieć i czuć musi, że prawa jego osobiste ochronione będą całą mocą rządu przeciw wszelkiej sile, wszelkiej przewadze, wszelkiej liczbie".

„Cnoty wojenne zachować musimy i na czas pokoju. Lecz stać się to nie może kosztem wolności jednostki. Nie na to chcemy pognębić Kaizera, by się mu upodobnić; nie chcemy wspomagać Rosji, spadając do jej poziomu. Despotyzm pruski jest naturalnym sprzymierzeńcem bolszewizmu; obaj jednakowo gnębią. My podjęliśmy wojnę, by zachować nasze instytucje, którym zawdzięczamy wielkość".

„Urągają nam Niemcy, że walczymy, ramię przy ramieniu, z kolorowemi wojskami. My się tem chlubimy, my, cośmy walczyli za wolność wszystkich ludów, bez względu na kolor skóry. Gdy nadejdzie pora, pokonanemu despotyzmowi pruskiemu posłaćby należało jednego z naszych murzynów, by z jego ust posłyszeli, jakie warunki podyktuje im naród amerykański".

„Bez moralnych podstaw, żadna armja nie starczy do odniesienia zwycięstwa. Gdy mieczem przeważymy szale wojny, musimy przeważyć szale pokoju moralną siłą Ameryki. Do nowego świata, odrodzonego sprawiedliwością, wprowadzimy nie tylko uciemiężone ludy Europy, lecz wejdziemy tam sami. Ofiarą swą i poświęceniem, łzami i krwią, Ameryka zbudzi się, by wznowić dzieło Waszyngtona i Lincolna: utrwalenie podstawy prawa".

„Nie oczekujemy niczego po tej wojnie. Dajemy, a nie będziemy brali. Zwycięstwa pragniemy dla swych ideałów. Ameryka nie oddaje się złudzeniu, że zdobędzie miejsce słoneczne dla silnych, pognębiając słabych. Ameryka pragnie raczej oddać swe siły na usługi słabych, by zdobyć należne jej miejsce u potomnych".

* *
*

Tak mawiał Calvin Coolidge nim jeszcze był prezydentem Stanów. Rzec można: tak mawiał przyszły prezydent Stanów. Bo z ust jego nie padło nigdy słowo, które nie byłoby godne tego, kto ma prawo przemawiać imieniem wielkiego narodu. I rzecz znamienna i godna uwagi: w całym tomie mów jego nie znajdziesz słowa, co drażni, słowa, co urąga lub boli. A nadewszystko: nie znajdziesz ani razu słowa „ja". Niema w nich śladu zgryźliwej lub ponurej goryczy, jeno wszystko opromienione pogodną powagą. Ten człowiek nie wywyższa się nigdy, nigdy nie prawi o swych czynach i zasługach, a już zgoła przenigdy nie przeciwstawia swej osoby Narodowi, przed którego majestatem ze czcią zawsze staje, jak przystoi, „na baczność", przejęty jedyną troską o Jego wielkość i chwałę. Nie zapatrzony we własny pępek, obejmuje wzrokiem horyzonty szerokie, wypatrując w nich dróg, wiodących ku jasnej przyszłości, i uważając sobie za wielki zaszczyt, że danem mu jest torować ku niej szlaki swemu Narodowi, na którego usługi oddaje wszystko, co ma szlachetnego w duszy, z korną, synowską czcią i miłością.

Takim w zwierciadle swych mów przedstawia się ten skromny, cichy człowiek, w którego ręce miljony wolnych obywateli złożyło władzę taką, jakiej poza nim nikt nie posiada na ziemi. Ten chyba godny swojej bajecznej karjery.

Tadeusz Żuk Skarszewski.

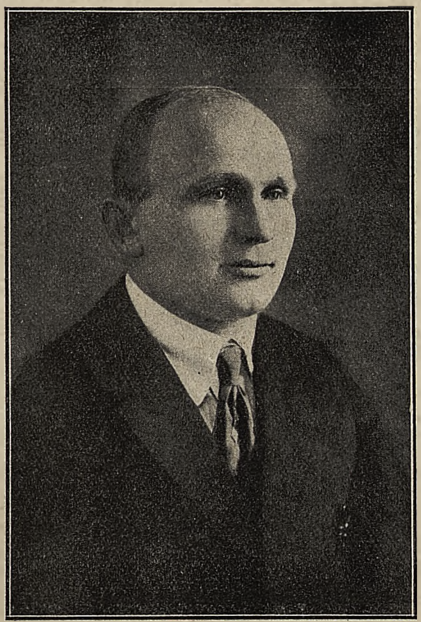
ALLISON GRAY *TŁUM. A. M.*

Od sochy do katedry

Barwny życiorys profesora Stefana Mierzwy, który jako prosty chłopiec ze wsi polskiej znalazłszy się na gruncie amerykańskim, w ciągu jedenastu lat pracy dochodzi do katedry uniwersyteckiej

OD REDAKCJI.

Artykuł niniejszy ukazał się w amerykańskim miesięczniku „The American Magazine", nakład którego przewyższa dwa miljony egzemplarzy. Na opublikowanie tego życiorysu uzyskaliśmy łaskawe zezwolenie Szanownego Profesora, jak również Redakcji amerykańskiego pisma. Przykład karjery życiowej prof. S. Mierzwy utwierdza nas w przekonaniu, że nie koniecznie trzeba posiadać w swych żyłach „błękitną" krew rasy anglo-



saksońskiej, by sprostać zadaniom nowoczesnej kultury i cywilizacji. Wystarczy na to naszej zdrowej, czerwonej krwi polskiej, by poprzez pracę stałą, ciągłą i wytrwałą, poprzez potężną wolę do tej pracy nad sobą, dojść do wyników wprost zdumiewających. Prof. S. Mierzwa, który w angielskim języku pisze swe nazwisko Stephen N. Mizwa, obiecał nam łaskawie spółpracownictwo w naszem piśmie. Czytelnicy zapewne będą z niecierpliwością oczekiwali prac tego wybitnego „self-mademan'a.

Pewnego popołudnia w lutym r. 1910 siedemnastoletni chłopiec polskiej narodowości stał na pokładzie statku, na którym przewożono z wyspy Ellis Island do Nowego Jorku tylko co przybyłych emigrantów. Zmierzch szybko zapada w dni zimowe, więc też wysokie gmachy Nowego Jorku, zajmującego słynną wyspę Manhattan, gorzały już miljonami świateł.

Nawet ci, którzy go już nieraz oglądali, widokiem tym nigdy się znudzić nie mogą, lecz na młodzieńca z za morza, który ujrzał go pierwszy raz w życiu, widok ten wywarł nigdy niezapomniane wrażenie.

Jednak nie był on tem zdziwiony. Chłopiec spodziewał się ujrzeć Amerykę, jako kraj wielki, piękny i cudowny. Stwierdził też więc pierwszy jej przebłysk, jako realne urzeczywistnienie swych długich marzeń.

Od tego pamiętnego popołudnia upłynęło już czternaście lat i p. Stefan Mierzwa, on to bowiem był owym chłopcem, ani jednego razu nie doznał w Ameryce rozczarowania. Był nędzarzem, kiedy wylądował, i bez żadnego zgoła wykształcenia. Nie mógł się poszczycić znajomością ani jednego wyrazu angielskiego. Jednakże po upływie dziesięciu lat dobija się dyplomu uniwersyteckiego i otrzymuje t. zw. żeton Phi Beta Kappa, najwyższe odznaczenie, upoważniające do otrzymywania stypendjum.

W następnym roku jeden z najpoważniejszych uniwersytetów amerykańskich, Harvard, zaszczyca go tytułem naukowym Master of Arts, a w kilka miesięcy później zostaje asystentem na uniwersytecie Drake, w Des Moins, stanu Iowa; jest to zakład naukowy o wybitnych siłach i z liczbą studentów przeszło dwa tysiące.

Historja karjery p. S. Mierzwy jest dla mnie takim samym oślepiającym widokiem, jakim był dla niego widok świateł Nowego Jorku, jest to bowiem historja, która podnieca naszą dumę nie tylko przez wzgląd na cudowną naturę ludzką, lecz także i ze względu na to, że żyjemy w tak wyjątkowym kraju.

Opowiadał on mi to właśnie, gdy siedzieliśmy w jego gabinecie w gmachu uniwersyteckim; opowiadał zaś nie jak o rzeczach pełnych trudu i udrę-

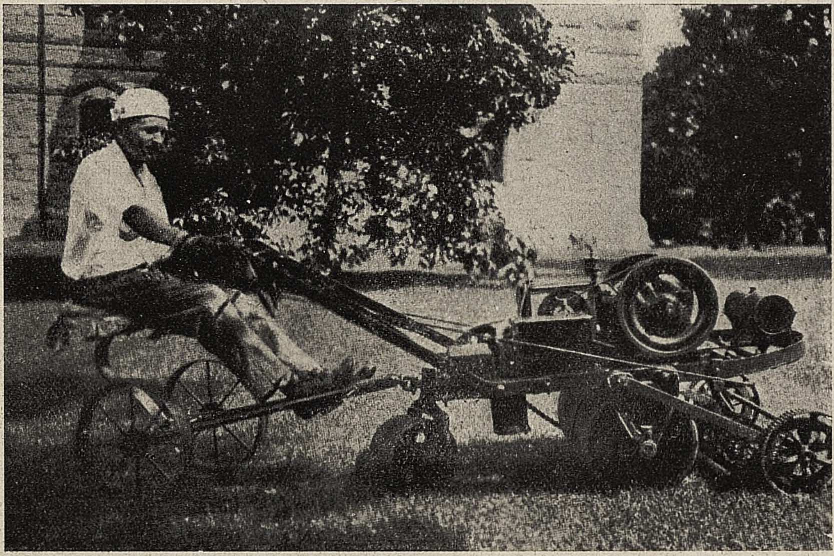
ki, lecz jak o losach pełnych szczęścia. Wypadki i zdarzenia, które innego człowieka wprowadzałyby w stan smutku, zdawały się wywoływać w prof. Mierzwie tylko nastrój humorystyczny.

Urodzony w Polsce trzydzieści dwa lata temu, był najstarszym z pośród trzynaściorga dzieci oraz jedynym synem, który ostał się przy życiu i wyrósł. Ojciec jego, wieśniak, pracował na roli i uważany był w okolicy za zamożnego gospodarza, ponieważ posiadał piętnaście morgów ziemi, gdy inni pracowali na trzech — czterech morgach. Jednak ta okoliczność bynajmniej nie przynosiła ulgi małemu chłopcu, ojciec bowiem ustawicznie zapędzał go do roboty w gospodarstwie i dopiero po ukończeniu dziesięciu lat zaczął on chodzić do szkółki wiejskiej.

najmniej raz na tydzień do teatru, wówczas i ja postanowiłem jechać do tej krainy z bajki.

„Jak pan widzi, motywy mego przyjazdu do Ameryki były niebardzo wzniosłe. Wprawdzie i w Polsce spożywaliśmy pokarm trzy razy dziennie, czasami nawet i cztery razy; lecz, mówiąc szczerze, nasze menu nie należało do urozmaiconych. W niem prawie nigdy nie figurowały ani mięso, ani ciastka. Jednakże gorąco pragnąłem życia więcej dostatniego, a także bogatszego jadłospisu.

„Program mego życia codziennego był mniej więcej taki: Wstawałem zwykle ze wschodem słońca — trudno orzec o której godzinie. Mieliśmy wprawdzie zegar w domu, lecz ponieważ zwykle się spóźniał, więc też nie zwracaliśmy na



Pan Mierzwa kosi trawę.

„W piętnastym roku — ciągnął swe opowiadanie — chciałem koniecznie dostać się do średniej szkoły, by nauczyć się czegokolwiek więcej ponad pracy na roli. Lecz ojciec mi wytłumaczył, że on, zarówno jak i dziadek mój i pradziadek wszyscy pracowali na wsi, byłoby więc głupio z mej strony dążyć do czego innego. Nawet przy pomocy mej matki nie mogłem namówić ojca na zgodę.

„Mniej więcej w owym czasie pewien człowiek z naszej wsi, który przedtem wyemigrował do Ameryki, przyjechał w celu zabrania swej rodziny do nowej ojczyzny. Człowiek ten był ubrany w miejski garnitur, miał krochmalony kołnierzyk, szary jedwabny krawat; miał nawet zegarek na prawdziwym złotym łańcuszku. Byłem olśniony tym całym przepychem. I kiedy słuchałem jego całkiem nieprawdopodobnych opowiadań o tem, jak ludzie w Ameryce jadają mięso trzy razy dziennie, mają ciastka, kiedy zechcą, pracują tylko osiem lub dziesięć godzin na dobę i chodzą przy-niego żadnej uwagi. Natychmiast po ubraniu się wychodziłem na dwór do krów. Kiedy nastał czas chodzenia do szkoły, jedna z moich sióstr musiała się zaopiekować krowami.

„Cały nasz pokarm składał się z produktów, wytwarzanych we własnem gospodarstwie, a więc z żyta, pszenicy, jęczmienia, kapusty, kartofli oraz z mleka. Matka moja robiła wprawdzie masło, lecz przeważnie na sprzedaż. Mieliśmy także kury, rzadko jednak próbowałem je — chyba że byłem chory lub kura była chora. Co się zaś tyczy jaj, to kiedy sprawowałem się dobrze w ciągu tygodnia, matka nagradzała mnie jajecznicą w niedzielę.

„Rzecz prosta, pieniędzy na podróż do Ameryki nie miałem, więc w celu zarobienia takowych, nająłem się do pracy w fabryce dachówek, gdzie początkowo zarabiałem jedną koronę dziennie. Za te pieniądze można było kupić dwa funty solonej wieprzowiny, będącej wówczas jedynem mięsem, na którego kupno mogli sobie pozwolić ludzie naszego stanu, z wyjątkiem wielkich świąt.

(Dalszy ciąg p. na str. 59).

Profesor Stefan Mierzwa

Wrażenia osobiste J. E. Ministra Alfreda J. Pearson'a Posła Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn.

Nazwisko profesora St. Mierzwy usłyszałem po raz pierwszy przed kilku laty, kiedy rozpatrywano jego kandydaturę na profesora uniwersytetu w Drake.

Rozmawiałem właśnie z dziekanem Norton'em o sprawach, dotyczących mego wydziału, gdy wręczył mi on list prof. Mierzwy, zawierający odpowiedzi na różne pytania, stawiane obecnie przez wyższe zakłady naukowe wszystkim kandydatom na katedry profesorskie.

Przeczytawszy go uważnie, wyraziłem dziekanowi swój pogląd, iż dwie rzeczy uderzyły mnie głównie: pierwsza — to zwięzłość i łatwość operowania faktami oraz szczerość, nie pozostawiąca nic ukrytego i dająca odpowiedzi w takiej formie, że każda rzecz oddzielnie mówi za siebie. Druga—to jasność określeń i właściwe podkreślenie każdej ważniejszej myśli. Dodałem przytem, że człowiek, który posiada tak silnie rozwinięty umysł analityczny, potrafi każdy najzawilszy problemat doprowadzić do pomyślnego rozwiązania.

Pan Mierzwa przybył do Drake i objął katedrę ekonomiki w charakterze profesora nadzwyczajnego: zdanie moje o jego kwalifikacjach pedagogicznych najzupełniej okazało się słuszne. Nie potrzeba było długo czekać aby się przekonać, że posiada on wszystkie zalety dobrego nauczyciela: głębokie przejęcie się swoim przedmiotem, bardzo logiczny sposób myślenia, pracowitość nadzwyczajną oraz rzadką umiejętność traktowania ludzi i rzeczy. Patrząc na niego, zaciera się utarte mniemanie o pracy, jako przekleństwie ludzkiem. Według niego praca jest łaską, płynącą z wysokości nieprzebranego w swej dobroci bóstwa ku nam śmiertelnym.

W dzisiejszych czasach zwykło się mierzyć wartość i pożytek, jaki nauczyciel wnosi, nie tyle jego znajomością przedmiotu, ani ścisłością wykładu, ile wpływem dodatnim, jaki drogą wiedzy specjalnej stara się wywrzeć na społeczeństwo, na naród, na państwo, a nawet na międzynarodowy układ stosunków. Życie akademickie przestało być uważane, jako etap przygotowawczy do życia — jest ono już życiem samem. Zarówno ci, którzy się uczą, jak i ci, którzy nauczają, tworzą jedną niepodzielną część społeczeństwa, a otrzymane przez nich wyższe wykształcenie obowiązuje ich do tem większej odpowiedzialności obywatelskiej.

Współczesny wychowawca, jakkolwiek to wymaga pewnego wysiłku, nie może się zasklepiać w ciszy życia akademickiego. Musi on posiadać dar wyglądania poza ściany gabinetów pracy i sal wykładowych, gdzie tak łatwo się odosobnić od reszty świata i wpaść w bezwład rutyny, w której wystarcza urzędowe wypełnianie obowiązku i nic więcej.



Prof. Mierzwa wychodzi z gmachu uniwersyteckiego.

Pan Mierzwa do tej kategorji nie należy. On wie o tem, że „ludzie pozbawieni zdolności widzenia i przewidywania giną". On ma chwalebny zwyczaj, nie tylko patrzenia otwartemi na wszystko oczami, ale i umiejętnego wykorzystania tego, co widzi. Z obserwacji storunków w Starym jako też i Nowym Świecie doszedł on do przekonania, że przyjaźń, zaufanie i dobra wola na arenie życia międzynarodowego w znacznej mierze są wynikiem wychowania publicznego, a zatem powinny być pielęgnowane w uczelniach naszych. Wymiana profesorów i studentów różnych krajów, stosowana przez szereg lat, byłaby rzucaniem ziarna na dobrą glebę, lub, mówiąc innemi słowy, wznoszeniem budynku nie na piasku, a na opoce. Nic też dziwnego, że pierwsze swoje usiłowania w kierunku zbliżenia i lepszego porozumienia międzynarorowego skierował pan Mierzwa, jako Polak, ku Polsce i przybranej ojczyźnie Ameryce. W rezultacie nieustannych wysiłków z jego strony i przy poparciu p. Władysława Wróblewskiego, nadzwyczajnego posła i pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, powstała dwa lata temu instytucja, która po zreorganizowaniu znana jest obecnie, jako Polsko-Amerykański Komitet Stypendjalny.

(Dalszy ciąg p. str. 65).

Gwiazdy o miłości

W opracowaniu Marji Czaban

Miłość była, jest i będzie zawsze tematem zainteresowań ludzkich. Mówiono i pisano o niej tyle, że zdawaćby się mogło: nic już o niej nowego powiedzieć się nie da. A jednak odwieczny ów problemat staje się znów interesujący w oświetleniu najsłynniejszych amerykańskich artystek filmowych. Widzieliśmy je niejednokrotnie na filmie, przeżywające tragiczną namiętność, kończącą się często śmiercią bohaterki. Widzieliśmy je pałające zemstą, gdy zdradził je ukochany. Patrzyliśmy na nie jako na dumne, niezdobyte kobiety, które bawią się miłością mężczyzny, jak kwiatem, który do ich stóp pada, a po który się schylić nie warto. Jak wiele łez, jak wiele uśmiechów poświęcają w swym artyzmie miłości. Widzieliśmy jak miłość „grają". Posłuchajmy teraz, co o niej mówią.



Pola Negri w swym uroczym parku w Kalifornji.

POLA NEGRI.

Miłość i szczęście są najidealniejszymi szczytami ambicyj ludzkich. Nieprzebrane w swej różnorodności obie te potęgi świat cały przenikają.

Miłość jest tyranem świata, jest też jego zbawicielem. Jest przyjaciółką życia i śmierci. Może być ona samolubna lub poświęcająca, okrutna lub łagodna, nie będąc nigdy niekonsekwentną.

Niema wyrażenia, któreby mieściło w sobie więcej hańby, ale zarazem i blasku najcudowniejszego. Podobnie jak moneta obiegowa na targu: Miłość może być szczerozłotą lub też falsyfikatem złota.

Miłość jest pięknem chorych w ich nocach pełnych gorączki; miłość wyzłaca starość, jest przewodnikiem młodzieńców, tych swoich największych niewolników. Miłość nie zna spokoju. Ona nęka swemi pragnieniami, niszczy, by dojść do celu. Gubi tysiące ludzi, jeśli staną na drodze tego, dla którego z rozrzutnością trwoni swe dary.

Miłość jest tem większą, im bardziej ślepo jej się oddajemy, jest ona pieśnią piękną o poranku, bólem zaś, gdy dzień się kończy. Miłość jest trwogą i pięknem. Wpośród cudów życia i jego ciszy ona jedynie jest przyczyną istnienia.

GLORIA SWANSON.

Miłość jest emocją. A więc mija. Emocji nie można utrwalić. Ona przychodzi i przemija. Jest to zapewne prawo życiowe.

Miłość jest tego świata rzeczą największą. Miłość, która trwa, jest cudem złudy, ogrzewa nam serca czułością względem całej ludzkości. Jak głęboko odczuwa się wtedy zjawiska przyrody i przejawy sztuki! Taką miłość bezpiecznie możemy pielęgnować. Możemy być pewni, że ten rodzaj kochonia nigdy nas nie zawiedzie.

Posiadanie jest wrogiem miłości. Mężczyzna, zdobywszy kobietę, zmienia się i uważa ją za swoją własność. Oto jest pomyłka, dzięki której małżeństwa są tak przelotne i niestałe.

W Colorado co drugie małżeństwo kończy się rozwodem.

Posiadanie, bliskość — większość ludzi sądzi, iż są to warunki miłości. Jest to fałszywe pojmowanie miłości prawdziwej.

Teraz mogłabym kochać kogoś, nie widząc go nigdy.



Courtesy of Petef Film.
Gloria Swanson.

Niegdyś kochałam bardzo. On skrzywdził mnie. Życie stało się wtedy dla mnie nocą bezkresną. Lecz nawiedził mnie większy smutek: straciłam ukochanego Ojca. I żałoba, jak fala rwąca, porwała ruiny szczęścia, nad któremi płakałam. Nie było już we mnie nienawiści. Jedynie żal pozostał. Ci, którzy ból mi zadali, kiedyś to zrozumieją.

Skończyłam już z miłością. W najściślejszem pojęciu jest miłość pożądaniem. Czytałam dziś, że najpiękniejszą rzeczą w namiętności jest jej wspomnienie. To wspomnienie właśnie posiadam.

Mam dziecko. Jest ono dla mnie szczęściem, którego życzę każdej kobiecie, nawet gdyby była moim wrogiem. Jest to największa miłość, jaką może przeżywać kobieta; taka miłość jest częścią tej kosmicznej wielkiej miłości, ogarniającej wszechświat.

Miłość mężczyzny dla kobiety jest kwiatem. Pielęgnuj ją, staraj się zachować jak najdłużej.

Nie przejmuj się zbytnio, gdy minie.

NORMA TALMADGE.

Jeśli kobieta znieść może mężczyznę,
który głośno je,
który woli spędzić wieczór w domu, słuchając radio, niż pójść na tańce,
który się kłóci z kelnerami,
który nie nauczy się nigdy tańców modnych i rozprawia o dawnych czasach, kiedy to tańczono walca, polkę i two-stepa,
który zapomina o urodzinach kobiety, lecz pamięta o jej wieku,
który jest zdania, że wykałaczki używać można publicznie,
który zostałby chętnie posłem,
który nosi lok na czole —
Oto jest miłość!

Jeśli mężczyzna znieść może kobietę, która nosi suknie stylowe bez względu na to, czy jest jej w nich do twarzy,
która przerywa mu opowiadanie, by mu wytłumaczyć, jak to opowiadać należy,
która umie po francusku trzy zdania jedynie i używa ich zawsze w niewłaściwym czasie,
która nie umie piec ciast, natomiast gra w Mah-Jongg,
która wtajemnicza swą matkę w niesnaski małżeńskie,
która dobrze gra na fortepianie, tylko że lewa ręka nie wie, co robi prawa,
która woli kota niż psa, zaś kanarka przekłada nad dziecko —
Oto jest miłość!

ALICE TERRY.

Według mnie miłość jest uczuciem serdeczności, przyjaźni i prawdziwego szacunku względem drugiej istoty. Jest to coś, co budzi w tobie chęć ustawicznego przebywania w pobliżu tej drugiej osoby, której obecność daje ci uczucie bezpieczeństwa i spokoju.

Gdy byłam młodą dziewczyną, miałam egzaltowane wyobrażenie o miłości. Sądziłam, że jest to uczucie olbrzymie i burzliwe, które porwie mnie jak cyklon, olśnioną i drżącą.



Courtesy of Gloria Film.
Norma Talmadge.

(Dalszy ciąg p. na str. 78).

Zemsta „Peroby"*)

Miasto w to nie uwierzy. A przecież ten monjolo (rodzaj pierwotnego młyna, w którym mielą kukurydzę) niejakiego Nunesa Varjao, był przez miesiące całe przedmiotem gawęd w całej okolicy. Zwłaszcza w Porungas, gdzie mieszkał Pedro Porungua, uchodzący za pierwszorzędnego majstra, gdy chodziło o monjolos, krążyły niezliczone facecyjki na temat tej maszyny i zaśmiewano się z nich do rozpuku.

Nunes i Porunga uprawiali obaj grunt, który należał do nich społem, a dzieliło go tylko grzebieniaste wzgórze Nuco i stara waśń.

Nunes wyhodował sobie paka. Pewnej niedzieli zwierzę, przebiegłszy na drugą stronę wzgórza, znalazło się oko w oko z synem Porungi, który przypadkiem rąbał drzewo w tamtem miejscu. Paf! jedno pchnięcie kollasa na zakręcie ścieżki i pako leży na ziemi. Dotąd nic nadzwyczajnego; ale Porunga zjadł go, nie posławszy nawet w podarunku jednej ćwiartki prawemu właścicielowi.

A ten pako był w gruncie rzeczy znakomity.

— Uczony jak wikary—mawiał Nunes.—Żaden ogar, żadna zasadzka nie mogły dać sobie z nim rady; zawsze się wymykał. Ludzie po tamtej stronie wiedzieli to równie dobrze. Każdy pako stary i chytry ma w ustach myśliwych swoją biografję. A tu, taki młodzik Porunga, żeby go tak zajechał. Smarkacz, poprostu. A ojciec jeszcze mu przyznał rację. I powiedział, drwiąc:

— Nunes może się wyszczotkować.

Stąd powstała waśń. Co się tyczy zrębu wzgórza, to pochodziło to z jeszcze dawniejszej epoki, kiedy się ziemia sfałdowała.

Niezgodę jątrzyła jeszcze klasowa walka. Nunes należał do rzędu tych ludzi, których nadmiar alkoholu z trzciny cukrowej w głowie i nadmiar spódnic w domu naraża na szwank. Miał tylko jednego męskiego potomka José Benedicta, przezwanego Pernambi, istnego wróbelka, pomimo że mu już było siedem lat skończonych. Reszta same córki: Maria de Concesçao, Maria da Gracia, Maria da Gloria, cały różaniec ośmiu małych Maryjek w długich sukienkach.

Nunesowi robiło się gorzko, gdy patrzył na tyle kobiet w domu. Kiedy się upił groził, że je wszystkie potopi jak kocięta.

Całą jego pociechą było psuć małego Pernambi, którego miało się wziąć do roboty w polu, żeby jak on machał motyką, podczas gdy czereda niepotrzebnych kobiet baraszkowałaby i iskała się w słońcu.

Brał więc malca i dawał mu łyknąć. Z początku chłopak wykrzywiał się, co bardzo bawiło ojca. Ale urwis wprędce zasmakował w trunku. Pił i palił z największą flegmą dorosłego mężczyzny, a oprócz tego nosił za pasem śpiczasty nóż.

— Mężczyzna, który nie pije, nie pali i nie nosi za pasem śpiczastego noża, nie jest mężczyzną—mawiał Nunes.

I smarkacz, czując się już mężczyzną, bijał siostry, strzykł zukosa śliną, odzywał się grubjańsko do matki, nie licząc innych sposobów postępowania jak mężczyzna.

Pewna amerykańska paniusia, podróżująć po Brazylji, zapisała w swoich notatkach, że dzieci tam paliły tytoń, nosiły wielkie noże za pasem i przybierały wygląd małych rozbójników, co ją przerażało do najwyższego stopnia, aż ją ciarki przechodziły od stóp do głów.

Zacności paniusia!

Zwrócono uwagę na te spostrzeżenia. Pewien hiszpański ksiądz, przyjaciel naszego kraju, wydrukował w Rio broszurę, mającą pomścić godność narodową, honor ojczyzny, wszystko co sponiewierały bezczelne kłamstwa Amerykanki.

Zacności przyjaciel!

Co do mnie, pozostaję biernym. Nie powołuję się ani na ową miss, ani na księdza. Poprzestaję na stwierdzeniu faktu, że Pernambi, mając siedem lat, palił, nosił za pasem kozik i pił wódkę. Oszczerstwa owej kłamczyni nie były znowu tak dalekie od prawdy.

Po drugiej stronie góry wszystko działo się przeciwnie. Umiarkowany w piciu Pedro Porunga poślubił kobietę, która mu dała sześcioro dzieci, samych chłopców.

Musiało mu się tedy dobrze powodzić, mając tyle rąk do pracy. Zasadzał przeto trzy alkierje (folwarki) kukurydzy, miał dwa monjolosy, młyn, plantacyjkę manjoku i trzciny cukrowej, a prócz tego hodował źrebną klacz i dwie maciory.

Miał też doskonałą strzelbę o dwóch lufach i mieszkał w nowym domu, dobrze krytym słomą

[1]) „Peroba"—gatunek rośliny zwanej drzewem brazylijskiem, wydającej silny barwnik, zwany także fernambukiem i mający szerokie zastosowanie w farbiarstwic. Rozpuszcza się łatwo w wodzie i alkoholu. — (Przyp. tłum.).

[2]) Pako — zwierzę z rodziny wielbłądowatych, inaczej lama, nie większe od owcy, daje się łatwo oswajać, dostarcza mleka, mięsa; jego wełna służy do wyrobu tkaniny, zwanej alpaco, po polsku alpaga. — (Przyp. tłum.).

ścinaną w dobrym czasie i doskonale umocowaną powrozami na krawędzi dachu. Oddrzwia i futryny były z rzeźbionego drzewa, ściany wewnątrz bielone, wszystko jak się patrzy.

A Nunes — biedny Nunes — nie zużywał nawet ćwiartki nasienia. Miał kiedyś kobyłę, ale ją przechandlował za tucznego wieprzka i starą strzelbę. Kiedy zjadł karmnika, pozostało mu z całej tej zamiany tylko żelastwo rozterlikanej strzelby, o jednej tylko lufie i zawsze zacinającej się przy strzale.

Dom, stojący na nieociosanych słupach, o popękanych drzwiach, groził zawaleniem się lada chwila.

Trzody chlewnej ani śladu; kul jak na lekarstwo.

Na nic się też nie przydawało psu Bringuiko, że sławnie tropił paki. Brzuch mu się zapadł, a szyję miał pełną robactwa. Nie mógł postąpić kroku, żeby go coś nie kąsało; wtedy przystawał i zaczynał kręcić się wkółko, napróżno usiłując złapać nieuchwytnego pasorzyta.

I wszystko w Varjao szło na tę modłę.

Pewnego dnia ktoś przyszedł opowiedzieć Nunesowi, że Pedro Porunga targował konia z uprzężą. Koń z uprzężą dla takiego Porunga! Aż mu się wnętrzności przewróciły. Ci ludzie doprawdy za wiele sobie pozwalali!

— Ho! ho! to dopiero zhardzieli! — rzekł z junacka. — No, ja pokażę całej tej paczce, co to jest Joao Nunes Eusebio dos Santos de Ponte Alto.

I od tego dnia rozpoczął jakieś przygotowania na wielką skalę. Żona Nunesa, olśniona taką nagłą przemianą w mężu, nie wiedziała czy się cieszyć, czy smucić.

— Czy potrwa długo ten piękny ogień? Kto wie.

Nunes zamierzał wielkie rzeczy: wykarczowanie trzech a l c u e i r e s, odrestaurowanie domu, m o n j o lo. Tu żona jego skrzywiła się z powątpiewaniem.

— M o n j o l o!... Doprawdy; co za myśl!

Mąż, dotknięty do żywego, odpowiedział butnie:

— Postawię go! Postawię m o n j o l o. Postawię młyn. I spiszę się tak gracko, że cała klika Porungasów będzie sobie obgryzała palce z zazdrości.

— Et! słomiany ogień! Pijacka ochota nie trwa długo.

Rok minął dobrze. Deszcze przyszły w dobrym czasie, tak że już w styczniu kukurydza strzelała w górę napęczniałemi ziarnem kolbami. Nunes nie posiadał się z radości. Przebiegał plantacje, ciesząc się z życia i próbował paznogciem miękkie kolby, z których zwieszały się złotawe motki włókien. Gładził się po brodzie i marzył o przyszłych wspaniałościach, rozważając za i przeciw. O „przeciw" nie było mowy. Pozostawało „za". Wróciwszy do domu, mawiał żonie:

— W tym roku będzie zbiór kukurydzy... klękajcie narody!

Należało więc już tylko zbudować m o n j o l o. Przez zmielenie kukurydzy na mąkę podwajała się wydajność ziarna. To mąka tak przewróciła Porungasom w głowie. Ale przedsięwzięcie takiego pokroju nie było dziełem chwili. Należało wszystko dokładnie obmyśleć. Więc Nunes obmyślał... obmyślał...

Turkot przyszłej maszyny huczał mu w głowie jak niebiańska muzyka.

— Pokażę temu Porungowi, że gdy chodzi o m o n j o l o, nie jest jedynym na świecie. Co do budowy, umówię się z Toixeirą, kumem z Ponte Alta.

Żona chwyciła się za głowę.

— Najświętsza Panno! To istne szaleństwo. Kum nie ma nawet rąk jak należy.

— Beeee! — ryknął Nunes rozzłoszczony. — Cicho bądź. Kobiety nie rozumieją się na interesach.

Ona roztropnie dawała za wygraną.

— Dobrze. Tylko nie narzekaj potem.

— Beeee! — zakonkludował mąż.

Ten wykrzyknik był rozstrzygającym argumentem Nunesa w stosunkach rodzinnych. Gdy zagrzmiało owo beee, żona, córki, Pernambi, Brinqüinho, wszyscy w milczeniu ustępowali z placu. Wiedzieli z bolesnego doświadczenia, że jedno więcej beee a następowało lanie. Woleli więc nie doprowadzać do tej ostateczności.

Nakazując milczenie żonie, Nunes nakazywał milczenie rozsądkowi. Bo jednoręki Teixirinha był sobie przygodnym cieślą, partaczem, nie mającym o niczem pojęcia — tylko w mózgu pijaka mogła wyląc się myśl przekształcenia w m o n j o l e i r a tego rodzaju jednorękiego i w dodatku ślepego na jedno oko. Ale to był kum. To wystarczało. Beee!

Nunes spędził jeszcze tydzień na rozmyślaniach. Skrobał się powoli w głowę, palił olbrzymie papierosy zadumany, wpatrzony w kukurydzowe pole, marzący o przyszłości. Wreszcie zdecydował się; poszedł do Ponte Alta i sprowadził starego wygę wraz z narzędziami.

Pozostawała jeszcze kwestja materjałów. Na gruntach Nunesa rosły tylko krzaki, które się ścina kotlasem. Co się tyczy drzewa, które się rąbie siekierą i które jest dobre na m o n j o l o, była tylko jedna peroba graniczna, stare drzewo rozdzielające plantacje i milcząco szanowane przez obie strony. Zetnie się je, nie uprzedziwszy sąsiadów z drugiej strony wzgórza, jak oni to zrobili z owym pako. Piękne za nadobne. I Nunes cieszył się naprzód z tego figla, postanawiając ściąć perobę nocą, tak, że gdy o świcie Porungasowie to spostrzegą, sam święty Antoni nie naprawi szkody.

Tak się i stało. O późnej godzinie nocy dwie siekiery zgrzytnęły o pień i było jeszcze szaro, gdy peroba runęła z hałasem na grunta Nunesa.

(Dalszy ciąg p. str. 66),

Przemysł i Ekonomika

OD REDAKCJI. Artykuł niniejszy służy jako wstęp do całego szeregu referatów, wygłoszonych na 9-ej Konwencji Stowarzyszenia Inżynierów Przemysłowych („The Society of Industrial Engineers") w St. Zjedn. oraz wydanych w kwietniu 1923 r. pod ogólnym tytułem „Business Economics". Autor artykułu Józef W. Roe Prezes Stowarzyszenia Inżynierów Przemysłowych w St. Zjedn. Ameryki Północnej jest jednocześnie dziekanem Wydziału Inżynierji Przemysłowej na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Zwracamy uwagę Czytelników na sposób ujęcia tematu: widzimy tu te same metody badania, jakie znajdujemy w specjalnych rozprawach z różnych dziedzin nauk ścisłych, np. badania botaniczne, chemiczne, astronomiczne i t. p. W dalszym ciągu będziemy publikowali ciekawe i pouczające rozprawy z tej nowopowstającej dziedziny wiedzy ludzkiej.

Stanowisko zajęte obecnie przez przemysłowców względem ekonomiki jest uderzająco podobne do tego stanowiska, jakie zajmowali ich poprzednicy dwa pokolenia wstecz względem nauki i techniki. W pierwszej połowie XIX wieku nowożytny system fabryczny rozwijał się pod kierownictwem ludzi praktycznych, w szeregach których było wielu wybitnych mechaników, kształcących się od dzieciństwa w warsztatach, pewnych siebie i opierających się całkowicie na swoich osobistych doświadczeniach. Lecz stopniowo i niepostrzeżenie, głównie zaś dzięki ich własnym wysiłkom i dążeniom, działalność ich zaczęła rozsadzać ramki pracy, opartej na metodach wyłącznie empirycznych.

W tym samym czasie rozwijały się także i nauki. Adept czystej nauki próbował wyjść poza ściany swego laboratorjum i oddać się na usługi przemysłu, lecz wszędzie spotykało go rozczarowanie: przyjmowano go z obojętnością, podejrzeniem, a nawet szydzono sobie z niego. Zdarzało się jednak, że ten i ów postępowszy przemysłowiec, obdarzony bogatszą wyobraźnią, chwytał i przyswajał sobie nowe idee i pomysły, dzięki czemu wysuwał się na czołowe stanowiska. Powodzenie takich ludzi, oraz przyczyny tego powodzenia były aż nazbyt widoczne. Stanowisko „człowieka praktyki" wolno lecz nieubłaganie ulegało zmianie. Człowiek z wyższem wykształceniem „początkowo był odpychany, następnie tolerowany, a później już pożądany". Inżynier, chemik, metalurg staje się teraz w równej mierze potrzebny w każdej dziedzinie przemysłu, jak i buchalter i kalkulator.

Już przed pięćdziesięciu laty było jasnem, że marnotrawstwo *) w przemyśle, jak również mała wydajność mechaniczna nie mogą być dłużej tolerowane. Dziś, przy powiększonej skali wytwórczości, staje się jasnem, że i marnotrawstwo społeczne nie może być nadal tolerowane.

Znany w Ameryce „Raport o Marnotrawstwie" (The Waste Report) wyszczególnia cztery zasadnicze przyczyny marnotrawstwa przemysłowego:

1. Niska wytwórczość — głównie jako skutek niewłaściwego kierownictwa.

2. Przerywana wytwórczość —
3. Ścieśniona wytwórczość — } jest skutkiem albo niewłaściwego kierownictwa, albo skutkiem przyczyn socjalnych.

4. Stracona wytwórczość — głównie jako skutek przyczyn socjalnych.

Znajomość więc ekonomiki oraz socjologji jest wielką pomocą przy redukowaniu marnotrawstwa, przejawiającego się w wielkich rozmiarach, które jednak jest mało widocznem dla oka niewtajemniczonego.

Społeczeństwo i przemysł są tak ściśle ze sobą związane, iż żadne z nich kosztem drugiego nie może się na dłuższą metę pomyślnie rozwijać. Wszystko, co wywiera zasadniczy wpływ na jedno, z konieczności rzeczy dotyczy i drugiego. To oznacza, że kierownicy przemysłu w swym własnym interesie muszą rozpatrywać ekonomiczną i socjalną stronę swego byznesu w takim samym stopniu, jak pięćdziesiąt lat temu zmuszeni byli uwzględniać i zastosowywać naukę chemji i fizyki. Sprawą na czasie jest właśnie przemysł krawiecki. Socjalna strona, a nawet prawdziwe niebezpieczeństwo, tych gniazd pracy — pracowni krawieckich, mało dotąd była uwzględniana przez ich właścicieli, ponieważ działalność ich pozostawała w stosunkowo małych granicach. Z chwilą jednak, kiedy przemysł ten zaczął wytwarzać na wielką skalę, zarówno pracownicy, jak i przedsiębiorcy doszli do przekonania, że w ich obopólnym interesie leży wyzyskanie inżynierów przemysłowych i ekonomistów,

---

*) Marnotrawstwo — ustalamy to słowo jako odpowiednik angielskiego słowa w a s t e, używanego stale w terminologji naukowej organizacji pracy i inżynierji przemysłowej.

w celu zbadania warunków pracy, kosztów utrzymania i kosztów produkcji, oraz w celu ustalenia dogodnych płac akordowych i trwałych umów pomiędzy pracownikami a przedsiębiorcami.

Nikt nie będzie kwestjonował, iż mamy znakomitych byznesmenów, którzy w dziedzinie ekonomiki zdradzają naiwną nieświadomość. Podobnie też mieliśmy wybitnych byznesmenów w czasach, poprzedzających zastosowanie zdobyczy naukowych. Ludzie ci w działalności swej powodują się głównie instynktem i osobistem doświadczeniem; są to niewątpliwie dobre wskaźniki, niemniej przeto ograniczone. Patrzą oni na swój byznes od strony wewnętrznej. Ekonomista zaś rozpatruje go z zewnątrz, w związku z innemi gałęziami przemysłu, w związku ze sprawą robotniczą, z użytecznością publiczną, słowem, rozpatruje jego stronę socjalną. Ekonomista zwykł był dotąd pracować i teoretyzować w bibljotekach. Dziś stoi on na gruncie rzeczywistości, realnie waży i mierzy siły, działające w społeczeństwie, oraz rezultaty tych działań, zbiera i analizuje ogromną ilość faktów, czerpanych z obszernych i długich okresów czasu; do wykonania takiej rozległej pracy jest zdolny tylko wyjątkowy kierownik przemysłu. Ekonomista jest obowiązany dostrzegać takie rzeczy i siły, których przemysłowiec nie widzi, lub istnienie ich zaledwie tylko odczuwa, lecz ich sobie nie uświadamia lub zgoła nie rozumie, np. korzyści lub szkody wynikające ze specjalizacji i podziału pracy, funkcje pośredników, spekulacji, nadprodukcji, stosunek między wartością a ceną i in. Wszystkie te sprawy przestąpiły już granice królestwa czystej teorji. Mają one jak najrealniejsze znaczenie i stałe powodzenie byznesu może iść w parze tylko ze zdrowemi zasadami ekonomiki. Tutaj pragnę rozpatrzeć pobieżnie trzy wypadki wzajemnej zależności przemysłu i ekonomiki oraz wykazać, jaki wpływ bezpośrednio wywiera ekonomika na działalność przemysłowców.

PRAWO ZMNIEJSZAJĄCYCH SIĘ ZYSKÓW.

Jedną z bardzo subtelnych lecz ważnych przyczyn nadprodukcji jest ignorowanie tego prawa przez przemysłowców. Jeżeli w pewnem zagadnieniu wytwórczości oprócz pewnej ilości czynników niezmiennych wchodzi w grę jeden czynnik zmienny, to wraz ze zwiększeniem się tego ostatniego wynikające stąd zyski powiększą się w takim stosunku, iż mogą się równać zmiennemu czynnikowi lub też go przewyższyć. Jeżeli jednak czynnik zmienny będzie się jednostajnie i nieograniczenie powiększał, wtedy zyski zaczną opadać, początkowo tylko relatywnie, następnie absolutnie, a wkońcu ustaną zupełnie. Weźmiemy dla przykładu fabrykę z urządzeniem, kapitałem i taką wytwórczością, która zaledwie pokrywa wydatki. Jeżeli wytwórczość będzie się jednostajnie powiększała, bez jakiejkolwiek zmiany innych czynników, zyski zaczną się powiększać początkowo w stosunku większym od wytwórczości, następnie w tempie zwolnionem, lecz jeszcze absolutnie, dopóki nie dojdą do swego maksymum. Dalsze jednak powiększenie wytwórczości pociąga już za sobą straty i przy uporczywem forsowaniu jej następuje krach i bankructwo. Coś podobnego do opisanego stanu rzeczy przytrafiło się niezliczoną ilość razy w okresie ostatnich dwu lat w Ameryce. W codziennej praktyce jednak powiększanie wytwórczości nie odbywa się jednostajnie. Gdyby to miało miejsce, możnaby było uniknąć niebezpieczeństwa, ponieważ kierownicy rychło spostrzegliby, co się święci i w porę mogliby złemu zaradzić. Niestety jednak życie idzie swoją drogą. Czasy nastają dobre, odbiorcy napastują, ceny rosną i wytwórczość rośnie skokami — nabywa się surowce i meterjały, stopniowo składy się zapełniają, aż nareszcie niebezpieczeństwo dochodzi do świadomości, lecz zbyt często za późno. Pełne zrozumienie Prawa Zmniejszających się Zysków jest najpewniejszą gwarancją przeciwko takim klęskom. Jeżeliby wszyscy przemysłowcy w swej działalności powodowali się ciągle tem prawem, byłoby to najpewniejszą drogą do uniknięcia nadprodukcji w okresach wzrostu cen, oraz uniknięcia perjodów depresji, nieubłaganie następujących po tych okresach.

ROZMIARY PRZEDSIĘBIORSTWA.

Innym przykładem, cokolwiek podobnym do poprzedniego, jest kwestja ekonomicznej wielkości przedsiębiorstwa, czyli rozmiary byznesu. Czy istnieje granica dla ekonomicznej wielkości przemysłowego przedsiębiorstwa, poza którą traci ono rację bytu, czyli innemi słowy, gdzie leży punkt zwrotny zmniejszających się zysków? Jest rzeczą jasną, że w niektórych gałęziach przemysłu granice te są bardzo szczupłe, w innych zaś bardzo rozległe. Zachodzi więc pytanie, jakie miejsce pomiędzy temi dwoma krańcowemi wypadkami zajmie dana gałąź przemysłu? Czy istnieją różne granice wielkości, uzależnione od różnych faz przedsiębiorstwa? Czy jest to możliwe, ażeby niektóre fazy skombinować korzystnie na wielką skalę, jak np. nabywanie surowców, zorganizowanie sprzedaży, pozostawiając wytwórczość na łasce konkurencji z wyrobami, produkowanemi na miarę średnią? Podobno w taki sposób próbowano teraz organizować przemysł w Niemczech. Wpływy wybitnego przedsiębiorcy, I. Holmes'a, dają się odczuwać w przemyśle mosiężnym jeszcze i teraz w okolicy Waterbury Valley. Zaczął on swój byznes od spółki z braćmi Scovill i firma Scovill Mfg. Co. istnieje dotychczas. W r. 1830 zrywa z nią i zakłada firmę Holmes i Hotchkiss. Następnie w roku 1834 do spółki z innymi otwiera firmę Wolcottville Brass Co., obecna nazwa Coe Brass Co.; w ro-

(Dalszy ciąg p. na str. 72).

Plan Dawes'a

Powtórne wtargnięcie Ameryki w sprawy europejskie

„Ekonomika zwycięża politykę" — oto hasło dnia dzisiejszego! Wygłosili je Amerykanie i echo tego hasła rozlega się teraz po świecie całym. Dotarło ono nawet do naszej ultrapolitycznej prasy (p. art. wstępny „Rzeczpospolita" Nr. 225: „A ponieważ w życiu politycznem prawidła stosunków handlowych coraz większe zyskują znaczenie...") i wywołało wielką konsternację. Wprawdzie od lotnego uchwycenia echa do pełnego uświadomienia sobie zjawiska leży przestrzeń niezmiernie odległa, jednak pozwala nam to żywić nadzieję na rychłą przemianę światopoglądu abstrakcyjnie politykującego obywatela i reprezentantą jego — polskiego publicysty. Hasło to, gdy zacznie wcielać się w życie, zmusi nas do zaniechania traktowania politycznych spraw Polski w oderwaniu od chleba i żelaza, trzody i węgla, drzewa i nafty, chemji i mechaniki, handlu i przemysłu, i wciągnie nas w potężny wir nowych dziejów ludzkich, gdzie rzeczywiście ekonomika na całej linji bije politykę, gdzie wyrazem dyplomacji jest czek dolarowy, a wyrazem rycerskiej siły militarnej — doskonała organizacja pracy, handlu i przemysłu.

Ameryka faktem swej interwencji podczas wojny światowej położyła kres ogólnej rzezi europejskiej. Obecnie znów Ameryka interwencją swą w sprawy polityczno-ekonomiczne Europy zapoczątkowuje nowy okres pokojowego rozwoju i rzeczywistej odbudowy ekonomicznej. Nikt inny dokonaćby tego nie potrafił. Nie jest to przypadkiem dowolnym lub fantazją historji, że właśnie Amerykanin, generał Charles G. Dawes, stanął na czele tego nowego ruchu reformatorskiego w dziedzinie europejskiej dyplomacji. To, że Ameryka, w osobie Ch. G. Dawes'a, zdecydowała się wziąć czynny i twórczy udział w sanacji chorobliwego stanu Europy, jest dostateczną rękojmią, że Europa wyzdrowieje. Gdyby bowiem nie miała ona tej pewności, nie poświęcałaby tej sprawie swego czasu i nie inwestowałaby swego kapitału w ryzykowne przedsiębiorstwo.

Ażeby jednak zrozumieć, czem jest właściwie historyczny już teraz Plan Dawes'a, należy chociażby pobieżnie uprzytomnić sobie to podłoże dziejowe, z którego on wyrósł.

Problem reparacyjny, ujęty w formę określoną w Traktacie Wersalskim, w samem swem założeniu był nacechowany ogromnemi praktycznemi trudnościami. Sprzymierzeńcy w pewnych punktach traktatu byli nierozłącznie z sobą związani, w innych — mieli pełną swobodę działania. Francja, której interesy ekonomiczne najwięcej były uzależnione od realizacji niemieckich zobowiązań odszkodowawczych, zdradzała największą stanowczość i niecierpliwość w tej sprawie. Początkowo W. Brytanja starała się dotrzymać jej w tym kroku, lecz z biegiem czasu interesy ekonomiczne Anglji zaczęły się zdecydowanie przeciwstawiać interesom Francji. Na ten tylko moment czekały Niemcy, które go wykorzystały jak najdokładniej, stwarzając niezliczone preteksty do prolongaty i zgoła rewizji swoich Wersalskich zobowiązań. W takim stanie ogólnego i bezcelowego manewrowania zainteresowanych stron upłynęły pierwsze dwa lata i wszystkie zjazdy i konferencje, odbyte w Boulogne, Spa, Paryżu i Londynie w latach 1920 i 1921, pozostawiły jeno po sobie świadectwa niezniszczalnych fantazyj politycznych.

Głośną fazą w rozwoju kwestji reparacyjnej były rezultaty prac Komisji Odszkodowawczej w kwietniu 1921-go roku, ustalające kwotę 132.000.000.000 marek złotych, które Niemcy winni byli wypłacić Sprzymierzeńcom, tytułem spłat odszkodowawczych. Debaty o wysokości tych sum, oraz o możliwości uzyskania ich od Niemiec ciągnęły się znowu do końca 1922 r. Dla wszystkich było rzeczą jasną, że doroczne raty, nałożone na Niemcy, tak ze względu na wewnętrzny stan gospodarki Niemiec, jak również ze względu na międzynarodowy rynek pieniężny, wychodziły poza granice praktycznych możliwości, co też dało powód samym Niemcom do zażądania moratorjum pierwszy raz w sierpniu 1922 r. na termin półtrzecia roku, a następnie w listopadzie 1922 r. już na termin nieokreślony, przyczem z rozszerzonem żądaniem znacznej redukcji samych zobowiązań. Wreszcie „Niemcy, od których wymagało się rzeczy niemożliwych, czyniły mniej, niż było możliwe" — jak trafnie mówi prof. Uniwersytetu Harvard i zarazem szef wydziału ekonomicznego Amerykańskiej Komisji na Konferencji Pokojowej w Paryżu, Allyn Abbot Young. Jednocześnie Niemcy z samego początku zaczęły się domagać znacznej pożyczki zagranicznej, celem umożliwienia im spłat odszkodowawczych, co też wreszcie było uwzględnione i sprawa pożyczki weszła na porządek dzienny obrad Komisji Odszkodowawczej w marcu 1922 r., a następnie w maju tegoż



Jak sobie Amerykanie wyobrażają działalność Planu Dawes'a:—U. S. A. (Stany Zjednoczone) wyciągają z ruin narody europejskie.

roku sprawa ta była podjęta przez Komitet Pożyczkowy Międzynarodowych Bankierów. Na tle tych nieskończonych kontrowersyj reparacyjnych wzmagały się różnice poglądów pomiędzy samymi Sprzymierzonymi i wreszcie dyskusje na temat niemieckich propozycyj doprowadziły do kompletnego bezmała zerwania wszelkich stosunków dyplomatycznych w styczniu 1923 r.

Tak więc widzimy, jakie polityczne stosunki wytwarzały się w Europie na tle problemu reparacyjnego. Zatoczył się c i r c u l u s v i t i o s u s, z którego najprzedniejsi politycy i dyplomaci nie mogli znaleźć wyjścia. Trudną jest rzeczą wróżyć, do jakich ostatecznych rezultatów doprowadziłby Europę ten stan skłębienia się interesów, poglądów, namiętności i pretensyj, gdyby był pozostawiony naturalnemu swemu rozpędowi.

Lecz w tym groźnym i krytycznym momencie na pomoc zjawiła się Ameryka. Plan Dawes'a całą sprawę ujął zgoła z innej strony, podszedł do rozwiązania jej nie jak dyplomata, lecz jak trzeźwy i praktyczny handlowiec i przedsiębiorca, przystąpił do tego zagadnienia tak, jak typowy byznesmen przystępuje do ratowania swego zagrożonego byznesu w przekonaniu, że jeżeli tylko przedsiębiorstwo ma zarodki zywotności, ono iść musi; jeżeli zaś nie idzie, jest to winą nie przedsiębiorstwa samego, a winą ludzi, którzy niem kierują.

ZASADNICZE PODSTAWY PLANU DAWES'A.

Cel. — Umożliwienie spłacania rat odszkodowawczych, zbilansowanie budżetu Rzeszy Niemieckiej, oraz stabilizacja waluty niemieckiej.

Metoda. — Powyższe cele mają być osiągnięte na drodze spółdziałania państw sprzymierzonych i Niemiec na podstawie obopólnych interesów.

Pożyczka zagraniczna. — Plan zasadza się na międzynarodowej pożyczce w kwocie 800.000.000 marek złotych ($ 200.000.000), mającej na celu powołanie do życia nowego banku emisyjnego, stabilizację waluty, oraz zabezpieczenie spłat odszkodowawczych w pierwszym roku.

Bank Emisyjny. — Kapitał zakładowy ma wynosić 400.000.000 mk. zł., i wyrażać się w 100 markowych akcjach; 1.000.000 akcyj ma być pokryte aktywami Banku Rzeszy (Reichsbank), zaś

3.000.000 akcyj mają być subskrybowane w Niemczech i zagranicą. Bank będzie agentem skarbowym Rządu niemieckiego, jednak nie będzie podlegał zarządowi ze strony tego ostatniego. Administracja Banku składa się z Zarządu i Prezesa-Niemca, w sprawach jednak dotyczących zagranicznych kredytów będzie ona pod nadzorem Głównego Zarządu, składającego się z siedmiu Niemców i siedmiu cudzoziemców, przyczem jeden z cudzoziemców będzie obleczony tytułem i prawami Komisarza Banku.

Stabilizacja waluty. — Bank Emisyjny ma wyłączne prawo w Niemczech emitowania i puszczania w obieg banknotów w okresie prawomocnego istnienia banku, który ustala się na lat pięćdziesiąt. Zarówno Rząd Rzeszy, jak i wszelki bank państwowy niemiecki, są pozbawione prawa wypuszczania pieniędzy papierowych, z wyjątkiem i to w bardzo ograniczonych ilościach, banków: Badeńskiego, Bawarskiego, Saksońskiego i Wirtemberskiego. Rząd nie może wypuszczać żadnych metalowych pieniędzy, z wyjątkiem złotych, zawierających w sobie pełną wartość złota. Wszystkie inne monety metalowe wypuszczane są przez Bank Emisyjny. Bank może emitować banknoty na podstawie pokrycia przez monety złote i kruszec złoty. Pokrycie złota nie może spadać poniżej $33^1/_3{}^0/_0$.

Spłaty odszkodowawcze. — Wszystkie spłaty odszkodowawcze uskuteczniają się za pośrednictwem Banku Emisyjnego. Źródła dochodowe dla pokrycia tych spłat tworzą: $ 200.000.000 pożyczki zagranicznej (tylko w części swej dla spłat przypadających w pierwszym roku), emisja obligacyj hipotecznych niemieckich kolei żelaznych, emisja obligacyj hipotecznych niemieckich przedsiębiorstw przemysłowych; dochody z podatku transportowego, oraz dochody z ogólnego budżetu, gwarantowane przez pewne „wpływy podlegające kontroli". Rzeczoznawcy obliczają, że plan ten powinien dać na rzecz spłat odszkodowawczych 1.000.000.000 marek w pierwszym roku, 1.000.000.000 marek, w drugim, 1.200.000.000 mk w trzecim, 1.750.000.000 marek w czwartym i 2.500.000.000 mk. (maksymalna suma, jaką można wymagać rocznie od Niemiec) w piątym. W następnych latach wysokość spłat będzie regulowaną podług skali płynnej i może być powiększoną lub zmniejszoną w pewnych okolicznościach. W celu uniknięcia ujemnego wpływu na stabilizację waluty niemieckiej, jako skutek wypłat zagranicznych, będzie ustalany perjodycznie wskaźnik dobrobytu.

Przekazywanie spłat zagranicę. Plan uwzględnia różnicę między sumami, jakie mogą być zebrane w Niemczech, oraz sumami, jakie mogą być przekazane zagranicę. Plan przewiduje, że spłaty zagraniczne Niemiec nie mogą przewyższać sum, należnych Niemcom z zagranicy. Wszystkie sumy, wpływające na rzecz spłat odszkodowawczych, muszą być deponowane w Banku Emisyjnym na rachunek Głównego Agenta Spłat Odszkodowawczych. Ten ostatni łącznie z pięcioma ekspertami w sprawach finansowych oraz giełdy pieniężnej będą zarządzali zdeponowanemi sumami. Komitet ten będzie regulował rodzaj i wysokość spłat, ażeby uniknąć zaburzeń w zagranicznych kursach pieniężnych; będzie zarządzał przekazami gotówki do państw sprzymierzonych zapomocą kupna dewiz i walut zagranicznych i wogóle będzie się starał przekazywać sumy maksymalne, nie naruszając stabilizacji waluty niemieckiej. Jeżeli spłaty odszkodowawcze przewyższą tę sumę, jaka może być przekazana zagranicę bez przyczynienia zaburzeń kursowych, to nadwyżki owe mogą się gromadzić w Banku Emisyjnym, jednak do wysokości nie przekraczającej 2.000.000.000 mk.; jeżeli zaś przekroczą tę sumę, wówczas pieniądze te mogą być ulokowane w niemieckich obligacjach i pożyczkach. Ogólne nagromadzenie tych sum w Niemczech nie może przewyższać 5.000.000.000 mk. zł. Z chwilą osiągnięcia tej sumy wszelkie dalsze spłaty odszkodowawcze ustają aż do chwili, kiedy znowu będzie umożliwione przekazywanie nagromadzonych funduszów.

Niewypłacalność. — Na wypadek uchylenia się od płacenia procentów, amortyzacyjnych rat lub samego kapitału z tytułu kolejowych lub przemysłowych obligacyj, plan przewiduje zainkasowanie od Rządu niemieckiego niedoboru przez Komisarza Wpływów Podlegających Kontroli.

Wpływy Podlegające Kontroli. — Wpływy z opłat celnych, z alkoholu, tytoniu, piwa i cukru podlegają kontroli ze strony kredytorów Niemiec i mają służyć jako gwarancja spłacania rat odszkodowawczych, poczynając od budżetu następnego po r. 1925-1926.

Wykonanie. — Plan przewiduje mianowanie Komisarza Banku Emisyjnego, Komisarza Kolei Żelaznych, Komisarza Zobowiązań Przemysłowych oraz Głównego Agenta Spłat Odszkodowawczych; ten ostatni występuje w charakterze agentury pomiędzy Komisją Odszkodowawczą z jednej strony a różnymi Komisarzami z drugiej, przyczem jest uprawomocniony do odbierania na rzecz Komisji Odszkodowawczej obligacyj kolejowych i przemysłowych oraz do zarządzania niemi.

A. Mikulski.

Pukajcie, a będzie Wam otworzono...

Sezamie, otwórz się! — wołają Niemcy. I otwiera się skarbonka Wuja Sama!

I tak, zawdzięczając historycznej już dla świata całego komisji jenerała Ch. W. Dawes'a, Niemcy uzyskują na rynku pieniężnym Stanów Zjednoczonych $ 100.000.000 pożyczki państwowej. Suma ta stanowi połowę przyznanej Niemcom pożyczki w wysokości $ 200.000.000. Nie ulega wątpliwości, iż Ameryka da znacznie więcej, niż wyznaczoną dla niej połowę.

Okazuje się jeszcze raz, że nic na tym świecie nie dzieje się samo przez się, tak sobie z łaski Bożej. Niema skutku bez przyczyny. Przyjrzyjmy się więc tym przyczynom, które spowodowały tak hojne zasilenie Niemców pieniędzmi amerykańskiemi.

Przedewszystkiem jednak musimy się zastrzec, iż nie będziemy tu poruszali sprawy ekonomicznej konieczności dla samej Ameryki wyzbycia się gotówki, nagromadzonej w jej bankach. Ograniczymy się stwierdzeniem, że Ameryka zmuszoną jest eksportować swoją walutę.

Przeglądając wykazy tego eksportu, widzimy, że bezmała wszystkie państwa wszystkich części świata, z wyjątkiem jednak Polski, biorą obecnie czynny udział w imporcie tego cennego towaru amerykańskiego. Lwia część jednak przypada na Niemcy. Otóż postaramy się pobieżnie przedstawić niezmordowane zabiegi Niemców, w celu wzmocnienia swego państwa zapomocą dolarów amerykańskich.

Już tutaj pozwolimy sobie na małą uwagę: gdybyśmy choć w setnej części czynili takie niezmordowane zabiegi, jak to czynią Niemcy, nie byłaby Polska owym wyjątkiem wśród wszystkich innych państw świata.

Okazuje się, że Niemcy od czasu pokoju Wersalskiego szukają w Ameryce nie tylko pomocy finansowej, opartej na handlowych zobowiązaniach; szukali oni nawet zwykłego wsparcia, jak o tem świadczą nader ciekawe debaty w Kongresie Waszyngtońskim. Mianowicie, jeden z posłów do Izby Deputowanych, opierając się na fakcie wsparcia trzy lata temu zgłodniałej aż do ludożerstwa Rosji, wniósł projekt o asygnowanie przez Kongres $ 10.000.000 na rzezcz „zgłodniałych" Niemiec.

W debatach nad tym projektem w marcu b. r. zabrał głos deputowany A. Piatt Andrew, były profesor Harvardskiego uniwersytetu oraz b. wice-minister Skarbu Stanów Zjednoczonych. Zastrzegając się na wstępie, że nie powoduje nim żadna animozja względem narodu niemieckiego, przeciwnie, odebrawszy wykształcenie w uczelniach niemieckich, zachował jak najżywsze sympatje dla tego kraju, jednak jako obywatel amerykański najkategoryczniej musi protestować przeciwko przyjęciu przez Izbę tego projektu, który jest niczem innem, jak przymusowym podatkiem, nakładanym na naród amerykański.

Dwie przyczyny zmuszają go do założenia protestu: primo — jakkolwiek warunki, panujące w Niemczech, są bardzo cieżkie, to jednak źródła i rozmiary ich nie są nam dostatecznie znane; secundo — ponieważ sytuacja jest do poprawienia przez własne wysiłki samych Niemiec.

Oświetlając te „ciężkie" warunki, pos. Andrew mówi: „Pragnąc się naocznie przekonać o niedoli i cierpieniach narodu niemieckiego, zwiedziłem na jesieni główniejsze miejscowości zagłębia Ruhry—Essen, Dusseldorf, Duisberg, Dortmund, Bochum i in. Widziałem wszędzie obfitość i różnorodność produktów spożywczych. Restauracje przepełnione — w nich muzyka i hukanie korków. Do oper i teatrów nie można się było dostać. Jednak co mnie najwięcej uderzyło, to nadzwyczajny ruch budowlany: ogromna ilość domów mieszkalnych, sklepów, biur handlowych, fabryk i kominów fabrycznych była w trakcie budowy. Prowadzono roboty nad budową wielkiego kanału Ren-Herne. Urzeczywistniano projekty rozbudowy miast i całymi szeregami ciągnęły się nowe zabudowania. Na dowód tego, co mówię, mam przy sobie zdjęcia fotograficzne".

„Jeżeli biedniejsze warstwy społeczeństwa niemieckiego cierpią od niedojadania — mówił dalej poseł — to nie jest to wynikiem braku produktów spożywczych w Niemczech, lecz skutkiem tego, że brak im pieniędzy na kupno tych produktów. Dlaczego też w tym celu nie użyją Niemcy swych ogromnych środków pieniężnych, ulokowanych poza granicami państwa i dlaczego zwracają się o pomoc do rządu naszego? Nie dalej jak w przeszłym tygodniu Komisja Rzeczoznawców pod przewodnictwem angielskiego ministra skarbu, Regi-

(Dalszy ciąg p. str. 73).

Laborologja

Nowa nauka o pracy ludzkiej

Bodaj nigdy jeszcze w dziejach ludzkich problemat pracy nie zajął w świadomości tak poczytnego miejsca, jak w dobie obecnej. Praca stała się najistotniejszym symbolem życia. Kto nie pracuje, zatraca siebie, ginie, traci symbol swego istnienia.

Nikt w Polsce boleśniej nie odczuwał tego problematu pracy, pracy zarówno indywidualnej, jak i zbiorowej, jak wyrobnik myśli czystej, bard wytężonej pracy narodowej, zabity tą pracą własną w przededniu Odrodzenia Polski, współczesny nam Skarga, Stanisław Brzozowski.

Nikt lepiej od niego nie konstruował duszy narodowej, tych nieuchwytnych cech charakteru pewnej zbiorowości ludzkiej, z materjałów czysto literackich, z rozrzuconych w literaturach pięknych myśli, uczuć, obrazów, tendencyj, intencyj etc. On nie tylko konstruował, lecz realnie budował gmachy samowiedzy narodowej, i nie tylko swej własnej narodowości, lecz i cudzoziemskiej. Jego szkic „Kryzys w literaturze rosyjskiej", pisany w r. 1909, powinien być czytany jeszcze i teraz, bynajmniej nie w tym celu, by literaturę rosyjską studjować, jako rzecz samą w sobie, lecz by bronić swe życie i naród i państwo przed elementarną potęgą naszego wschodniego sąsiada.

I jak Brzozowski był niedoścignionym mistrzem w budowie idealnych typów nacjonalnych, tych, według niego, najrealniejszych istnień w dziejach każdego narodu, tak samo i on osobiście był idealnym typem, Platonową Ideą, pracy polskiej.

Nie mógł Brzozowski opanować wybuchów swej myśli, co jak gorący gejzer nieprzerwanie wytryskała z jego świadomości, nie był w stanie nadać kierunku swej ręce, która spontanicznie kreśliła piórem po arkuszach papieru. On nie panował nad swym własnym twórczym żywiołem, nie władał jego tempem i kierunkiem, nie znał miary i wyrachowania, nie rozumiał fizjologji natężenia organizmu i potrzeby spoczynku, słowem, nie umiał organizować swej pracy indywidualnej — i w tem tragedja Brzozowskiego, w tem tragedja pracy polskiej.

* * *

Lecz czy każda tragedja, na wzór zaprawdę przestarzałych greckich, musi ulegać bezosobowemu fatalizmowi, leżącemu jakoby po za sferami naszej świadomej woli? Wolne żarty! Żyjemy w czasach, kiedy przy odrobinie chęci i woli możemy ująć w swe ręce ciemne i tajemnicze siły losu i zmusić go do służenia swym w całej pełni uświadomionym celom. Los nasz nie jest nam zgóry nadany, a spoczywa w nas samych, w naszej wyszkolonej umiejętności życia oraz umiejętności pracy. Praca, jak abecadło, arytmetyka, jak sterowanie aeroplanem, czy chodzenie po drucie, wymaga, by jej się nauczono. Praca, czyli celowe zużycie energji organizmu ludzkiego, może być w równej ilości zużytkowaną i w kopaniu ziemi szpadlem i w prowadzeniu traktoru z pługami, lecz efekt tych różnych sposobów zastosowania jednakiej ilości pracy będzie całkiem odrębny.

Już w oświetleniu tych kilku elementarnych pojęć nasz problemat pracy staje się jaśniejszym. Chodzi mianowicie o to, ażeby nauczyć się pracować, pracować w każdym wypadku, we wszelkich warunkach i okolicznościach, najbardziej praktycznie, najwięcej celowo i wydajnie. Gdy posiądziemy umiejętność takiej pracy, gdy w ten sposób nauczymy się pracować na wszystkich polach, we wszystkich kierunkach i dziedzinach, wówczas żadne przeznaczenie najtragiczniejszego losu nie dotknie nas swem skrzydłem, nie groźny nam będzie żaden wróg, czy to społeczny, czy narodowy, zewnętrzny czy wewnętrzny. Albowiem praca to symbol życia, a życie chce wiecznie trwać, ostawać się i zwyciężać. Przez taką tylko pracę uzyska naród nasz i państwo wieczne trwanie.

* * *

Zachodzi więc teraz pytanie: gdzie jest ta uczelnia, która ma nam udzielić nauk tak potrzebnych? Napróżno będziemy jej szukali poza nami i otaczającą nas rzeczywistością, poza światem przez nas osiągalnym. Każdy z nas bez nadzwyczajnego wysiłku wyobraźni może odczuć siebie w samym środku tego ogromnego, wszechświatowego procesu pracy, jaki się odbywa w okół nas. Nasz wiek bajecznej komunikacji, błyskawicznej międzynarodowej wymiany myśli i doświadczeń, rozpowszechnienie języków cudzoziemskich, prasy i wszelkiego piśmiennictwa, stwarza w każdym zakątku cywilizowanego świata tę najwyższą uczelnię, która nas uczy życia i pracy. Że zaś nauka — to suma doświadczeń ludzkości, gromadzonych systematycznie wiekami całemi, więc też nie-

trudno skierować swe chęci zdobycia nauki w tę stronę, gdzie jest ona najlepiej usystematyzowana oraz wykorzystana. A terenem tym jest Ameryka, ściślej Stany Zjednoczone, i jej piśmiennictwo. To ostatnie jest dostępne dla każdego, kto tylko zechce nauczyć się angielskiego języka i wówczas może liczyć na to, że z tej uczelni wyniesie jak największe korzyści życiowe.

* * *

Stany Zjednoczone są więc tym krajem, gdzie praca ludzka jest najlepiej zorganizowaną. Widzimy też wzrastającą z dnia na dzień hegemonję ich nad całym światem. Nie tylko swym niewzruszonym dolarem imponuje światu Ameryka. Dolar — to tylko nikły zewnętrzny znak jej potęgi wewnętrznej, to produkt wtórny, poboczny jej procesu życiowego. Zasadnicza siła i wszechludzka wartość Ameryki — to ogrom pracy, włożony w martwą przyrodę i stosunki międzyludzkie, przytem pracy zorganizowanej, ukształtowanej, umiejętnej. Praca tam często wykwita nie jako środek do osiągnięcia pewnych celów, lecz jako cel sam w sobie, i nic też dziwnego, że zamiłowani w tej pracy Amerykanie tak się nią wszechstronnie i głęboko zajęli, iż zaczynają tworzyć oddzielną dyscyplinę wiedzy ludzkiej — naukę o pracy.

* * *

Dotychczasowym objawem zewnętrznym tych dążeń Amerykanów do stworzenia nowej nauki o pracy jest bezwątpienia epokowa działalność Taylor'a. On był tym historycznym impulsem, który skierował myśl ludzką na nowe drogi organizacji pracy we wszystkich jej przejawach. Zaczęto więc badać, studjować, analizować, wymierzać najdrobniejsze fazy procesu każdej pracy; rychło też zauważono, iż decydującym czynnikiem w przebiegu tych procesów jest nie przedmiot poddany pracy, lecz sam podmiot pracy, człowiek wykonywający ją. Jak na zawołanie, wszystkie zdobycze niemieckich profesorów w dziedzinie fizjologji i psychologji zostały zużytkowane przez Amerykanów w charakterze środków i metod badania pracy. Wkrótce też nauki biologiczne oraz psychologja stosowana rozwinęły się w Ameryce do tego stopnia, iż była sława niemiecka, przodująca światu swą czystą nauką, przechodzi już do historji i miejsce jej zajmują amerykańskie instytuty naukowe, laboratorja, stowarzyszenia, związki, literatura i piśmiennictwo perjodyczne. Od dwóch — trzech dziesiątków lat Ameryka w tej dziedzinie doszła do takich zdumiewających rezultatów, iż przeciętny Europejczyk, nawet przygotowany do naukowego traktowania przejawów ludzkich, musi z największem zdumieniem podziwiać wydajność i celowość tych dążeń amerykańskich.

* * *

Widzimy więc, jak na naszych oczach rodzi się i rozwija nowa nauka — nauka o pracy. Nie posiada ona dotąd nawet swej nazwy. Wszystkie usiłowania i prace podejmowane są w tym kierunku pod różnemi hasłami: Efficiency, Scientific Management, Scientific Organization of Labor, Social Engineering, Taylorism etc. Stąd i nasze hasło — Naukowa Organizacja Pracy, rozpowszechnione zresztą w całej Europie.

Obecna faza tej nauki upoważnia nas do przeprowadzenia pewnej analogji z rozwojem innych nauk.

Anglja, zawdzięczając pracom swych przyrodników, dała światu biologję i nie byłoby Darwina, gdyby nie było Huxley'a, wierzącego jeszcze w różne witalistyczne czynniki w budowie i rozwoju organizmów.

Niemcy dały światu socjologję, a przynajmniej naukowe metody badań socjologicznych. Lecz prawdopodobnie nie byłoby Marxa, gdyby nie było Hegla, rozpatrującego przejawy życia społecznego jeszcze z punktu widzenia idealistycznego, metafizycznego.

I oto Ameryka, która więcej, niż jakiekolwiek inne państwo, pracowała nad problematem pracy i jej właściwej organizacji, daje nam nową naukę, której pozwolimy sobie nadać nazwę laborologja. I jak w Anglji Huxley, jak w Niemczech Hegel, tak w Ameryce Taylor żył i działał dlatego, by po nim powstał, jak Darwin i Marx, nowy twórca wielkiej, wszechobejmującej nauki — laborologji.

Aleksander Laczysław.

Pierwszy Zjazd Naukowej Organizacji Pracy w Polsce

W dn. 6, 7 i 8 grudnia 1924 r. odbył się Pierwszy Zjazd Naukowej Organizacji Pracy w Polsce, urządzony przez Koło Inżynierów Organizacji Pracy przy Stowarzyszeniu Techników Polskich w Warszawie. Zorganizowany niezwykle starannie Zjazd zebrał licznych uczestników, którzy z największem zainteresowaniem wysłuchali całego szeregu doskonale i rzeczowo opracowanych referatów z tej tak niezwykle ważnej dziedziny życia współczesnego.

Witając i wyrażając swe uznanie dla przodowników nowych idej, dokładne sprawozdanie odkładamy do następnego zeszytu naszego pisma.

Redakcja.

WYSTAWA
„Kościuszko w Ameryce"

W ciągu zgórą miesiąca, bo od 12 października aż do 16 listopada, wielka sala Pałacu Staszica w Warszawie była widownią rzeczy jedynych w swoim rodzaju. W porozstawianych gablotach, na stołach i ścianach znalazły się rzeczy polskie, których Polska dotąd nigdy nieoglądała. Był to, jeżeli się tak wyrazić można, festyn historyczny, udekorowany arcydziełami malarstwa polskiego oraz zagranicznego. Najlepszym dowodem tego, jakie znaczenie miała wystawa dla poznania dziejów naszych, a zwłaszcza jednego ich okresu — czasów kościuszkowskich i stosunków polsko-amerykańskich — jest jednogłośny wyraz szczerego uwielbienia dla tych pamiątek, wydany przez naszych historyków i uczonych. Ci wielbiciele starych skryptów, listów i notatek, które służą im jako fundament do budowy okazałych gmachów dziejowych na wieczną pamiątkę narodów i państw, niejednokrotnie zwiedzali wystawę, przeglądając, notując, robiąc wyciągi i odpisy z dokumentów, tak hojnie zebranych i porozkładanych na sali. Bo też profesorowie i zawodowi amatorzy, jak panowie Aszkenazy, Kraushar, Handelsman, Mościcki, Pułaski i wielu innych, którzy przyzwyczaili się do zmudnych szperań i badań w archiwach nieuporządkowanych i zbiorach kurzem wieków pokrytych, znaleźli oto cały skarb dokumentów pierwszorzędnej wartości, z pietyzmem zebranych, zachowanych i systematycznie ugrupowanych. Jak już sama nazwa wystawy wskazuje, wśród wszystkich tych pamiątek historycznych dominuje Kościuszko. Pięćdziesiąt kilka listów własnoręcznych Nieśmiertelnego Naczelnika, dotyczących przeważnie jego pobytu w Stanach Zjednoczonych, a więc jego chwalebnej walki o niepodległość rodzącej się dopiero wówczas nowej Republiki zamorskiej; listy wybitnych Amerykanów o Kościuszce i o sprawach polskich; 150 różnych starych sztychów z Kościuszką, wykonanych w Ameryce, Anglji i Niemczech; ponadto znajdujemy listy własnoręczne Napoleona, Jana III, królowej Marysieńki, Pułaskiego, Stanisława Augusta, ks. Józefa Poniatowskiego, różnych generałów z czasów porozbiorowych; książki unikaty w języku angielskim, dotyczące Polski do r. 1855; cenne medale i monety, polskie serwisy srebrne, tabakierka Kościuszki jego własnej roboty i t. d.



Klisza „Tyg. Ilustrowanego"
Rycina Basseta. Ze zbiorów A. Kahanowicza.

Dekoracją niejako tej historycznej wystawy były obrazy mistrzów polskich, a więc: cztery dzieła Józefa Chełmońskiego z okresu jego pracy w Paryżu, cenne obrazy St. Chlebowskiego, Wierusza-Kowalskiego, Zygmunta Ajdukiewicza, Jana Styki, Michała Wywiórskiego, J. Wodzińskiego, H. Piątkowskiego, Norblina i in. Oprócz obrazów polskich malarzy był także cały szereg obrazów malarzy obcych, jak: David, Vatteau, Lebrun, Rigaud, Ger. Terbourg i w. in.—ogółem przeszło osiemdziesiąt płócien.

Niepodobna w krótkim opisie wyliczać szczegółowo wszystkich eksponatów wystawy, dochodzą jednak wieści, że Warszawskie Towarzystwo Naukowe, które udzieliło swego lokalu na urządzenie wystawy, nosi się z projektem sporządzenia specjalnego katalogu pamiątek historycznych.

Właścicielem wszystkich powyższych zbiorów jest dr. Aleksander Kahanowicz. Małopolanin z pochodzenia, prawnik z wykształcenia, autor dzieł prawniczych, piastujący wysokie stanowiska w centralnych urzędach Lwowa i Wiednia, p. Kahanowicz kilkanaście lat temu wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie po latach uciążliwej



Uroczystość otwarcia wystawy „Kościuszko w Ameryce" — 1 Minister Aleksander Skrzyński, 2 Minister Alfred J. Pearson, Poseł Stanów Zjednoczonych, 3. Generał Majewski, w zastępstwie Ministra Spraw Wojskowych, 4. Jan Żarnowski, Prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa, 5. Kazimierz Lubomirski, Prezes Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, 6. Leopold Kotnowski, Prezes Amer.-Pol. Izby Handl.-Przemysłowej, 7. Helena Bisping, Wice-prezes Tow. Pol.-Amer., 8. F. W. Morse, Wice-prezes Amer.-Pol. Izby Handl.-Przem., 9. Generał Stan. Suszyński, Komendant Miasta Warszawy, 10. Ignacy Baliński, Prezes Rady Miejskiej.

pracy zajął się kolekcjonowaniem wszystkich zabytków historycznych i kulturalnych, mających jakikolwiek związek z Polską.

Powodowany przedewszystkiem szczytnem uczuciem patrjotyzmu, p. Kahanowicz włożył w swoje kolekcje dość znaczne kapitały, ciągle marząc o tej chwili, kiedy je będzie mógł zawieźć do kraju i otworzyć nam kilka nieznanych kart z historji naszych stosunków z Ameryką. To też cel jego został w całej pełni osiągnięty. Dawno Warszawa nie miała wystawy, któraby wzbudziła wśród najszerszych sfer społeczeństwa polskiego większe zainteresowanie, niż wystawa „Kościuszko w Ameryce". Tutaj, w tej sali wystawowej, gdzie jeszcze kilka lat temu obcy, brutalni najeźdźcy czuli się wszechwładnymi gospodarzami, p. Kahanowicz z największem zamiłowaniem udzielał licznym rzeszom publiczności objaśnień, dotyczących zbiorów. Zwłaszcza młodzież szkolna i niektóre organizacje robotnicze wyniosły z tych pogawędek patrjotycznych pana Kahanowicza nigdy niezapomniane wrażenie i bodaj w tym właśnie momencie, w tym odświeżeniu uczuć obywatelskich na przykładach wodzów narodu polskiego z jego najbardziej tragicznego okresu państwowego, leży największa wobec ojczyzny zasługa p. Kachanowicza.

Zaszczyt urządzenia wystawy przypadł w udziale Towarzystwu Polsko - Amerykańskiemu. Wywiązało się ono z zadania tego jaknajlepiej, symbolizując niejako swą działalnością tę świetną epokę najserdeczniejszych stosunków, jakie łączyły Polskę ze Stanami Zjednoczonemi sto lat temu. Dzięki energicznej i planowej akcji Towarzystwa, wystawa została zorganizowaną w możliwie najkrótszym czasie i uzyskała pełne uznanie zarówno ze strony pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu, jako też i najszerszych mas społeczeństwa i prasy.

W dzień zamknięcia wystawy dr. A. Kahano-

wicz, korzystając z obecności Ministra generała Sikorskiego, złożył na ręce jego dar dla Wojska Polskiego, w postaci pięknej rzeźby z bronzu dłóta Canovy — popiersie Napoleona.

Drugim darem, złożonym Rządowi dla Narodu Polskiego, jest portret Napoleona naturalnej wielkości, pędzla Davida.

Ponadto p. Kahanowicz zostawił na przeciąg dwóch lat w depozycie Rządu i dla użytku publiczności 39 obrazów mistrzów polskich i francuskich oraz dwie cenne wazy z porcelany sewrskiej Stanisława Augusta.

Niestety jednak, historyczne pamiątki opuściły już granice Polski wraz z ich właścicielem. Dr. Kahanowicz zbyt jest przywiązany do swej cennej kolekcji, by móc się rozstać z nią, zwłaszcza, że ze strony sfer miarodajnych w Polsce nic zgoła nie uczyniono, by je zatrzymać w kraju. Bądźmy jednak dobrej myśli, że skarb ten znajduje się w pewnych rękach i prędzej czy później powróci on do kraju, by zająć należne sobie miejsce w jednem z muzeów narodowych.

Nieznany dokument historyczny

z dziejów Polsko-Amerykańskich

Dzięki uprzejmaści dr. Aleksandra Kahanowicza, właściciela cennych zbiorów historycznych, przedrukowujemy tu w polskiem tłumaczeniu list Samuela F. B. Morse'a, wynalazcy telegrafu, do swego przyjaciela w Ameryce.

Paryż, 17 grudnia 1831.

Wielmożny

De Witt Bloodgood.

Mój drogi Panie!

Jak Pan widzi, nie czekam na odpowiedź na mój list, zanim drugi do Pana zaczynam; zaiste, gdybym czekał odpowiedzi, to napisałbym bardzo mało; ci wszyscy, z którymi koresponduję, są bardzo brzydcy; pisałem (bez przesady) dziesięć razy do nich, a otrzymałem od nich zaledwie jeden list, lecz Pana nie włączam do tej liczby, ponieważ Pan odpowiedział mi na każde moje pismo i to dobremi długiemi listami, za które Panu dziękuję. Oczekiwałem listów; statek za statkiem przybywał do Hawru, a dotąd miałem zawsze tylko zawód. Gdy okręt Albany przybył, na pewno liczyłem, że przywiezie mi wiadomości od któregoś z Was. Ale znowu zawód! Zapewne chce Pan wiedzieć, jak Pański portret postępuje, ale nic Panu nie powiem, aż będzie skończony, proszę więc poskromić Swoją ciekawość; w Luwrze jest zimno, a krótkie dnie i ciemne, zachmurzone niebo są dla mnie wielką przeszkodą, mimo to jednak jestem tam codzień, otoczony moimi ziomkami, pomiędzy którymi jest zawsze pan Cooper, prawie tak regularnie jak dzień. Zrobiłem dla niego kopję Rembrandt'a, którą, mam nadzieję, Pan kiedyś zobaczy. Mimochodem wspomnę, że dzieła pana Cooper'a podbiły całą Europę, gwiazda pana Walter'a Scott'a nie świeci już tak jasno, podczas gdy gwiazda pana Cooper'a jest u szczytu. Prawie każdy wieczór spędzam z miłą rodziną pana Cooper'a. Mówił mi wczoraj, że do połowy jest już wydrukowane jego nowe dzieło p. t. „Heidenmauer" czyli „Ściana Pogańska", rzecz, odgrywająca się w Niemczech.

W każdą środę wieczorem Amerykańsko-Polski Komitet zbiera się u pana Cooper'a, gdzie w naszych naradach bierze udział również i gen. Lafayette. Muszę Panu opisać nasz obchód rocznicy Powstania Polskiego. Było to wieczorem 29 listopada, kiedy — jako Komitet Amerykański, otrzymaliśmy zaproszenie, aby zebrać się z Polskim Komitetem Narodowym i z Francusko-Polskim Komitetem. Zebraliśmy się w sali Wielkiego Komitetu przy ulicy Tarenne; sala była udekorowana chorągwiami Polski, Francji i Stanów Zjednoczonych; pomiędzy temi ostatniemi odżnaczały się dwa sztandary z Bostonu, które tegoż wieczora miały być wręczone, niestety, nie mężnym Polakom w Warszawie, lecz smutnej garstce wypędzonych i skazanych na wygnanie patrjotów Polski, reprezentujących najlepszych i najszlachetniejszych z Jej synów. Zebrało się więcej aniżeli 60 tych walecznych mężów, szlachta, uczeni, literaci, artyści oraz oficerowie i żołnierze dzielni, słońcem opaleni zwycięzcy w dwudziestu bitwach. Była to rocznica ich Powstania, nie zaś ich Niepodległości, a ten dzień zszedł nie na wolność ich Ojczyzny, lecz na kajdany, świeżo włożone na Naród. Nie zdziwi się więc Pan, że okazja ta była smutną, a nie wesołą. Niemożliwem było bez wzruszenia patrzeć na takie zebranie. Na każdej twarzy można było widzieć zadumę i posępność. Mimo że zeszli się na wspólne zebranie, widać było, że każdy z nich wszedł tylko w siebie; każdy zdawał się być prawie zupełnie pogrążony w świecie swoich własnych myśli, a ściśnięte usta, ściągnięte brwi oraz spuszczone i w jeden punkt patrzące oczy mówiły, gdzie i jak ich myśli były zajęte. Przyczyny tego smutku nie trzeba szukać daleko: „Serce zna swoją własną gorycz"; a w zebraniu tego rodzaju zapewne nie było ani jednej osoby, któraby nie miała na sercu jakiegoś przygniatającego go ciężaru, lub pełnej goryczy pamięci o ojcach, braciach, synach, których krew lała się za wolność ich Ojczyzny, a lała się daremnie i jeszcze nie zaschła na rodzinnej niwie; jak i pamięci o matkach, siostrach, żonach, wdowach, sierotach, pozostałych na opiece ich bezlitośnego wroga, podczas gdy oni sami, ich prawni opiekunowie, są wygnani z ziemi, za którą walczyli, wyzuci z domów, rodzin i niepodległości, obecnie tułacze w obcym



Miedzioryt Girscha. *Ze zbiorów A. Kahanowicza.—Klisza „Tyg. Ilustr."*

Bohaterowie Rewolucji: Washington, De Kalle, Steuben, Pułaski, Kościuszko, Lafayette, Muhlenberg.

kraju, przyjęci przez obcych do domu i żyjący z ich łaski. Nie potrzeba długo zastanawiać się, by odgadnąć wątek myśli, do którego takie fakta prowadzą, żeby zdać sobie sprawę ze smutku walecznych Polaków. Wprawdzie były chwile, kiedy ich zamyślone miny okazywały ożywienie i pałały wrodzonym im entuzjazmem; a było to, kiedy wchodził do sali brat — Polak, którego ostatnio może widzieli w ich własnym, drogim kraju, u boku którego może walczyli, o los którego byli niepewni, mając co do losu jego większą obawę niż nadzieję; tymczasem tu znaleźli się, zbiegli i bezpieczni, a radość i wdzięczność na chwilę oświecały ich twarze, gdy ściskali się, i — obyczajem ich kraju — całowali jeden drugiego. Podobne to było do radości tych, którzy podczas burzy, rozbicia się i od fal morskich uratowali się na skałę, jak jeden i drugi z ich towarzyszy podróży powiększa tę melancholijną grupę, a wtedy przemijający błysk wdzięczności oświeca ich twarze, aby — niestety — szybko ustąpić zbierającym się myślom o tych, którzy zginęli w falach. Nigdy nie okazali większej radości jak przy wejściu pana Chodźki. Znakomity ten Polak, który tyle swego czasu poświęcił służbie swej Ojczyzny, został przez tutejszy rząd aresztowany kilka dni temu pod zarzutem spiskowania i wtrącony do więzienia; ten krok bardzo zdziwił nas wszystkich, a nasz Komitet nabawił trochę kłopotu, ponieważ był on pewnego rodzaju łącznikiem pomiędzy nami a innemi Komitetami. Gdyśmy czekali na naszego przewodniczącego, większa część naszej rozmowy tyczyła się jego; nikt nie umiał wytłumaczyć jego aresztowania. Wtem powstał ruch w kierunku drzwi i ukazał się gen. Lafayette w mundurze Polskiej Gwardji Narodowej, wprowadzając pana Chodźkę, dopiero co uwolnionego, także w pełnym uniformie polskim. Wielkie było zdziwienie, a przywitanie, które nastąpiło, było w wysokim stopniu ożywione. Dłuższy czas upłynął, nim życzenia i wyjaśnienia skończyły się; śród oklasków gen. Lafayette objął przewodnictwo. Po jego prawicy siedział p. Niemojewski; po lewej stronie Dr. Howe. Pan Niemojewski był ostatnim prezydentem Polskiego Rządu w Warszawie, naczelnikiem kraju w jego ostatnim śmiertelnym wysiłku, a teraz był tutaj, przewodnicząc małej garstce współziomków, którzy zdołali uciec przed ruiną ich upadku. Nie można sobie wyobrazić głowę o wyrazie i osobę bardziej odpowiednią do sytuacji, którą tego



Courtesy of „N. Y. Times" *„Inicjatorowie pierwszego kabla transatlantyckiego".*
Słynny obraz pędzla D a n i e l a H u n t i n g t o n'a. W obradach biorą udział (z lewej strony ku prawej): Peter Cooper, David Field Chandler White, Marshall Roberts, Samuel Morse autor niniejszego listu, Moses Taylor, Cyrus Field i Wilson Hunt.

wieczora zajmował, jak głowa i osobistość, jaką posiada ten bezinteresowny i szlachetnego serca Polak; wzniosłe czoło, głębokie, rozumne oko, orli nos, usta, które — zdaje się — nie znają uśmiechu, są rysami twarzy, na której nigdy przedtem nie widziałem tak doskonałego wyrazu szlachetnego smutku, który nie wykazuje słabości charakteru, smutku, wywołanego głębokiem odczuwaniem krzywd jego Ojczyzny. Gen. Lafayette przemówił do zebranych Komitetów. Po generale zabrał głos dr. Howe, wręczył Polskiemu Komitetowi sztandary z Bostonu i odczytał kilka ustępów z adresów, wykazujących sympatje narodu Stanów Zjednoczonych dla Polski. Następnie powstał znakomity Lelewel, rektor Wszechnicy Warszawskiej, ten, któremu Polacy przypisują honor, że jest głównym kierownikiem Powstania, na którego głowę naznaczono cenę, a który po upadku Warszawy, prawie cudem zdołał uciec, wśród którego ofiarował generałowi Lafayette kokardę, zrobioną z dekoracji pierwszego sztandaru, zdobytego na Rosjanach w ostatnim konflikcie. Po panu Lelewelu wystąpił pan La Mercier, poeta, który odczytał krótki wiersz, przyjęty żywemi oklaskami, poczem posiedzenie zamknięto. W niektórych francuskich gazetach mylnie podano, a ta pomyłka mogła dojść i do Ameryki, że Komitety wydały z tej okazji publiczny obiad dla Polaków, nie mówiąc już o nietakcie, gdyby ludziom w ich położeniu zaproponowano zabawę, co byłoby tem samem, co okazanie współczucia świeżo osieroconym tem, że się ich prosi na bal, już przez same względy na nasz charakter, jako komitety dobroczynne, nie mogliśmy szafować jakąś część tej dobroczynności na taki cel. Jako Amerykanie i jako Francuzi moglibyśmy pod innemi warunkami i za inne środki wydać dla nich obiad, lecz okazja była zanadto smutna dla podobnego kroku; porządek

wieczoru był taki, jak Panu opisałem; była to chwila wzruszająca a równocześnie melancholijnego znaczenia. Pomiędzy członkami Francuskiego Komitetu było kilku znakomitych mężów o nazwiskach, które Panu zapewne są znane, jak gen. Lamarque, Odilon Barrot, hr. Lasterye etc., etc.

Czy czyta Pan kiedy gazetę mego brata N. Y. Observer? Zauważyłem, że opublikowali niektóre z moich listów z Włoch; pomiędzy niemi jest jeden, w którym opisałem wywiad z pewnym polskim księciem w Coloseum na krótko przed moim wyjazdem z Rzymu do Neapolu, a którego nazwisko zapomniałem, bo tylko raz mi je wymienił. Jest on przyjacielem pana Cooper'a i od tegoż dowiedziałem się, jak się nazywa, był to ks. Radziwiłł. Ale muszę już kończyć. Pan Willis bawi tutaj. Właśnie przedstawiłem go doktorowi Bowring'owi. Pan. W., dowiedziawszy się, że piszę do Pana, prosił mię o napisanie, że bawi się bardzo dobrze i zasyła specjalne ukłony dla Pana i Jego rodziny, jak również i dla p. Van Schaick'a, w czem mam zaszczyt sekundować panu W. Jeżeli Pan pragnie dać memu przyjacielowi p. Croswell'owi wyciąg z niniejszego listu o tyle, o ile będzie ciekawe dla publiczności, również proszę o pokazanie tego listu pannie C. Bridgen.

Spodziewam się usłyszeć od Pana najdalej po przybyciu następnego okrętu, w przeciwnym bowiem razie zacznę myśleć, że moi przyjaciele w Albany zapomnieli o mnie. Proszę przypomnieć mię wszystkim znajomym a oprócz wyżej wymienionych specjalnie panu R. Y. De Witt i rodzinie Jego Ojca, rodzinie Patroon'a, Harmanus'a Bleecker'a, Dredley'a etc., etc.

Muszę kończyć, bo już czas nadać list.

Pański przyjaciel i powolny sługa na zawsze

Samuel F. B. Morse.

Mowa

Kazimierza ks. Lubomirskiego,

Prezesa Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego,

na otwarciu wystawy

„Kościuszko w Ameryce"

Panowie Ministrowie!

Szanowni Panowie i Panie!

Jest wielką przyjemnością i zaszczytem dla Amerykańsko-Polskiego Towarzystwa, że może przedstawić publiczności, przez jednego z naszych Rodaków z wielkim trudem zebrany bogaty i piękny zbiór rzeczy sztuki i pamiątek, ilustrujących ścisły stosunek, jaki łączył naród Polski z narodem Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki od samego zarania jego Niepodległości, a więc niejako od kolebki tego narodu.

Jest to dla Amerykańsko-Polskiego Towarzystwa zaszczytem, gdyż w ten sposób wskazać i udowodnić może, jak wysoko i głęboko sięgają początki tego, co ono dziś chce zdziałać wśród społeczeństwa polskiego i jak czci i miłości godne już wówczas, a jak ważne są dzisiaj zadania, którym służyć chce. Bohaterska walka o wolność, rozpoczęta przez Naród Amerykański, w czasie gdy Polska łatwo budziła się z przeszło stuletniej ospałości i gnuśności moralnej, pociągnęła ku sobie największe nasze, owej epoki, serca, w których tliły już początki naszego późniejszego odrodzenia.

Jeden z tych bohaterów dał swoje życie w ofierze, a drugi swoim genjuszem, oddawszy wielkie sprawie wolności usługi, zadzierzgnął silne węzły przyjaźni z tym bohaterskim narodem i położył podwalinę, na której oparł się serdeczny stosunek, łączący oba narody przez półtora wieku.

Złota nić tych uczuć snuje się przez cały czas naszej niewoli i w zebranych tu dokumentach śledzić ją możemy wyraźnie.

Już J. Barlow śle królowi Stanisławowi Augustowi swoje zdanie i pochwały o Konstytucji 3 Maja. Samuel Morse wyraża się z entuzjazmem o powstaniu 31-go roku. Wielki J. Fenimore Cooper podziela z historykiem Sextonem wielką dla nas sympatję, a ten ostatni już w r. 1852, jakby duchem proroczym natchniony, pisze, że Zmartwychwstanie Polski jest konieczne i na pewno nastąpi.

W tych i innych manifestacjach uczuć widać często objawy prawie dziecinnego przywiązania i romantycznego entuzjazmu dla sprawy polskiej.

Liczna polska emigracja i opinja ludzi niesłychanie szlachetnych i dzielnych, którą tam sobie ona zaskarbiła, jeszcze wzmacniają te uczucia.

O tem, co było po tem, gdy przepowiednia Sextona się spełniła, wiemy wszyscy. Hoover — ambasador ludzkości dał naszej młodej państwowości siłę i krew, a w niezliczonych wypadkach później i społeczeństwo i Rząd Amerykański przychodziły nam z pomocą, a duchy trzech wspaniałych młodzieńców, którzy dali za naszą wolność swe życie, w eskadrylli Kościuszki, stanęły z pewnością przed Kościuszką z temi samemi słowami na ustach, które wypowiedział generał Pershing nad grobem Lafayette'a, stanąwszy po raz pierwszy na ziemi francuskiej: „Generale, oto jesteśmy!"

Oby te tutaj zebrane przedmioty jak najdłużej tu pozostały i niecił w naszych sercach dalszy wątek starych a świętych uczuć.

(Dalszy ciąg mowy wygłoszony w języku angielskim).

W imieniu Amerykańsko-Polskiego Towarzystwa pragnę wyrazić najserdeczniejsze podziękowanie panu Posłowi Stanów Zjednoczonych za zaszczycenie nas swojem przybyciem na uroczystość otwarcia wystawy.

Obecność jego jest najlepszym dowodem tej samej sympatji, jaka tkwi w tych dokumentach, książkach, sztychach, oraz tego głębokiego zain-



Obraz Józefa Chełmońskiego z wystawy „Kościuszko w Ameryce". *Ze zbiorów A. Kahanowicza.*

teresowania, jakie on osobiście zaszczepia w dusze obu narodów, złączonych węzłami przyjaźni już od półtora wieku.

Ci Polacy emigranci, którzy osiedlili się na przestrzeniach przylegających do miast: Holyoke, Springfield i Hartford i którzy pracą swą przyczynili się do świetnego rozwoju rolnictwa w błogosławionej dolinie stanu Connecticut, z największym entuzjazmem odzywają się o obecnym Prezydencie Stanów Zjednoczonych, który większą część swego życia spędził na tych polach, zachowując o nim jak najlepszą pamięć jako o współtowarzyszu pracy, gdy pracował narówni z nimi. Polska dla tego wielkiego obywatela świata jest ciągle jeszcze krajem, gdzie żył „Tadeusz z Warszawy" i gdzie pozostały kolebki tych, których on nazywa „silnymi stuprocentowymi obywatelami Ameryki".

Przyszłość przyjaźni polsko-amerykańskiej znajduje się w dobrych rękach, a dowody owej przyjaźni zebrane w tej sali będą się niewątpliwie stale powiększać.

Przemówienie Ministra Alfreda J. Pearson'a,

Posła Stanów Zjedn. Ameryki Północnej.

Szanowni członkowie Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego.

Z największą przyjemnością oświadczam i uważam to sobie za wyjątkowy zaszczyt, iż przypadł mi w udziale przywilej otwarcia wystawy pod nazwą „Kościuszko w Ameryce", na którą złożyły się: autografy, pamiątki, obrazy i inne zbiory polskie, zebrane w Ameryce.

Dla nas, którzy zajmujemy się sprawami społecznemi, obrazy właśnie stanowią niejako czynnik międzynarodowy przedewszystkiem dlatego, że posiadają zrozumiały dla wszystkich język. Kto ma oko wyrobione i umie patrzeć na sztukę, nie potrzebuje tłumacza, aby odczuć myśli i ideały, którym artysta nadał widzialną formę. Innemi słowy, dzieło sztuki naucza, że bez względu na rasową lub krajową przynależność, te same formy piękna przemawiają do wszystkich i że wszyscy ulegają tym samym wrażeniom. Obrazy mówią nam o jedności i o wspólnych ideałach.

Artysta korzysta z prawa tworzenia tego, co jest w jego wyobraźni. Zdaje mi się, że to Shakespeare powiedział:

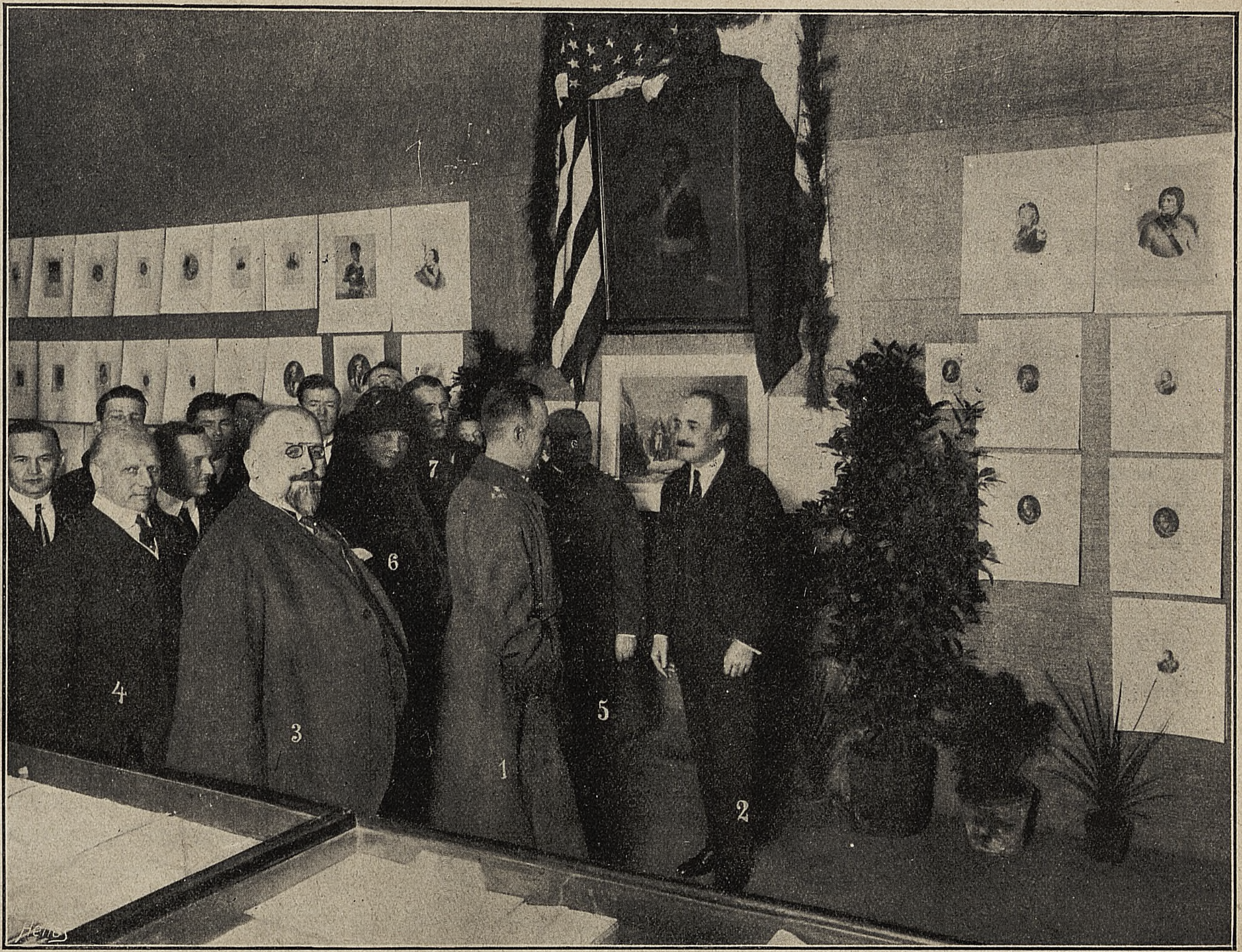
> Zło, które człowiek uczynił, przeżywa jego ciało, a dobro nieraz z ciałem w grobie jest pogrzebane...

Inaczej rzecz się ma z artystą, a i my sami winniśmy stosować lepszą zasadę w życiu, a mianowicie:

> Dobro, które człowiek stwarza, przeżyć go winno, a zło niechaj wraz z ciałem ginie...

W tym względzie powinniśmy się uczyć od artysty, którego oko nie tylko umie dojrzeć harmonję i piękno życia, lecz jeszcze potrafi utrwalić na płótnie to, co dla ludzi ma nieprzemijającą wartość.

Zebrany tutaj wspaniały zbiór obrazów, rękopisów, książek, pamiątek i autografów dzięki chwa-



W dniu zamknięcia wystawy „Kościuszko w Ameryce".—1. Generał Wł. Sikorski, Minister Spraw Wojskowych, 2. dr. Aleksander Kahanowicz, właściciel cennych zbiorów, 3. Leopold Kotnowski, Prezes Amer.-Polskiej Izby Przem.-Handl., 4. F. B. Morse, Wice-prezes Amer.-Polskiej Izby, 5. Pułkownik M. Kukowski, 6. Helena Bisping, 7. Porucznik Zamojski.

lebnej gorliwości i nieustającej pracy człowieka, miłującego oba kraje, świadczy wymownie o istnieniu polsko-amerykańskiej przyjaźni od przeszło stu pięćdziesięciu lat.

Związek, zawarty przez przeszłe pokolenia, zobowiązuje do tem ściślejszego zespolenia i wzmocnienia węzłów, łączących Polskę z Ameryką od tak dawna.

Przychodzi mi na myśl, że każdy z nas, idąc przez życie, maluje swój obraz, rzucając jakby na płótno to, co przeżywa i widzi. W naszej mocy jest uczynić ten nasz życiowy obraz pięknym, by, zbliżając się do końca dni naszych, móc z przyjemnością i zadowoleniem rzucić okiem wstecz, lub przeciwnie uczynić go brzydkim i odstręczającym ku przerażeniu nas samych, oraz naszych bliźnich.

Ta sama prawda rządzi narodami. Historję można uczynić piękną lub odrażającą, w zależności od dążeń i zamierzeń obywateli danego kraju. Przeto wskazanem jest wogóle gromadzenie rzeczy, które wykazują drogę postępu cywilizacji: czy to będą książki, rękopisy, obrazy lub inne zajmujące przedmioty w taki sposób, aby ludzie czuli potrzebę oglądania ich, by z nich czerpać natchnienie do tworzenia lepszych i większych dzieł. Na obecnej wystawie sztuki i dokumentów historycznych stwierdza się w uderzający sposób nie tylko sympatję, jaka łączy Polskę i Amerykę, ale i wspólne dążenia i ideały.

Ta jedność myśli i kierunków przedstawia większe niż wyłącznie historyczne znaczenie, wskazuje nam bowiem drogę, po jakiej kroczyć mamy w przyszłości. Zdaje mi się, iż lepszej usługi dziś nie można oddać ludzkości, jak przez kładzenie szczególnego nacisku na znaczenie dzieł sztuki i wiedzy, jako łącznika, zapomocą którego wszystkie narody świata dojdą do lepszego porozumienia.

Nie należy pominąć milczeniem w tem miejscu tej wielkiej pracy i przedsiębiorczości, jakiej wymagało zrealizowanie wystawy. Ameryka i Polska wyrażają swą wdzięczność doktorowi Aleksandrowi Kahanowiczowi za jego skuteczne usiłowania w doprowadzeniu na widok publiczny tego zbioru, mającego międzynarodowe znaczenie.

Ameryka-Polska

Czy matka ma prawo zaniedbać jedno z dzieci, dlatego, że mu się powodzi i że jest daleko? Czy to nie będzie wyrodna matka i czy nie doczeka się chwili, że to dziecko po szeregu dowodów wielkiej synowskiej miłości, popartej ofiarami krwi i mienia, wreszcie zawoła: „dawaj, matko, sobie radę sama, ja się przeniosłem gdzie indziej, mam własną rodzinę i dosyć swojego z nią kłopotu!" Prawda, niedobra taka matka i nierozumna?

Oj Polsko! Polsko! Pojechało Ci synów wielu za Ocean, a żaden o Tobie nie zapomniał póki byłaś w biedzie i opresji... I bili się za Ciebie i chcieli Ci dopomóc na wszelki sposób i mieszkać z Tobą i razem pracować. A Ty, Matko, przytuliłaś-że ich jak należy, dałaś-że im w domu miejsce godne i poczęstunek świąteczny?

A no, tak się złożyło, że kiedy przyjeżdżali ci zamorscy synowie, sama Matka jeszcze nie miała porządku w domu. Wszystko trzeba było robić odrazu: i granice ustalać, i wroga odpierać, i dom spalony nagwałt budować, i dzieci głodne karmić i pieniędzy szukać. Nie wtedy myśleć o dzieciach najsilniejszych, — najsłabsi na pierwszym planie.

I trzeba przyznać, że Matka Polska zaniedbała swoich Amerykanów. A to plemię dzielne, butne, przywykłe do porządku, dobrobytu, mające poczucie własnej godności. Niebardzo chcieli słuchać rad i perswazji: — jak gwałtownie przyszli do Polski—tak i odeszli. I odeszli zniechęceni do Państwa Polskiego, rozgoryczeni względem społeczeństwa starokrajskiego — i, o ile jeszcze nie byli obywatelami Stanów Zjednoczonych, stają się nimi teraz z największym pośpiechem.



Ze zbiorów A. Kahanowicza. Klisza „Tyg. Ilustr."
Akwatinta Humphrey'a z r. 1794.

A my — nie rozumiejąc zupełnie psychologji wychodztwa, nie znając środowiska, w którem żyje, nie myśląc absolutnie o przyszłości i o tem, jaki stosunek być musi emigrantów do przybranej ojczyzny, robiliśmy wszystko, czego czynić nie było wolno: wciągaliśmy Polonję Amerykańską w wir naszych starokrajskich walk politycznych, posyłaliśmy agitatorów wszelkich partyj, jej potęgę materjalną wyzyskiwaliśmy w najbardziej nieprawidłowy sposób. Zamiast dosłać Polonji jak najwięcej nowych sił patrjotycznych i umysłowych, a Ameryce dzielnych pracowników—słaliśmy setki tysięcy Żydów, niepożądanych tam przez nikogo, i doprowadziliśmy do tego, że emigrant z Polski, który odegrał olbrzymią rolę w rozwoju gospodarczym Stanów Zjednoczonych, został teraz uznany za szkodliwego, i drzwi przed nim zamknięto.

Niestety,—Polska musi wysyłać ludzi w świat, bo jeszcze nieprędko wszystkich w domu wyżywi, więc choć Ameryka Północna zamknięta— znajdzie sobie nowe drogi, da Bóg nie gorsze... Ale wychodztwo nasze w Stanach Zjednoczonych nie będzie odtąd otrzymywało narodowego zasiłku z Ojczyzny i urwą się te więzy naturalne, które chroniły je od wynarodowienia.

Tragedja! Sejm Związku Narodowego Polskiego w rezolucji swej zwraca się do Polski

dopiero na 6-em miejscu; Związek Polek postanowił, że do władz mogą wejść tylko obywatelki amerykańskie; a na zjeździe Sokolstwa rozpala się dwudniowa walka pomiędzy „starymi", chcącymi utrzymać tradycję i obronić ideę Polaka, obywatela Rzeczypospolitej, emigranta pracującego w Ameryce i równouprawnionego w instytucjach polskich z Polakiem-Amerykaninem, a „młodymi", twierdzącymi, że w Ameryce pełnoprawnym nawet w instytucjach polskich może być tylko obywatel Stanów Zjednoczonych.

Rozstrzygnąć zupełnie dobrze zagadnienie podwójnej narodowości i podwójnej przynależności państwowej jest to rozwiązać kwadraturę koła. A w Ameryce mamy właśnie to zagadnienie: być jednocześnie Polakiem i Amerykaninem, obywatelem Polski i Stanów Zjednoczonych.

Było to łatwe — gdy Stany Zjednoczone były tylko państwem, a Polska tylko narodem. Ale mieszkańcy Stanów Zjednoczonych wszelkich ras i pochodzeń stapiają się coraz bardziej w „naród amerykański". A Polska staje się potężnem państwem. Dualizm dłużej niemożliwy, trzeba się deklarować.

Sytuacja ciężka, odpowiedzialność za prawidłowe rozstrzygnięcie olbrzymia. Ale wyjście być musi, i rzeczą Polski, całego społeczeństwa, całego narodu, jest pomóc, aby to rozwiązanie było takie, jakie dla nas jest najkorzystniejsze, a jednocześnie zgodne z możliwościami i potrzebami wychodztwa.

Dlatego jednak trzeba znać zarówno sprawy polsko-amerykańskie, potrzeby, dążenia i pragnienia czterech miljonów naszych braci w Ameryce, jak i środowisko, w którem żyją i pracują. Trzeba rozumieć nie tylko Polaków amerykańskich, ale i samych Amerykanów, którzy tam jednak nadają ton i których kultura przeciętna, znacznie wyższa od poziomu naszego emigranta, coraz silniej na niego oddziaływa.

Trzeba więc poznać Amerykę, trzeba zrozumieć nerw życia i psychologję zbiorową tego dla nas „Nowego Świata", który jednak coraz widoczniej „Staremu Światu" przewodzić zaczyna.

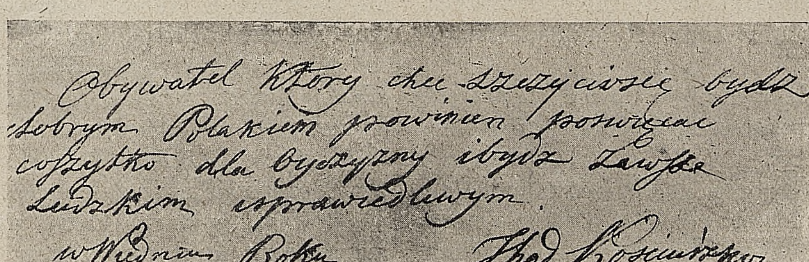
Miesięcznik nasz rozpoczyna trzeci rok istnienia. Chce odtąd służyć i tej zapomnianej, niejako, sprawie naszych Rodaków z za Atlantyku. Chce być nie tylko mostem pomiędzy Ameryką a Polską, ale także łącznikiem pomiędzy „Polską Ameryką" a „Starym Krajem".

Ta Polska Ameryka to przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; to miljony tych w Stanach Zjednoczonych, którzy się już odrzekają od polskości, a w których, chociaż tracimy ich państwowo,—musimy wzbudzić na nowo szacunek i miłość dla polskich tradycyj i ideałów; to dziesiątki tysięcy chłopów naszych rozrzuconych po lasach Parany i Rio Grande; to setki tysięcy tych, co niedługo zaludnią olbrzymie przestrzenie Brazylji, Argentyny i Meksyku.

A więc już nie tylko „Ameryka", lecz „Ameryka-Polska!" Tak brzmi odtąd nazwa naszego miesięcznika. I do pracy tak pojętej, do pomocy w wielkiej robocie kulturalnej w Polsce i Ameryce zapraszamy wszystkich, mających coś do ofiarowania z Ducha.

Wierzymy, że nam nie odmówią!

St. A.


Obywatel który chce szczęśliwie bydź
dobrym Polakiem powinien poświęcać
wszytko dla Oyczyzny i bydź zawsze
Ludzkim sprawiedliwym.
w Wiedniu Roku
1815. 10 Juin.
Thad Kościuszko

Ze zbiorów A. Kahanowicza. Klisza „Tyg. Ilustr."

Autograf Tadeusza Kościuszki.

Polska wśród państw Europy

Amerykańska firma „Foreign Trade Supply Corporation" nadesłała nam bardzo pouczającą tabelę porównawczą, której część reprodukujemy na następnej stronicy.

Jest to graficzne przedstawienie statystyki gospodarczej Państwa Polskiego po dzień 1 stycznia 1924 r. w porównaniu z innemi państwami kontynentu Europy, z wyjątkiem Rosji.

Tabela ta jest dowodem, że Polska nie tylko pod względem państwowym, ale i pod względem gospodarczym stoi w pierwszych szeregach państw europejskich, i przyczyni się niewątpliwie do podniesienia naszego kredytu na rynku pieniężnym Stanów Zjednoczonych.

Poniżej podajemy w skróceniu to zestawienie cyfrowe w porządku, odpowiadającym grupom statystycznym tabeli.

Polska zajmuje piąte miejsce wśród państw europejskich pod względem obszaru. Obejmuje 150,000 ang. mil kwadr. czyli 386,698 kilom. kw. Przewyższają ją: Francja, Hiszpanja, Niemcy i Szwecja. Szóste miejsce tuż za Polską zajmuje Finlandja, następnie idą Norwegja, Rumunja, Włochy, Jugosławja, Czechosłowacja, Węgry i Austrja.

Pod względem ludności Polska zajmuje czwarte miejsce, licząc 27,200,000 ludzi; liczba ta dziś jest już prawdopodobnie znacznie większą. Na pierwszem miejscu stoją Niemcy, następnie idą Włochy i Francja; za Polską w kolejnym porządku idą Hiszpanja, Rumunja, Czechosłowacja, Jugosławja, Węgry, Austrja, Szwecja, Finlandja i Norwegja.

Co do gęstości zaludnienia Polska zajmuje szóste miejsce. Przewyższają Polskę Niemcy i Włochy, liczące 335 osób na milę kw., Czechy — 250, Węgry—223, Austrja—200, Polska—186, Francja—186, Rumunja—143, Jugosławja—132, Hiszpanja—107, Szwecja — 35, Finlandja—23 i Norwegja—21.

Pod względem obszaru gruntów uprawnych Polska zajmuje drugie miejsce w Europie po Niemczech, posiadając 42,946,000 akrów ziemi uprawnej. Za Polską idą Francja, Włochy, Rumunja, Hiszpanja i t. d.

Wydobycie węgla wynosi w Polsce 36,098,000 ton metrycznych. Przewyższają Polskę tylko Niemcy i Francja.

Pod względem długości kolei żelaznych Polska zajmuje trzecie miejsce—14,000 mil angielskich (25,000 kilometrów). Więcej od Polski kolei żelaznych mają tylko Niemcy i Francja, a zaraz za Polską idą Włochy, Szwecja i Hiszpanja. Najmniej kolei ma Norwegja—1,877 mil.

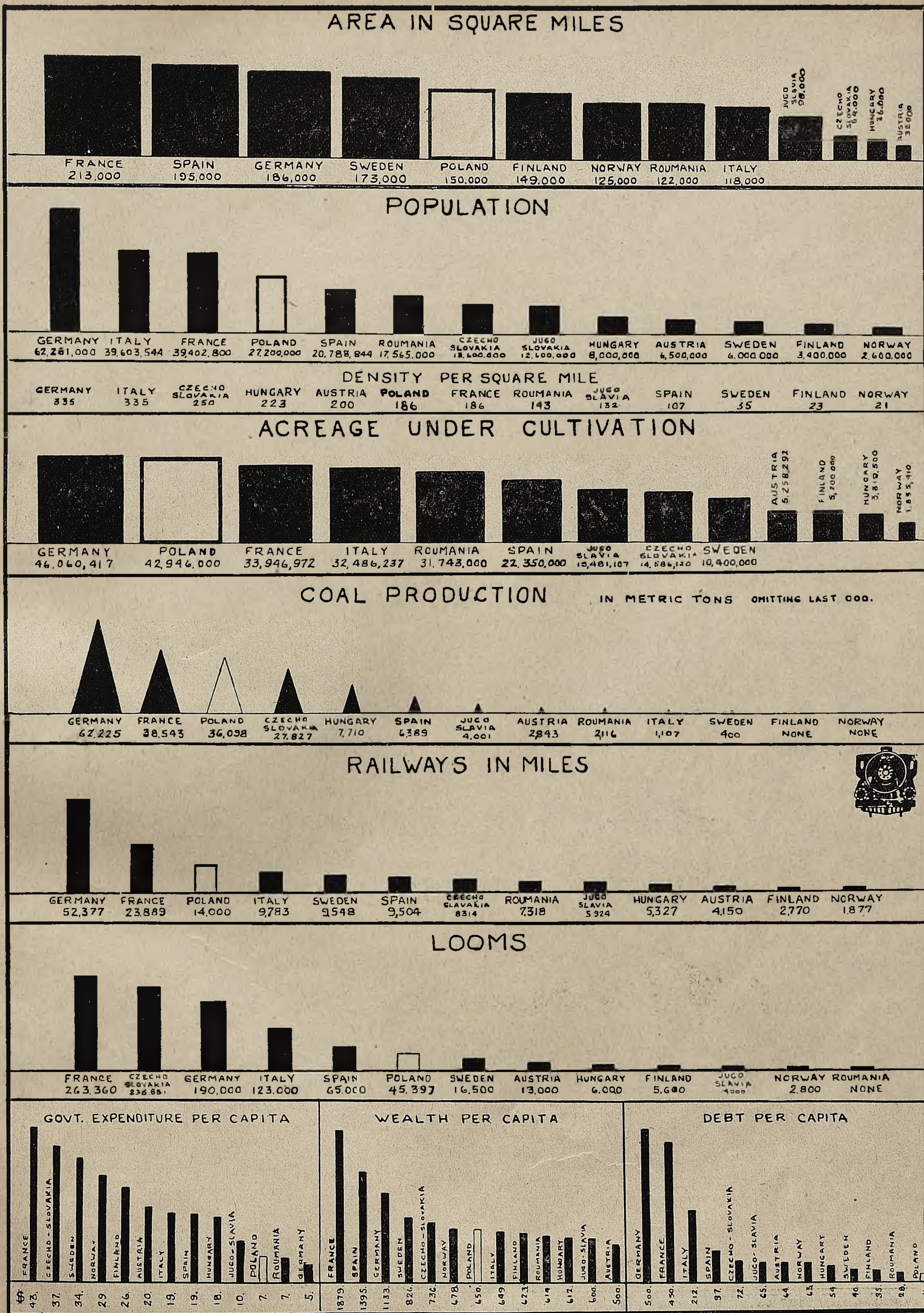
Krosien tkackich posiada Polska 45,397. Znacznie przewyższają ją pod tym względem Francja — 263,360 krosien, Czechosłowacja — 236,881, Niemcy—190,000, Włochy — 123,000 i Hiszpanja—65,000.

Wydatki rządowe na jednego mieszkańca wynoszą w Polsce 7 dolarów. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmuje Francja — 43 dol., za nią idą Czechosłowacja, Szwecja i t. d., a na ostatniem miejscu stały Niemcy—5 dol.

Dzieląc *bogactwo kraju* przez liczbę ludności, otrzymujemy dla Polski sumę *650 dolarów na głowę.* Pod tym względem zajmujemy dopiero siódme miejsce. Bogactwo per capita wynosi we Francji 1879 dol., w Hiszpanji—1395, w Niemczech—1133, w Szwecji—826, w Czechosłowacji—736 i w Norwegji — 678. Ostatnie miejsce zajmuje Austrja — 500 dol.

Natomiast jest jedna rzecz, która spycha Polskę na sam koniec państw europejskich, z czego jednak powinniśmy być bardzo zadowoleni. Tą rzeczą są długi państwowe. *W sprawie długów państwowych Polska stoi na ostatniem miejscu z sumą zaledwie 11 dolarów na głowę ludności.* Na pierwszem miejscu w tym szeregu stoją Niemcy, za nimi idą Francja, Włochy, Hiszpanja, Czechosłowacja i t. d.

Tutaj należy nadmienić, że na czele wyżej wzmiankowanej firmy „Foreign Trade Supply Corporation" stoi wybitny byznesmen amerykański, p. Paul Klopstock, jeden z pierwszych Amerykanów, którzy już od r. 1919 zawierają z Polską poważne tranzakcje handlowe. Z jego pomocą, między innemi, doszedł do skutku zakup 8,000 wagonów towarowych dla P. K. P. Obecnie [p. Klopstock w porozumieniu z Ministerstwem Skarbu Rzeczypospolitej pracuje nad wzmocnieniem naszego stanowiska finansowego na rynku pieniężnym w Stanach Zjednoczonych przez zaopiekowanie się obligacjami Polskiej Pożyczki Dolarowej z r. 1920. Obligacje te, które w r. 1922 spadały czasami poniżej 35% nominalnej wartości, są obecnie od szeregu tygodni notowane na kulisie (curb) giełdy Nowojorskiej około 72%; w krótkim czasie zaś mają nawet wejść do urzędowej ceduły oficjalnej giełdy w New Jorku (New York Stock Exchange). W związku z tem p. Klopstock stara się o sprowadzenie do Polski kapitałów i w tym też celu opracował i wydał omawianą tablicę w ilości 20,000 egzemplarzy, którą porozsyłał wszystkim instytucjom finansowym oraz prasie w Ameryce. Otrzymały ją od niego także wszystkie tamtejsze gazety polskie i zamieściły o niej pochlebne wzmianki, zaznaczając, że zapoznanie się z tabelą jest pożyteczne nawet dla Polaków, ponieważ wzmacnia wiarę w Polskę i wzbudza uczucie optymizmu co do przyszłości.


AREA IN SQUARE MILES
FRANCE 213,000
SPAIN 195,000
GERMANY 186,000
SWEDEN 173,000
POLAND 150,000
FINLAND 149,000
NORWAY 125,000
ROUMANIA 122,000
ITALY 118,000
JUGO SLAVIA 98,000
CZECHO SLOVAKIA 54,000
HUNGARY 36,000
AUSTRIA 32,000
POPULATION
GERMANY 62,281,000
ITALY 39,603,544
FRANCE 39,402,800
POLAND 27,200,000
SPAIN 20,788,844
ROUMANIA 17,565,000
CZECHO SLOVAKIA 13,600,000
JUGO SLOVAKIA 12,600,000
HUNGARY 8,000,000
AUSTRIA 6,500,000
SWEDEN 6,000,000
FINLAND 3,400,000
NORWAY 2,600,000
DENSITY PER SQUARE MILE
GERMANY 335
ITALY 335
CZECHO SLOVAKIA 250
HUNGARY 223
AUSTRIA 200
POLAND 186
FRANCE 186
ROUMANIA 143
JUGO SLAVIA 132
SPAIN 107
SWEDEN 35
FINLAND 23
NORWAY 21
ACREAGE UNDER CULTIVATION
GERMANY 46,060,417
POLAND 42,946,000
FRANCE 33,946,972
ITALY 32,486,237
ROUMANIA 31,743,000
SPAIN 22,350,000
JUGO SLAVIA 15,481,107
CZECHO SLOVAKIA 14,686,120
SWEDEN 10,400,000
AUSTRIA 5,258,292
FINLAND 5,200,000
HUNGARY 3,819,500
NORWAY 1,855,410
COAL PRODUCTION IN METRIC TONS OMITTING LAST 000.
GERMANY 62,225
FRANCE 38,543
POLAND 36,098
CZECHO SLOVAKIA 27,827
HUNGARY 7,710
SPAIN 6389
JUGO SLAVIA 4,001
AUSTRIA 2,843
ROUMANIA 2,116
ITALY 1,107
SWEDEN 400
FINLAND NONE
NORWAY NONE
RAILWAYS IN MILES
GERMANY 52,377
FRANCE 23,889
POLAND 14,000
ITALY 9,783
SWEDEN 9,548
SPAIN 9,504
CZECHO SLAVAKIA 8314
ROUMANIA 7,318
JUGO SLAVIA 5,924
HUNGARY 5,327
AUSTRIA 4,150
FINLAND 2,770
NORWAY 1,877
LOOMS
FRANCE 263,360
CZECHO SLOVAKIA 236,881
GERMANY 190,000
ITALY 123,000
SPAIN 65,000
POLAND 45,397
SWEDEN 16,500
AUSTRIA 13,000
HUNGARY 6,000
FINLAND 5,600
JUGO SLAVIA 4000
NORWAY 2,800
ROUMANIA NONE
GOVT. EXPENDITURE PER CAPITA
$
FRANCE 43.
CZECHO-SLOVAKIA 37.
SWEDEN 34.
NORWAY 29
FINLAND 26.
AUSTRIA 20.
ITALY 19.
SPAIN 19.
HUNGARY 18.
JUGO-SLAVIA 10.
POLAND 7.
ROUMANIA 7.
GERMANY 5.
WEALTH PER CAPITA
FRANCE 1879.
SPAIN 1395.
GERMANY 1133.
SWEDEN 826.
CZECHO-SLOVAKIA 736.
NORWAY 678.
POLAND 650.
ITALY 649
FINLAND 623.
ROUMANIA 614
HUNGARY 612.
JUGO-SLAVIA 600.
AUSTRIA 500.
DEBT PER CAPITA
GERMANY 500.
FRANCE 450.
ITALY 212.
SPAIN 97.
CZECHO-SLOVAKIA 72.
JUGO-SLAVIA 65.
AUSTRIA 64.
NORWAY 63.
HUNGARY 54.
SWEDEN 40.
FINLAND 35.
ROUMANIA 28.
POLAND 11.

Pierwsze miljony amerykańskie

dla rozbudowy miast polskich

Po dłuższych obradach podpisano w końcu listopada umowę między Bankiem Gospodarstwa Krajowego z jednej strony, a nowojorską firmą Ulen and Company — z drugiej. Z ramienia pierwszego podpisali pp. Steczkowski, Korwin-Szymanowski i przedstawiciel Ministerstwa Skarbu, p. Adamski, a z ramienia drugiej, p. M. D. Carrel, wice-prezes firmy, oraz p. Hiram Barney, radca prawny.

Na mocy tej umowy firma Ulen & Co. obowiązuje się nabyć obligacje Banku G. K. na nominalną sumę $ 10.000.000, po kursie 86 za 100, przynoszące 8⁰/₀ rocznie, z terminem umorzenia dwudziestoletnim; oprócz tego ustalona jest roczna stopa amortyzacyjna w wysokości 2⁰/₀, tak, że roczne obciążenie wraz z amortyzacją wynosi niespełna 11⁰/₀.



M. D. Carrel.
Wice-prezydent firmy Ulen & Co.



Hiram Barney.
Radca firmy Ulen & Co.

Powyższa suma jest przeznaczona wyłącznie na budowę wodociągów, kanalizacji i hal targowych w następujących czterech miastach: Lublin otrzymuje $ 2.850.000, Częstochowa — $ 2.571.000, Radom — $ 2.571.000 i Piotrków $ 1.714.000.

Ponieważ obligacje wypuszcza Bank G. K., zastrzegł on sobie też prawo pewnej kontroli nad temi sumami, które otrzymują poszczególne miasta, a mianowicie: pieniądze, które już od 1 stycznia będą przelane z Ameryki, nie postępują do kas miejskich, a pozostają na rachunku Banku, który w miarę potrzeby będzie opłacał wszystkie wydatki, połączone z robotami. Nadmienić tu należy, że umowa wyraźnie podkreśla, iż wszystkie roboty mają być wykonane z krajowych materjałów, siłami krajowemi i pod kierownictwem polskich przedsiębiorców, budowniczych i inżynierów. Jednak firma zastrzegła sobie wykonanie planów i ogólny nadzór techniczny. Pomienione roboty mają być wykonane najpóźniej w ciągu 4 lat.

Tak więc dzielni Amerykanie, których podobizny tu podajemy, zrobili pierwszy krok w kierunku nawiązania ekonomicznych węzłów między Stanami Zjednoczonemi a Polską po okresie wojennym. Umożliwił zaś to nawiązanie Minister Skarbu p. Wł. Grabski, który uporządkował naszą gospodarkę finansową i podniósł złotego do poziomu dolara. Teraz dopiero dojrzewają warunki do poważnych inwestycyj kapitału zagranicznego. Te 50 miljonów złotych, które wpływają do naszej gospodarki miejskiej, to kropla w morzu wobec olbrzymich potrzeb, przed jakiemi stoi cały nasz kraj. Lecz i one przyczynią się w ogromnej mierze do uruchomienia pewnych dziedzin naszego przemysłu oraz do złagodzenia bezrobocia. Sami ci Amerykanie w prywatnej rozmowie przyznają, że omawiana tranzakcja jest tylko zwiastunem całego szeregu następnych operacyj finansowych, bowiem Polska jest nieograniczonem polem dla korzystnych i wydajnych inwestycyj.

Konsolidacja Polskiego długu państwowego

w Stanach Zjednoczonych

Poseł Rzeczypospolitej w Waszyngtonie p. Władysław Wróblewski i Minister Skarbu Stanów Zjednoczonych p. Mellon podpisali w dniu 14 listopada umowę w sprawie konsolidacji długów. Umowę tę zatwierdził już Prezydent Coolidge. Cały dług Polski Rządowi Stanów Zjednoczonych, który powstał z rachunków za mąkę i in. artykuły spożywcze, za fracht i amunicję z okresu powstawania naszego Państwa, wynosi $ 159.666.972. Procenty od tej sumy, które dotąd nie były płacone, urosły do sumy $ 18.898.053. Razem więc dług nasz wyraża się w sumie $ 178.565.025.

Na poczet tego długu wpłacono dla zaokrąglenia sumy $ 5.025, a na sumę $ 178.560.000 Rząd Polski wypuszcza obligacje z terminem umorzenia w ciągu 62 lat i z oprocentowaniem rocznem 3% do 15 grudnia 1932, oraz 3½ w terminie późniejszym.

Konsolidacja tego długu została przeprowadzona na takich samych zasadach, jak konsolidacja długu angielskiego względem Stanów Zjednoczonych. Rząd nasz dzięki załatwieniu tej sprawy zasłużył sobie na największą wdzięczność ze strony społeczeństwa, wykreślił bowiem Państwo Polskie z rzędu niewypłacalnych dłużników i tem samem wzmocnił jego kredyt na arenie międzynarodowych finansów. Amerykańsko-Polska Izba szczególnie cieszy się z załatwienia tej pierwszorzędnej sprawy, gdyż oddawna czyniła o to usilne starania, uważając jej nieuregulowanie za wielką przeszkodę we wszelkich poczynaniach Polski. Wiceprezes Izby p. Stanisław Arct ogłosił w tej sprawie wyczerpujący referat w Nr. 10—12 z grudnia 1923 r. miesięcznika „Drogi Polski", a pismo nasze już w Nr. 11 z grudnia 1923 r. zamieściło gorące wezwanie do Rządu i Społeczeństwa, wskazujące na pilność i konieczność konsolidacji długów Państwa Polskiego z pierwszych lat niepodległości.



— Widziałeś nowy model Buicka na 1925 rok?

— Już jest?

— Naturalnie. Zobacz go obowiązkowo, a zapalisz się do niego. Sportowe linje, bajeczna konstrukcja!

— Przejrzyj sobie ostatnie nowości techniczne w pismach sportowych, a znajdziesz kwintesencję ich w Buicku.

— No, ale zapewne i odpowiednio drogi?

— Przeciwnie! Porównaj ceny, a przekonasz się, że jest to najtańszy wóz wysokiej klasy. Tylko Amerykanie, dzięki swej organizacji przemysłu, mogą dać za małe pieniądze pierwszorzędny wyrób. Radzę jednak nie namyślaj się długo, bo nie zdążysz otrzymać nowego modelu na sezon. Pędź więc do firmy:

„ELIBOR" Sp. Akc. Ł. J. Borkowki, Warszawa, Mazowiecka 11, gdzie dowiesz się o jeszcze jednej zalecie Buicka:

sumienna obsługa i opieka poważnej firmy.

3

Jak się robi pożyczki zagraniczne w Stanach Zjednoczonych

Próbka Statystyki Wielkich Finansów

Dwight W. Morrow, wspólnik nowojorskiego domu bankowego J. P. Morgan i S-ka, wygłosił niedawno w Instytucie Politycznym w mieście Williamstown odczyt na temat organizacji międzynarodowych finansów. Ze względu na osobę prelegenta, wybitnego finansisty amerykańskiego, oraz ze względu na metody badania, jakie zastosował przy rozpatrywaniu realizacji pożyczek zagranicznych drogą koncentracji małych i rozpylonych sum, uważamy za korzystne zaznajomienie się z biegiem rozumowania prelegenta w tej części jego odczytu, która traktuje o technice wielkich zagranicznych pożyczek.

Przedewszystkiem D. W. Morrow zbija zarzuty, wytaczane ze wszech stron przeciwko międzynarodowym finansistom i bankierom. Dowodzi on, że ci ostatni są nieodzownym czynnikiem w rozwoju nowoczesnej cywilizacji, wykonywają oni bowiem takie funkcje w międzynarodowym splocie działań ludzkich, bez których świat dzisiaj nie mógłby egzystować. Przechodząc następnie do zobrazowania metod finansowania i rozpowszechniania pożyczek zagranicznych, mówi, że zasadniczym czynnikiem, który musi być wzięty pod uwagę przy finansowaniu pożyczek, jest nie tyle ten wielki bank współczesny, który realizuje pożyczkę, ile właściwy wkładca (inwestor, ten, który inwestuje, wkłada pieniądze) wielki lub drobny, ten, który nie waha się wymienić swych oszczędności na zobowiązania zagranicznego rządu. Kto jest tym wkładcą, tym inwestorem, który kupuje zagraniczne obligacje? — pyta D. W. Morrow. Nie jest rzeczą łatwą odpowiedzieć na to pytanie. Jeżeli się proponuje amerykańskim wkładcom zagraniczną pożyczkę, to przedewszystkiem bank nowojorski, który tę pożyczkę przeprowadza, wchodzi w porozumienie z 500 lub 1000 drobnych banków oszczędnościowych, rozrzuconych po całych Stanach Zjednoczonych. Obowiązkiem tych właśnie drobnych lokalnych banków jest wyszukanie ludzi, którzy posiadają oszczędności, oraz udowodnienie im, że leży to w ich własnym interesie, by oszczędności swe wymienili na zobowiązania rządu zagranicznego. Wielki bank w Nowym Yorku rzadko się więc styka z tym bezpośrednim odbiorcą obligacyj. On sprzedaje je wielkiemi partjami tym 500 lub 1000 lokalnym bankom, które mają swoją wyrobioną już klientelę.

Trudno jednak wymagać, aby banki lokalne podawały pełne informacje co do charakteru i osobistości rzeczywistych wkładców. Statystyka w tym zakresie często prowadzi na manowce. Chcąc jednak mieć pewien klucz do rozwiązania pytania, kto jest tym rzeczywistym wkładcą, D. W. Morrow uzyskał od trzech lokalnych banków, położonych w trzech różnych punktach kraju, dane, które pozwoliły mu zanalizować sprawę sprzedaży obligacyj dwóch znaczniejszych pożyczek, dokonanych w ostatnich czasach na amerykańskim rynku pieniężnym.

Pierwsza, to 7% pożyczka udzielona Austrji w kwocie $ 25.000.000.

B a n k A.

sprzedano obligacyj	140 osob.,	każdej	od $ 100	do $ 5.000
„ „	16	„ „	„ $ 5.000	„ $ 10.000
„ „	10	„	„ $10.000	„ i wyżej.

Ogółem bank A sprzedał obligacyj 166 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 3.300.

B a n k B.

sprzedano obligacyj	40 osob.,	każdej	od $ 100	do $ 500
„ „	84	„ „	po $ 1.000	
„ „	37	„ „	„ $ 1 500	do $ 2.500
„ „	26	„ „	„ $ 3.000	„ $ 5.000
„ „	2	„ „	powyżej.	

Ogółem bank B sprzedał obligacyj 189 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 1.475.

B a n k C.

sprzedano obligacyj	43 osobom,	każdej	cd $ 100	do $ 2.500
„ „	11	„ „	powyżej	

Ogółem bank C sprzedał obligacyj 54 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 2.200.

Te same trzy banki sprzedawały obligacje drugiej pożyczki, mianowicie 6½% Japońskiej w kwocie $ 150.000.000.

B a n k A.

sprzedano	984 osobom,	każdej	od $ 100	do $ 5.000
„	149	„ „	„ $ 5.000	„ $ 10.000
„	75	„ „	powyżej	„

Ogółem bank A sprzedał obligacyj 1.208 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 3.750.

Bank B.

sprzedano	40	osobom, każdej	po	$ 100		
"	23	" "	"	$ 200		
"	98	" "	"	$ 500		
"	163	" "	"	$ 1.000		
"	70	" "	od	$ 1.100	do	$ 2.500
"	55	" "	"	$ 3.000	"	$ 5.000
"	6	" "	"	$ 5.000	"	$ 10.000
"	5	" "	"	$ 11.000	"	$ 20.000

Ogółem bank B sprzedał obligacyj 460 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 1.575.

Bank C.

sprzedano	64	osobom, każdej	do $ 100	do $ 2.500
"	9	" "	powyżej	"

Ogółem bank C sprzedał obligacyj 73 osobom, przeciętnie każdej na sumę $ 1.700.

Powyższe statystyczne dane nie dają wyraźnego obrazu ulokowania całych pożyczek, jednak powyższe trzy banki są dostatecznie reprezentatywne i przez swoich klientów pokryły Austrjacką pożyczkę w wysokości 4% oraz Japońską pożyczkę w wysokości $3^1/_2$% swej nominalnej sumy.

Za pośrednictwem tych trzech banków 409 osób wzięło udział w pożyczce Austrjackiej, wkładając w nią przeciętnie po $ 2.350 każda; podobnie za pośrednictwem tych banków 1.741 osób wzięło udział w Japońskiej pożyczce, inwestując w nią przeciętnie po $ 3.100.

Zawodowi statystycy niezawodnie wstrzymaliby się od wyciągnięcia z powyższych danych zbyt uogólniających wniosków, jednak bez obawy popełnienia wielkiego błędu należy stwierdzić, iż obligacje Austrjackiej pożyczki na sumę $ 25.000.000 zostały sprzedane 11.000 osób (25.000.000 : 2.350), oraz że obligacje Japońskiej pożyczki na sumę $ 150.000.000 zostały sprzedane 48.000 osób.

Najważniejszy jednak wniosek będzie ten, że 11.000 obywateli amerykańskich, którzy pożyczyli Austrji $ 25.000.000, oraz 48.000 obywateli amerykańskich ,którzy pożyczyli Japonji $ 150.000.000, są to ludzie, którzy składali pieniądze. „Pieniądze włożone w te pożyczki — mówi D. W. Morrow— są niczem innem, jak nagromadzonemi oszczędnościami tego typowego, staromodnego człowieka, który mniej spożywa, niż wytwarza, i w ten sposób stwarza fundusze, w braku których wszelkie plany odbudowy lub przebudowy świata spełzną na niczem. Człowiek ten może być bogaczem lub nędzarzem, bankierem lub kupcem, biuralistą lub nauczycielem, lecz ponad wszystko musi umieć oszczędzać, gdyż będzie to prawdą i w przyszłości, jak było w przeszłości ,że jedynym środkiem, prowadzącym do stworzenia kapitału, jest akumulacja oszczędności".

A. L.

Rozstrzygnięcie Konkursu Miesięcznika „Ameryka"

Protokół

zebrania Jury w sprawie rozstrzygnięcia Konkursu na nową nazwę dla miesięcznika ilustrowanego „Ameryka", które odbyło się dnia pierwszego października 1924 r.

Obecni na zebraniu byli członkowie Jury: F. A. Liszewski, St. Centkiewicz i redaktor M. Tuleja.

P. Tuleja przedłożył zebranym 102 zgłoszenia na Konkurs oraz 9 zgłoszeń nieodpowiadających warunkom, gdyż wypisane były na zwyczajnych kartkach, a nie na blankietach drukowanych, jak to w warunkach Konkursu zastrzeżono — wobec czego Jury tych 9 zgłoszeń z Konkursu wyeliminowało.

Po dokładnem odczytaniu i przepatrzeniu zgłoszeń ważnych członkowie Jury uznali jednomyślnie, że żadne z nich nie zasługuje na nagrodę I-szą, której też — w myśl ogłoszonych warunków konkursu — nikomu nie przyznano.

Do nagrody II-ej zakwalifikowano nazwę: „Nowy Świat", Miesięcznik Ilustrowany Ekonomiczno-Społeczno-Literacki — zgłoszoną przez Włodzimierza Nowakowskiego z Brwinowa.

Do nagrody III-ej zakwalifikowano nazwę: „Przegląd Zachodu", Miesięcznik Ilustrowany — zgłoszoną przez Ryszarda Truszkowskiego z Kościanu.

Nagrodę IV-tą przyznano Zdzisławowi Foglowi z Torunia, za nazwę „Nowe Prądy", Miesięcznik Ilustrowany.

Nagrodę V-tą przyznano Wacławowi Grafczyńskiemu z Warszawy, za nazwę: „Przegląd dwóch światów".

Wszystkie nagrody powyższe zostały nagrodzonym uczestnikom Konkursu w gotówce wypłacone.

Warszawa, dnia 1 października, 1924 r.

Podpisy członków Jury:

Liszewski, Mieczysław Tuleja, Stanisław Centkiewicz.

Kronika Amerykańsko-Polskiej Izby

Przyjęto nowych członków rzeczywistych: Sp. Samoch. „Autosalon" (Szpitalna 7); inżynier St. Korsak (Nowy Świat 21); Dawid Sarnoff, Radio Corp. of America, New York USA; Zakłady Przemysłowe St. Żerański i Sp. (Mazowiecka 8); Sp. Wytwórcza Polskich Rymarzy i Siodlarzy (Nalewki 2a); Biuro Techniczno-Handlowe „Avia" (Krakowskie Przedmieście 7).

Przyjęto nowych członków zwyczajnych: inżynier R. Krzemieniecki (Szopena 19); inżynier R. Zych (Kredytowa 16) i S. Sroka (Nowogrodzka 41).

Wystąpili z Izby: Ch. Paine, Guaranty Trust Co., International Harvester Co.

Z inicjatywy Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce odbyło się w dniu 13 listopada w lokalu tejże Izby łączne posiedzenie przedstawicieli wszystkich Izb Handlowych Polsko-Obcych w sprawie wniesionej do Sejmu przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu ustawy o Izbach Handlowych i Przemysłowych.

Zebraniu przewodniczył Prezes Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej, p. Leopold Kotnowski.

Sądząc z brzmienia Ustawy, wynikałoby, że Izby Polsko-Obce będą pozbawione prawa używania dotychczasowych nazw, co nie jest praktykowane w żadnem państwie.

Postanowiono więc wystąpić z odpowiednim wnioskiem do Komisji Sejmowej i Rządu, protestującym przeciwko pozbawieniu Izb Polsko-Obcych ich nazw zagwarantowanych odpowiedniemi statutami.

Komitet Wykonawczy na swem posiedzeniu w dniu 20 listopada mianował p. Konstantego Hejmowskiego, członka tegoż Komitetu, stałym juris consultem Izby.

Członek Rady Amerykańsko-Polskiej Izby p. Michał Kwapiszewski, były szef wydziału Amerykańskiego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mianowany został chargé d'affaires Rzeczypospolitej Polskiej w Chrystjanji (Norwegja).

Prezes znanej firmy „Radio Corporation of America", J. G. Harbord, nadesłał Izbie wyjątkowo serdeczne podziękowanie za tę pomoc, jakiej doznał od Zarządu Izby inżynier tej firmy, kapitan W. G. Lush, podczas jego pobytu w Polsce przy budowie Warszawskiej Radjostacji.

Kronika Tow. Polsko-Amerykańskiego

W dniu 20 listopada odbyło się posiedzenie Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego.—Prezes Leopold Kotnowski, wręczając panu Antoniemu Wieniawskiemu artystycznie wykonany, podpisany przez członków Towarzystwa, adres z powodu zrzeczenia się Jego od dalszego kierownictwa sprawami Towarzystwa, w bardzo serdecznych słowach wyraził ubolewanie z tego powodu, podkreślając jednocześnie zasługi Jego w nawiązaniu i utrwaleniu przyjaznych stosunków Polski z Ameryką.

Pan Prezes Antoni Wieniawski pozostaje nadal członkiem Zarządów Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce.

Przyjęto nowych członków: Mieczysław Koźmiński, Włodzimierz Szomański (Krak. Przedmieście 7), Patrick S. Verdon (plac Napoleona 5), Wanda Troetzer (Smolna 23), Wanda Troetzerówna (Smolna 23 m. 10).

Wystąpili z Towarzystwa: Ch. Paine, K. Haller, W. Sienieński, James White, S. Mieszkowski, A. Ellis, S. Osada, H. Walch i Polski Instytut Narodowy.

Zostali kooptowani do Komitetu Wykonawczego Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego pp. Stanisław Pawlikowski i Aleksander Leszczyński.

Oferty i zapytania

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

2980/24 Firma wyrabiająca metalowe półki i urządzenia bibljoteczne (w stanie rozłożonym) pragnie oddać przedstawicielstwo na Polskę.

2648/24 Poważna firma w stanie Massachusets produkująca: buty gumowe, kalosze, obuwie płócienne, obcasy gumowe i płytki do aparatów radjotelegraficznych, pragnie wejść w kontakt z firmami polskiemi, zajmującemi się handlem tego rodzaju artykułów.

2395/24 Fabryka opon i kiszek samochodowych w stanie Wisconsin pragnie nawiązać stosunki z firmami w tej branży.

2456/24 Wytwórnia obrabiarek metalowych, specjalizująca się w fabrykacji tokarek rewolwerowych, oferuje swe wyroby.

1829/24 Agent importowo-eksportowy w Chicago pragnie wejść w kontakt z firmami polskiemi w celu objęcia przedstawicielstwa tychże na Amerykę.

2321/24 Firma Nowojorska, wyrabiająca budynki stalowe (w stanie rozłożonym), poszukuje odbiorców.

1864/24 Nowojorskie przedsiębiorstwo zabawek mechanicznych, poszukuje odbiorców na swe fabrykaty.

1492/24 Poważny Dom Towarowy pragnie nawiązać łączność z polskiemi eksporterami drewnianych przyborów kuchennych, oraz małych artykułów metalowych.

Wzrost podatków w Stanach Zjedn.

Okazuje się, iż nie tylko Polska, lecz i cała Europa, a nawet Ameryka czują się niezmiernie ściśniętemi „śrubą podatkową". Potoki złota, płynące za ocean nie uwalniają obywatela Stanów Zjednoczonych od bolesnego ucisku tej śruby. Ogólną uwagę zwraca na siebie stały wzrost podatków zarówno ogólno-państwowych, jak i stanowych oraz lokalnych. Statystyka wykazuje, że ciężary podatkowe, nałożone na ludność Stanów Zjednoczonych (około 110.000.000 osób), z $6.961.000.000 w r. 1922 wzrosły do $7.716.000.000 w r. 1923, czyli w ciągu jednego roku powiększyły się o $ 755.000.000.

Wzrost ten staje się wprost rażącym, gdy zważymy, iż w ciągu ostatnich dziesięciu lat ciężary podatkowe powiększyły się więcej, niż o $ 5.500.000.000.

W r. 1890 wynosiły one $ 1.080.000.000
„ 1913 „ „ $ 2.194.000.000
„ 1919 „ „ $ 3.900.000.000
„ 1921 „ „ $ 5.010.000.000

Same tylko wydatki państwowe na opłatę procentów od pożyczek wewnętrznych wzrosły z $ 208.000.000 w r. 1913 do sumy $ 1.447.000.000 w r. 1923.

Ciekawe są następnie dane dotyczące obciążenia przemysłu amerykańskiego, mianowicie jest ono obecnie większe o $2^1/_2$ raza, niż było w r. 1913.

W r. 1890 ogólna suma podatków wynosiła 7.2% od ogólnej sumy dochodu narodowego; w roku 1903 — 6.7%; w r. 1913 — 6.4%. Stosunek ten odpowiadał mniej więcej ogólno-światowej tendencji, ponieważ dobrobyt oraz dochód narodowy wszędzie przerastał obciążenie podatkowe. Z chwilą jednak wybuchu wojny tendencje te zmieniają się radykalnie i wzrost podatków idzie nieporównanie szybciej, niż wzrost dochodów narodowych. Tak w r. 1919 stosunek ten wyraża się już liczbą 12.1%; w r. 1921 — 16.7%; w r. 1922 zniża się do 12.1%, a w r. 1923 — do 11.6%.

Takim więc sposobem jedna ósma część ogólno-narodowych dochodów Stanów Zjednoczonych idzie na utrzymanie aparatu państwowego, gdy przed wojną wystarczało na ten cel jednej szesnastej części.

Liczby powyższe są dostatecznym powodem do tych nadzwyczajnych zabiegów, jakie okazują sfery administracyjne i polityczne w Ameryce, celem zredukowania kosztów utrzymania rządu i państwa. Na gruncie tych zabiegów wre walka polityczna, jedni bowiem upatrują przyczynę drożyzny utrzymania państwa w aspiracjach partyj lewicowych do reform państwowo-społecznych, inni zaś tłumaczą ją sobie wadliwymi systemami rządzenia przez sfery prawicowe. Kto ma rację? — Pewne rzeczowe dane do odpowiedzi na to pytanie może nam dać Rosja Sowiecka, gdzie podatki nałożone na ludność i przemysł w celu utrzymania machiny państwowej w stosunku do dochodu narodowego nie mogą być porównane z żadnem państwem w historji ludzkości.

Statystyka Rozwoju

przemysłowego, handlowego i finansowego w Stanach Zjednoczonyah w latach 1910, 1914 i 1924.

(W poniższych liczbach opuszczono ostatnie 000).

	1924	1914	1900
1. Zaludnienie	112,686	97,928	76,303
2. Bogactwo	$ 320,803,862	$ 186,299,664	$ 88,517,000
3. Długi państwowe ogólne	21,251,120	1,188,000	1,263,416
4. Złoto w St. Zjedn.	$ 4,490,716	1,871,000	1,034,000
5. „ w obiegu	$ 396,415	612,000	610,806
6. Srebro w obiegu	$ 306,988	230.000	142,050
7. Pieniądze w obiegu	4,255,403	3,402,000	2,173,000
8. Wkłady w bankach	46,001,453	18,517,000	7,239,000
9. Dochody skarbowe	$ 4,012,045	$ 734,673	$ 567,241
10. Cła	$ 545,638	292,320	233,164
11. Wydatki rządowe	$ 3,506,678	700,254	487,714
12. Wartość farm	$ 77,924,100	40,991,449	20,514,000
13. Kapitał przedsiębiorstw przemysł.	$ 44,466,594	22,790,000	8,975,000
14. Eksport ogólny	$ 4,311,284	2,364,579	1,394,483
15. „ art. spoż.	$ 765,150	430,600	545,560
16. „ surowców i materjałów	$ 1,302,453	792,716	325,244
17. „ wytworów przemysłu	$ 2,150,109	1,099,190	484,920
18. Import ogólny	$ 3,554,138	1,893,925	849,941
19. „ art. spoż.	$ 915,722	475,520	231,350
20. „ surowców i materjałów	$ 1,200,328	632,866	276,241
21. „ wytworów przemysłu	$ 1,414,532	768,940	337,390
22. Wydobycie węgla (w tonach).	646,311	513,525	269,684
23. „ ropy naftowej (w galonach)	30,161,000	11,162,601	2,672,000
24. „ surowca żelaza (w tonach)	40,000	23,332	13,789
25. Zbiór pszenicy (w buszlach)	855,000	891,013	522,229
26. „ kukurydzy „	2,458,809	2,673,000	2,105,102
27. „ bawełny (w belach)		15,906	10,102
28. Cukier wwieziony (w funtach)	9,445,000	6,822,000	4,018,120
29. „ wywieziony „	270,942	96,862	26,918
30. Wartość bydła i trzody	4,912,907	$ 5,891,000	$ 2,228,100
31. Długość kolei żel. (w milach)	251,000	263	199
32. Wywóz samochodów i ich części.	$ 195,376	$ 34,711	—

Polski Instytut Organizacji Pracy

We wrześniowym numerze naszego miesięcznika pomieściliśmy rezolucję wielkiego zgromadzenia sfer zainteresowanych z dn. 3-go września 1924 r. dotyczącą utworzenia Instytutu Naukowej Organizacji Pracy i polecającą przeprowadzenie czynności wstępnych prezydjum zebrania w osobach: pp. Ignacego Radziszewskiego, Jana Zaglenicznego, Ludwika Krzywickiego, Stanisława Arcta. Prezydjum ukonstytuowało się jako Komisja organizacyjna i kooptowało do swego grona pp. Piotra Drzewieckiego, Karola Adamieckiego, Stanisława Leśniowskiego, Tadeusza Dzieduszyckiego, Feliksa Laskowskiego, i odbyło szereg posiedzeń na których przedyskutowano całokształt sprawy pod względem organizacyjnym i przygotowano podstawy do dalszych ściślejszych prac.

Komisja zwołała na dzień 11 listopada konferencję ogólno-polskich organizacyj wytwórców, oraz instytucyj i wszystkich osób w Naukowej Organizacji Pracy zainteresowanych, wraz z przedstawicielami ministerstw: Pracy i Opieki Społecznej, Przemysłu i Handlu, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Konferencja ta ustaliła wytyczne dla programu Instytutu Naukowej Organizacji Pracy i zasady jego organizacji, konkretnie zaś prace nad statutem i wprowadzeniem powyższych uchwał w życie powierzyła specjalnie wybranemu Komitetowi w skład którego weszli, z prawem kooptacji następujący: prof. I. Radziszewski, Prezes Stow. Techników, prof. K. Adamiecki, Prezes Koła Inż. Organizacji, inż. P. Drzewiecki, Prezes Ligi Pracy, inż. W. Hauszyld, Naczelnik Wydz. Min. Przem. i Handlu, St. Arct, Wiceprezes Am.-Polskiej Izby Handlowo-Przem. w Polsce, St. Łubieński, Delegat Stow. Polskich Techników i Handlowców w Ameryce, Inż. J. Mokrzyński, Przedstawiciel Polskiego Związku Organizacji i Kółek Rolniczych, oraz przedstawiciel Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej wyznaczony przez Ministerstwo.

W wykonaniu swych obowiązków Komitet przystępuje przedewszystkiem do zgromadzenia funduszów zarówno na prace przygotowawcze jak i dla samego Instytutu, i w tym celu wydaje odezwę do Wytwórców Polskich, którą poniżej w całości zamieszczamy. Odezwa ta podpisana przez najpoważniejsze w Polsce instytucje gospodarcze niewątpliwie odniesie skutek pożądany i Instytut Naukowej Organizacji Pracy zacznie w krótkim czasie usprawniać pracę polską, przyczyniając się do złagodzenia kryzysu ekonomicznego.

Odezwa: Do Wytwórców Polskich

Przed wytwórcami polskimi stoi obecnie ważne zagadnienie:

Nieustający postęp, będący wynikiem prac i badań naukowych, zwiększa w szybkiem tempie sprawność gospodarczą wielu państw współzawodniczących z nami na rynkach wewnętrznym i zewnętrznych.

Ta zwiększająca się sprawność, a szczególnie groźnego sąsiada, jakim są Niemcy, zmusza nas pod grozą dalszego zastoju i zamarcia życia gospodarczego do zaszczepienia też w Polsce najnowszych metod pracy wypróbowanych na zachodzie i stanowiących potężny czynnik utanienia produkcji.

Zarówno podczas wojny jak i w czasie stałego spadku wartości pieniądza, życie gospodarcze na ziemiach polskich wyprowadzone było tak dalece z równowagi, iż nie było możności stosowania ulepszeń i reform, gdyż „dach nad głową się palił".

Obecnie, gdy wartość pieniądza jest stałą, gdy warunki ogólne, społeczne i polityczne, zmierzają do powrotu do stanu normalnego, poprawa warsztatów pracy staje się koniecznością.

Jakkolwiek konieczność tej poprawy jest dostatecznie zrozumiana w sferach przemysłowych i jakkolwiek poprawa ta jest obowiązkiem każdego oddzielnego zakładu wytwórczego, to jednak pokonanie piętrzących się tutaj trudności, przekracza często możność pojedyńczego wytwórcy.

Wskutek tego jest niezbędnem, aby dziś powołana była do życia, zgodnie z doświadczeniem przodującego zachodu, instytucja specjalna, mająca na celu pomoc w tej mierze.

W myśl powyższego niżej podpisani podejmują inicjatywę założenia

Instytutu Organizacji Pracy

przy zasłużonem w społeczeństwie polskiem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, które to Muzeum pracami swojemi dało dowód sumiennej, rzeczowej i bezstronnej pracy.

Instytut ten winien być instytucją zawodowo-naukową, w pracach swych niezależną i stać się centralą poczynań na polu wprowadzenia prawidłowej organizacji wytwórczości polskiej. Winien też być pomocny każdemu wytwórcy w pracach i zamierzeniach jego ku poprawie metod pracy dla podniesienia produkcji, opartej na zużyciu minimum materjału, minimum energji i minimum wysiłku. Przyczyni się to też niewątpliwie do ogólnej poprawy bytu warstw pracujących.

Mając na względzie, iż sprawa ta rozwiązana być może jedynie drogą samopomocy wytwórców zwracamy się niniejszem do WP. jako wytwórcy polskiego, przyczyniającego się do zaspokojenia potrzeb ludności i do zwiększenia majątku narodowego, z uprzejmą prośbą o łaskawe okazanie swego współudziału w tej ważnej sprawie przez zadeklarowanie: jednorazowej sumy i stałego zasiłku przez lat trzy na prowadzenie Instytutu Organizacji Pracy przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

Prezes Komitetu Organizacyjnego
Ignacy Radziszewski

Prezes Muzeum Przemysłu i Rolnictwa
Karol Szlenker

Prezes Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów
Władysław Kiślański

Prezes Związku Polskich Organizacji Rolniczych
Kazimierz Fudakowski

Prezes Polskiego Związku Organizacji i Kółek Rolniczych
Tomasz Wilkoński

Prezes Centralnego Towarzystwa Rzemieślniczego w Państwie Polskiem
Jan Rudnicki

Prezes Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce
Leopold Kotnowski

Prezes Komitetu Wykonawczego Zrzeszenia Naukowej Orga. izacji Pracy w Polsce
Karol Adamiecki

Prezes Ligi Pracy
Piotr Drzewiecki

Prezes Instytutu Socjologicznego w Poznaniu
Florjan Znaniecki

Warszawa w grudniu 1924.

Komitet Wykonawczy Zrzeszeń Naukowej Organizacji Pracy w Polsce,

Warszawa, Czackiego 3

Za kulisami Ekranu

Adama Fr. Augustynowicza

OBRAZ I FILM

W wielu dziedzinach życia pozostaliśmy daleko wtyle. Nowa Muza, Muza Filmu „Filmona" poczyna jednak zdobywać w naszym kraju prawa obywatelstwa i coraz dobitniej podkreśla swoje istnienie.

Obecnie pracują w Polsce czynnie trzy firmy: Leo Forbert, Spółka Akcyjna „Prometeus" i „Sfinks". Zastanówmy się nad warunkami pracy w przemyśle filmowym zagranicą a u nas. Oczywiście pójdziemy krok w krok, tak jak normalnie taka praca powinna wyglądać i w rzeczywistości wygląda.

Co to jest wytwórnia filmów? Otóż u nas utarło się opaczne definjowanie. Wytwórnią filmów możemy nazwać tylko fabrykę, prodującą taśmę filmową, t. j. to, co i u nas, i zagranicą nazywa się film, zarówno do fotografji. jak i do kinematografji. To zaś, co widzimy na ekranie, jest obrazem na filmie, a zatem firmy nasze w Polsce, gdzie niema ani jednej wytwórni filmów, powinny nazywać się wytwórniami obrazów filmowych, a nie filmów.

Z czego musi składać się taka wytwórnia obrazów? Podstawowym i najbardziej zasadniczym elementem jest organizacja fachowo przygotowanych ludzi. Drugą nieodzowną częścią jest aparat techniczny, mniej lub więcej kompletny, trzecią zaś a najwłaściwiej pierwszą—pieniądz.

Te trzy części przy należytem ich skojarzeniu, i w całej zależności od talentów i fachowości twórców (realizatora, reżysera, autora, dekoratora, operatora, aktorów), administracji i personelu pomocniczego, dają dopiero efekt pożądany, który wyraża się w sumie wpływów, osiąganych za filmy.

Kiedy film daje zyski? Jeżeli 1) kapitał jest dostateczny do matematycznie dokładnego wykonania wzorowo opracowanej książki reżysera; 2) reżyser ma talent; 3) temat został wybrany i opracowany z uwzględnieniem istotnych wartości filmowych. Dziś znane wartości filmowe są dla nas takie, które dotykają pierwiastków podświadomie drzemiących w duszach mas, i przez oko prowadzą widza w świat — w którym jak najliczniejsza większość pragnęłaby się znaleźć. Podstawowym zatem czynnikiem jest egzotyczność tematu i egzotyczne jego przeprowadzenie, przyczem pod słowem egzotyczne rozumiemy zarówno słońce Afryki, jak również polskie lasy i zamki, a także np. życie ulicznego chłopaka, czy też osadnika na kresach, przeżywającego dziwy codzienne, a jednak dziwne.

W kinematografji bowiem nie tyle chodzi o pytanie „co", ile „jak".



Podobizny taśmy filmowej (naturalnej wielkości), ilustrujące nie ciągłość obrazu, a oddzielne fragmenty zdjęć z oryginalnych polskich komedyj, w których występuje znany artysta „Tini". Bliższe szczegóły o tej nowej polskiej kinematografji podamy w następnym numerze. — Zdjęć dokonał p. Zyndram-Mucha.

REŻYSER FILMOWY

Przejdziemy pokolei wykonanie filmu.

Temat—został zdecydowany. Prowizoryczny kosztorys objął sumę, jaką firma może dysponować. Dyrekcja firmy, o ile sama nie może realizować — poleca wykonanie dramatu wybranemu przez siebie człowiekowi, który w zależności od zakresu swych czynności jest realizatorem albo tylko reżyserem. Realizatorem bowiem możemy nazwać takiego reżysera, który jest w możności ogarnąć całość wytwarzania filmu, t. j. zarówno kierownictwo administracją, jak i przeprowadzenie artystyczne. A zatem realizator musi być w pierwszym rzędzio doskonałym reżyserem (materjałem na reżysera), a w drugim — byznesmenem, umiejącym patrzeć w dalsze horyzonty.

Jakie wartości musi posiadać człowiek porywający się na reżyserję obrazu filmowego? — Piszemy „porywający się", bo uważamy, że jest to jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie.

Przedewszystkiem musi posiadać duże wykształcenie. Jest to warunek nieodzowny, ponieważ bez dobrego przygotowania naukowego nie można ogarnąć tych, tak skomplikowanych zjawisk, jakie z natury rzeczy muszą istnieć w filmie. Zatem — człowiek wykształcony ma pierwszą szansę na reżysera filmowego.

Drugim nieodzownym warunkiem jest kilka lat praktyki reżyserskiej, względnie aktorskiej, która dałaby kandydatowi na reżysera znajomość akto-



Wnętrze atelier „Polfilmy" w Warszawie, gdzie artyści wytwarzają najpiękniejsze buduary, salony, haremy i t. p.

ra, obrazu scenicznego, sposobu jego powstawania i metod, jakiemi należy się posługiwać, ażeby aktor i dekoracja stworzyły celową, artystyczną całość.

Trzecim czynnikiem jest dokładna, praktycztyczna znajomość techniki filmowej, obejmująca: technikę zdjęć, używanie oświetleń, procesy laboratoryjne, znajomość materjałów, aparatów i urządzeń technicznych, znajomość ludzi pracujących na tych polach zawodowo. Na opanowanie tych spraw potrzeba, naszem zdaniem, kilku lat stałej pracy w przemyśle filmowym. Bez znajomości tego reżyser nie może niczego dokonać.

Czwartym warunkiem dobrego reżysera jest umiejętność łączenia poszczególnych scen w jędrną, pełną nerwu dramatycznego całość, prowadzenie akcji w sposób trafiający w to, czego widz podświadomie oczekuje, a czego jednak nie zawsze się spodziewa, w sposób gotujący mu szereg niespodzianek, co jest paradoksem warunkującym powodzenie.

Ostatnim czynnikiem jest... prawdziwy talent. Bez niego — niema rezultatów wybitnych. I być nie może.

Talent — talent... Jak go poznać? Jak stwierdzić, że człowiek, któremu firma powierza wykonanie swego obrazu, godnie odpowie zaufaniu. Pierwszym wskaźnikiem jest rezultat pracy. Człowiek, który wykonał dobry film i wykonał go rzeczywiście bez cudzego wpływu, jest właśnie takim, jakiego potrzeba. Jednakże, jeżeli np. na teren Polski przybyłby któryś ze znanych realizatorów zagranicznych, to nieznajomość stosunków lokalnych musiałaby doprowadzić do chybionego dzieła. Dlatego reżyser, który nawet już zdał egzamin, nie może pracować bez wielomiesięcznego zaznajomienia się z terenem.

Przypuśćmy, że nie mamy w danym momencie człowieka, który zdał egzamin w praktycznej pracy. Musimy więc wybrać takiego, który z poprzednio wyłuszczonych warunków na reżysera posiada ich najwięcej.

KSIĄŻKA REŻYSERA

Reżyser przystępuje do pracy. Otrzymał temat na kilku arkuszach maszynowego pisma ma ustalony preliminarz kosztorysu i rozpoczyna przygotowanie tak zwanej „Książki reżysera". Polega ona na tem, że reżyser posiadany temat rozbija na poszczególne sceny, wypisując sobie zazwyczaj każde ustawienie aparatu do zdjęć (scena) na oddzielnych kartkach. W ten sposób z kilkuset wierszy tematu urasta gruba książka, jako pierwsze opracowanie reżyserskie. W książce tej są zazwyczaj narazie tylko górne wiersze każdej stronicy zapełnione, a duża wolna przestrzeń pod temi wiersza-



Widok zewnętrzny atelier „Polfilmy" w Warszawie.

mi, które zawierają zwartą treść każdej scenki, — wypełnia się dalszemi uwagami reżysera. Uwagi te wynikają z dalszej pracy reżysera nad dziełem, (korekty I, II i III) ze współpracy z dekoratorem, który musi załączyć do książki szkice dekoracji, i z pomocy operatora.

Z operatorem obmyśla reżyser wszystkie szczegóły zdjęcia na podstawie szkicu dekoracyjnego. A zatem plany sytuacyjne, oświetlenie, ujęcie zdjęć i specjalne efekty, o ile są one wymagane.

(C. d. n.)

E. R. CUMMINGS *TŁUM. S. CENTKIEWICZ*

Y. M. C. A. w Ameryce

Kilka wrażeń z rozwoju Związku Młodzieży Chrześcijańskiej

OD REDAKCJI. Pan E. R. Cummings, generalny inspektor pracy Y. M C. A. w Polsce, po trzyletnim pobycie w Polsce, spędził letnie wakacje w swej ojczyźnie. Poniżej podajemy garść jego wrażeń, powstałych z bezpośredniej obserwacji zmian, jakie zaszły w tej organizacji, tak doniosłej dla młodzieży całego świata.

Obserwując zmiany, jakie zaszły w organizacji amerykańskiej YMCA w czasie mej trzyletniej nieobecności w ojczyźnie, zauważyłem, że skład stałych współpracowników, t. zw. „sekretarzy" YMCA znacznie się polepszył, gdyż są oni dobierani z największą rozwagą z pośród wzmagającej się coraz bardziej ilości młodych ludzi, chętnych do pracy społecznej. Współpracownicy YMCA nie przerywają swych studjów naukowych, a wprost przeciwnie Zarząd kładzie nacisk na stałe osobiste ich kształcenie się.

Dzięki temu spędziłem część tegorocznego lata w Szkole Letniej YMCA w Lake Geneva, w stanie Wisconsin i część w Uniwersytecie Kolumbijskim w Nowym Yorku, gdzie starałem się zapoznać z najnowszemi metodami stosowanemi przez YMCA w Ameryce oraz najnowszemi prądami w dziedzinie wychowania, socjologji i historji.

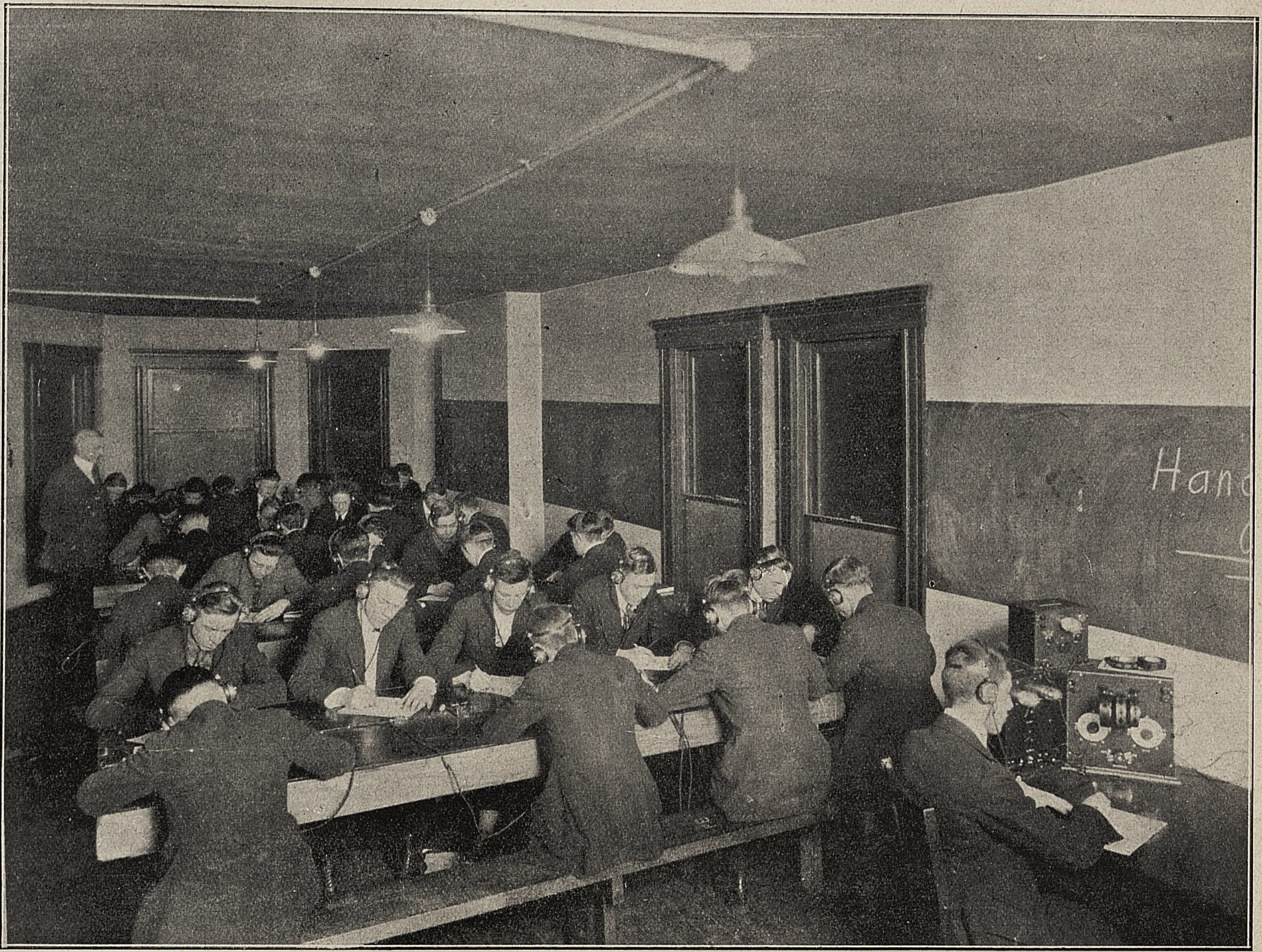
W Lake Geneva odniosłem wrażenie, że osnowy religijne ruchu YMCA zmieniają się w kierunku pewnego liberalizmu i tolerancji. Zarzuty przeciw YMCA, jako organizacji o ciasnem, sekciarsko-protestanckiem podłożu, obecnie nie mają podstaw, gdyż przeprowadza ono program jak najszerszego stosowania zasad chrześcijanizmu, jako takich, a nie ich ujęcia przez poszczególne wyznania. Szkoły YMCA starają się wpoić w swych słuchaczów przeświadczenie, że w dziedzinie praktycznego stosowania w życiu chrześcijanizmu nie powinno być różnic między nimi, gdyż wszyscy są tylko chrześcijanami pragnącymi wcielić w czyn proste nauki Chrystusa.

Interesując się specjalnie stroną techniczno-finansową organizacji, zwiedziłem większe centra pracy YMCA, jak Nowy York, Brooklyn, Bridgeport, Buffalo, Cleveland i Chicago, studjując metody zbierania i rozdzielania funduszów, potrzebnych na cele organizacji. Jest rzeczą zupełnie jasną, że organizacja tylko wtedy może wykonać swe zadania opieki nad młodzieżą, gdy posiada na to odpowiednie środki, czyli inaczej: stan funduszów danego stowarzyszenia charakteryzuje nam jego wpływ na środowisko, w którem działa. Zasadniczo odpowiedzialność za wychowanie młodzieży, która stanowi przyszłość narodu, należy bezpośrednio do społeczeństwa, zorganizowanego w różne grupy, gminy, miasta i t. p. YMCA stanowi jedynie instytucję pośrednią, która na zasadach naukowo przeprowadzonego programu, przy współpracy z kościołem, ujmuje w swe ręce całokształt wychowania młodzieży pod względem społecznym, umysłowym i duchowym, gromadząc ją we własnych gmachach lub też wpływając na nią bezpośrednio w jej otoczeniu. Dla wykonania powyższego planu winny więc poszczególne gminy dostarczyć YMCA potrzebnych funduszów, do YMCA zaś należy obowiązek przypomnienia wszystkim obywatelom-chrześcijanom o ciążącym na nich wielkim obowiązku opieki nad swą młodzieżą, podając sposób zużytkowania części ich dóbr materjalnych, dla jej wykonania.

To właśnie miał na myśli zmarły prezydent W. Wilson, gdy mówił: „Wartość społeczna danej gminy określa się przez stopień zainteresowania jej mieszkańców miejscową organizacją YMCA".

Zakres jednak działania YMCA nie obejmuje tylko Ameryki. Za pośrednictwem Wydziału Zagranicznego, bogata Ameryka niesie pomoc tym narodom, które wskutek wypadków historycznych, zostały pozbawione możności normalnego rozwoju ekonomicznego. Wielu Amerykanów sądzi, że najlepszym sposobem pomocy dla tych narodów będzie stworzenie dla ich młodzieży odpowiednich warunków do samodzielnego rozwoju, podobnie jak to ma miejsce, dzięki YMCA, w Ameryce. Pomoc tych właśnie ludzi umożliwiła YMCA jej pracę zagranicą.

We wrześniu r. b. miałem zaszczyt wzięcia udziału w konferencji Komitetu Narodowego YMCA amerykańskiej i jej sekretarzy w Atlantic City. Uczestnictwo w obradach Wydziału Zagranicznego, który dwa dni radził nad możliwie naj-



Y. M. C. A. w Ameryce przygotowuje młodzież do pracy praktycznej. Rysunek przedstawia klasę do ćwiczeń radiotelegraficznych.

więcej wydatnemi sposobami pomocy dla organizacyj YMCA w obcych krajach — mogło rozwiać całkowicie tkwiące w niektórych z nas przeświadczenie o rzekomym materjalizmie amerykańskim. Więcej niż połowa plenarnych posiedzeń konferencji poświęcona była omawianiu zagadnień dotyczących zagranicznej pracy YMCA w Japonji, Chinach, Indjach, południowej Afryce i Europie. Podkreślono, że YMCA nigdy nie narzuca swej pomocy dla jakiegokolwiek narodu i zawsze trzymała się poniższych zasad:

1. Nigdy nie wkroczyła do żadnego kraju, nie otrzymawszy uprzednio zaproszenia od wpływowych chrześcijan w nim zamieszkujących.

2. Stara się możliwie najszybciej pomóc w stworzeniu miejscowej, niezależnej, samowystarczalnej organizacji z komitetem wykonawczym na czele.

3. Cały zarząd organizacji, YMCA oddaje w ręce miejscowego komitetu wykonawczego i miejscowych przywódców, amerykańscy sekretarze zaś w roli doradców, tylko na specjalne zaproszenie komitetów narodowych, obejmują funkcje administracyjne.

4. Pomoc finansowa jest okazywana tylko do chwili, gdy organizacja miejscowa zaczyna działać o własnych siłach.

Wrażenia, które wyniosłem z pobytu w Ameryce, mogę zreasumować jak następuje: Z jednej strony uwidoczniają się w Ameryce wzrastające dążności materjalistyczne, z drugiej jednak wzmagają się potężne prądy, zwracające uwagę ludzką na istotne wartości życia i skłaniające ludzi do poświęcania swego czasu i pieniędzy więcej dla innych niż dla siebie.

Pomiędzy temi prądami ruch YMCA zajmuje przewodnie miejsce i każdy kto bierze udział w tej organizacji, może być dumny, mogąc się do niej zaliczyć.

Ślub...?

(Dalszy ciąg ze str. 5)

dośćuczynienia sprawiedliwości? Uczyniliście ze mnie narzędzie jakiejś szkaradnej zmowy?

— Ależ tu niema żadnej zmowy — wesoło zauważyła Phyllis.—Ojciec miał jak najlepsze zamiary, czasami jednak uskutecznia je zbyt gwałtownie. Całe swe postępowanie życiowe wzorował na nieboszczyku Roosevelcie, o którym wyrobił sobie specjalny pogląd. Od czasu wojny jednak tak mu się słuch przytępił, że często decyzje jego nie wiążą się z tem, co widzi lub słyszy.

— To strasznie kłopotliwa rzecz — zasępił się sędzia.

Był on człowiekiem bardzo ostrożnym, jak zresztą wszyscy przedstawiciele palestry. Robienie błędów nie leżało w jego zwyczaju.

— Jeżeli pani Kelley pozwoli na chwilę do mego prywatnego mieszkania obok — pragnąłbym omówić tę sprawę z panem Kelley.

Pani Kelley spełniła życzenie. Skoro tylko wyszła, na obliczach obydwu mężczyzn zawisła posępna chmura.

— Jak się wyplątać z tej sytuacji? — Joe domagał się odpowiedzi.

— Czyś pan pewny, iż istotnie chciałbyś się wyplątać? — pytaniem na pytanie odpowiedział sędzia. — Ja osobiście jestem kawalerem, słyszałem jednak, że wszystkie kobiety są mniej więcej podobne do siebie. Sądząc z wyglądu, obecna żona pańska jest prawdziwą chlubą swej płci. Ta druga zaś, no, oczywiście, jest trochę większa...

Wyraz twarzy Joe odebrał sędziemu ochotę do dalszych porównań.

— Na miłość Boską, panie sędzio, człowiek nie wybiera sobie dozgonnej towarzyszki życia według rozmiarów, ani wyglądu zewnętrznego! Jest coś tutaj — uderzył pięścią w okolice aorty — coś, co mówi, którą wybrać należy.

— Musi pan przecie liczyć się z tem, co przed chwilą powiedziała wybranka pańskiego serca: nie życzy sobie więcej z panem mówić. To zaś dziewczę, pańska żona, jest, że tak powiem, już ptaszkiem w klatce. Jeżeli pan istotnie chcesz mieć żonę, to innego wyboru być nie może.

Odpowiedź, jaką mógłby dać Joe na te wywody, ulotniła się na zawsze z jego pamięci: nagle ukazał się w drzwiach młodzieniec w uniformie oficera armji amerykańskiej w melodramatycznej postawie.

— Wstawaj, fircyku! — krzyknął rozkazująco.

Obaj mężczyźni posłusznie wstali.

— Mówię do Joe Kelley, który złamał życie mojej siostry.

Sędzia, doznawszy ulgi, siadł z powrotem.

— Sam! — rzekł Joe, witając młodzieńca. — Winszuję ci! Otrzymałeś urlop.

— Co mi z urlopu, gdy widzę, że siostra moja jest sponiewierana, a przyjaciel okazał się zdrajcą! Śpieszyłem do domu, by zdążyć na ślub, a znalazłem ją we łzach. Jesteś łotrem — poślubiłeś inną kobietę! Czyś sądził, że hańbiąc ją, nie będziesz miał do czynienia ze mną? Zdejmuj surdut, zabiję cię gołemi rękoma!

— Nie, mój panie—wtrącił sędzia z powagą— cokolwiek ten człowiek uczynił, musisz pan pomyśleć o dziecku.

— Jakie dziecko? — Oficer wstrzymał swe przygotowania do zemsty.

— To maleństwo! — Sędzia wskazał na śpiące w fotelu dziecko. Niedarmo słynął jako sędzia śledczy: nikt lepiej od niego nie wyciskał łez z najbardziej zatwardziałego głazu. Po kilku rzewnych słówkach ciągnął dalej: — To dziecko ma święte prawo domagać się miłości i opieki od swego ojca!

— Sędzio, ja nie jestem ojcem tego dziecka— próbował przeczyć Joe Kelley.

— Sza, nie wtrącaj się! — szepnął na stronie sędzia. — Chcę ci ocalić życie.

Porucznik powoli zapinał mundur, rzucając spojrzenia w stronę śpiącego cheruba.

— Zapewne, skoro tak. Nie mogę cię zabić, jeśli od ciebie zależy wychowanie tego dziecka oraz dobre imię, które mu dajesz. Jednak zemsta cię nie minie; składam ją w ręce twej własnej żony, która, jak mi Marge mówiła, jest wiedźmą godną ciebie. — Bez słowa pożegnania skierował się ku wyjściu.

Joe go zatrzymał.

— Któż ci powiedział, że moja żona jest wiedźmą?

— Margery.

— Chwała Bogu — odetchnął Joe — więc jednak jest zazdrosną! Słuchaj, Sam, sprowadźże ją tu natychmiast. Powiedz jej, iż wszystko da się wytłumaczyć.

— Jakto, nawet i... dziecko?

— Nawet dziecko!

— Ciekawe, ciekawe! — mówił porucznik Green, nie ukrywając zdziwienia, lecz zgodził się ostatecznie spełnić prośbę Joego.

— Jakżeż to pan wytłumaczy? — spytał sędzia, gdy znowu byli sami.

— Poczekaj pan. Sam jeszcze nic zrozumieć nie mogę. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, pragnąłbym zadać kilka pytań pani... to jest mojej żonie!

Phyllis wróciła do gabinetu. Sędzia na jej widok nie mógł skryć swej wątpliwości co do zdrowych zmysłów nie tylko Joe, lecz i każdego innego mężczyzny, któryby dobrowolnie zechciał się jej wyrzec. On osobiście spędził już oto pięćdziesiąt lat na poszukiwaniu przeznaczonej dlań kobiety i naraz z żalem spostrzega, iż wreszcie ją znalazł.

Oko męskie nie odrazu spostrzegło zmianę, jaka w niej zaszła: zamiast czarnej czapeczki miała

na głowie szkarłatną, a kibić jej zdobił czerwony bukiecik.

— Nim weszłam tu, odwróciłam czapkę podszewką na wierzch — tłumaczyła, jakby w odpowiedzi na pytające spojrzenia. — Sądziłam, iż tak będzie lepiej na wypadek, jeżeli panowie stawicie papie opór. Teraz zaś, gdy jestem już pewna, iż wdową nie zostanę, mogę mieć wygląd weselszy.

Sędzia pierwszy odważył się przemówić:

— Mąż pani, pan Kelley, pragnie unieważnić ślub.

Phyllis odpowiedziała kaskadą śmiechu. Dźwięk ten dla nikogo nie był niespodzianką. Phyllis inaczej śmiać się nie mogła. Był to śmiech-muzyka, śmiech-pieśń, płynący ze szczerego serca.

— Nie usprawiedliwiaj go, panie sędzio. Gust nie da się ująć w żadne reguły. Wielu ludzi sądzi, iż blondynka nigdy nie może być przystojną. A teraz, co się tyczy unieważnienia — jakie są tego prawne podstawy?

— Zasadniczo jedynym powodem prawnym do unieważnienia ślubu jest dowód, iż jedna ze stron podczas zawierania nowego związku już była legalnie zaślubioną. — Sędzia, siląc się na humor, zwrócił się do obecnych:

— Czy ktokolwiek z państwa był już poprzednio w związkach małżeńskich?

— Broń Boże! — odpowiedział Joe.

— A pani?

— Czy mam mówić prawdę?

— Oczywiście!

— Byłam więc już raz zamężną.

— Jakto! — Sędziemu ze zdziwienia rozwichrzyły się brwi, zaś Joe się rozpromienił.

— Było to w roku 1917.

— A więc dziecko to jest prawnem! — skwapliwie zagadnął sędzia.

— Sądzę, że tak — roześmiała się Phyllis. — Ale czyje ono jest?

— Jakto, więc nie pani?

— Skąd znowu, ależ nie! Bawiło się w przedsionku i weszło tu za mną.

— Łaskawa pani, ja jestem kawalerem.

— Mamy więc już dziecko, jak to dobrze, możemy odrazu stworzyć ognisko domowe! — śmiała się Phyllis.

— Lecz jakże się ma sprawa z małżeństwem pani? Czy mąż pani żyje?

— Nie wiem. Nie widziałam go od dnia ślubu naszego — nie miałam nawet żadnej wiadomości.

— Jak się nazywa?

— Joe Kelley — dlatego też sądziłam, że to pan, i byłam tak wzburzoną na wiadomość o pańskim ślubie. Do ostatniej chwili nie zwierzałam się nikomu o mojem małżeństwie, mówiłam tylko, że jestem zaręczoną, by odczepić się od różnych adoratorów. Nie miałam także odwagi przyznać się papie, aż do czasu powrotu męża. Byłam bardzo nieszczęśliwą. Papa oświadczył, że chce pana zabić i wcale mnie to nie zmartwiło. Byłam spragniona zemsty, sądziłam więc, że to jedno tylko może mię zadowolić.

— Byłaby pani na pewno więcej zadowoloną, niż ja — posępnie zauważył Joe. — Sądzę jednak, że obecna moja sytuacja niewiele różni się od śmierci.

— Musimy przecież wpaść na ślady pani męża — wtrącił sędzia. — Co jest przyczyną, żeście się państwo nie widywali?

— Był w dywizji Rainbow i odpłynął na wojnę nazajutrz po ślubie. Spotkaliśmy się wieczorem dnia poprzedniego. Zwolniono go na dobę i w drodze do Nowego Yorku zepsuł mu się przed moim domem samochód. Pospieszyłam, by wskazać mu drogę do dworca, lecz spóźnił się na pociąg. Ponieważ na zwiedzenie miasta była chwila nieodpowiednia, więc zaprosiłam go do domu moich znajomych, gdzie się zatrzymałam. W braku wolnego pokoju musiał się przespać na bilardzie, a później, nazajutrz rano, pobraliśmy się potajemnie.

Teraz wiele rzeczy się wyjaśnia — rzekł sędzia — lecz czemu nie otrzymywała pani żadnych wiadomości?

— I ja tego w żaden sposób zrozumieć nie mogę, chyba, że, będąc podnieconym, zapomniał moje nazwisko i adres.

— Pani jednak pisała do niego?

— Listy zwracano mi nierozpieczętowane — z wyjątkiem pierwszego.

Joe chrząknął, jakgdyby chciał przeczyścić krtań.

— Ten list ja rozpieczętowałem — otrzymałem go przez omyłkę. I ja służyłem w dywizji Rainbow. Później, gdy poznałem już charakter pisma, zwracałem wszystkie listy nierozpieczętowane, były one pewnego rodzaju... — zamilkł, szukając odpowiedniego wyrazu.

— W samej rzeczy — dodała Phyllis — troszczyłam się bardzo o niego. I dziś nawet troszczę się jeszcze, wiedząc, że to nie pan.

— Niezbyt to dla mnie pochlebne, rozumiem jednak panią w zupełności. — Gdy więc uwydatniły się już realne trudności, Joe zwrócił się do sędziego: — W celu unieważnienia ślubu należałoby, sądzę, dowieść, iż ten drugi jegomość żyje?

— Tak! — potwierdził kapłan Temidy — co jednak ze względu na to, że od czterech lat niewiadomo, co się z nim dzieje, jest rzeczą bardzo trudną. Są wszelkie dane... tu sędzia pod wpływem wzroku Joe zająknął się — że on, być może... hm... spotkał inną kobietę i...

— Życzyłabym sobie usłyszeć raczej, iż został zabity, jak można było sądzić z pierwszych pańskich słów — żaliła się Phyllis. — Myśl o tej innej dręczyła mnie już samą sto tysięcy razy. Bądź co bądź, on się tak świetnie prezentuje.

— Czy istotnie wolałaby pani — z ciekawością zagadnął Joe — ukochanego przez siebie mężczyznę widzieć martwym, niż mężem innej kobiety?

JAN SOBIESKI

MONOGRAFJA HISTORYCZNA
ARTURA ŚLIWIŃSKIEGO

Wydanie wytworne albumowe, zawierające 110 rycin i portret Jana Sobieskiego. Inicjały na początku rozdziałów rysował i układ książki opracował prof. Edward Trojanowski.

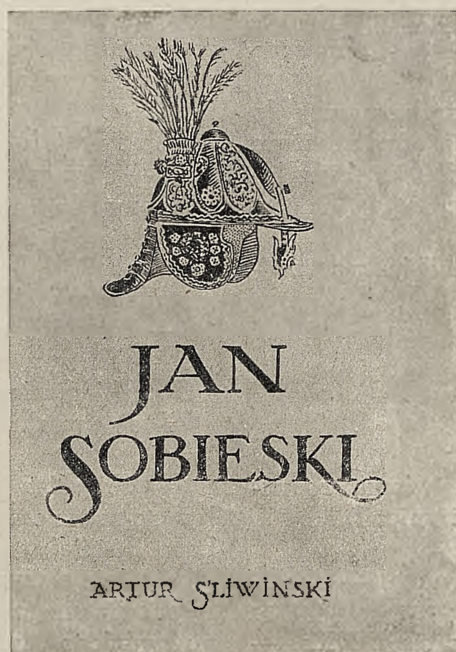
Rozmiar książki 32×24 cm.

CENA Zł. 20.—

W ozdobnej płóciennej oprawie Zł. 32.—

Z przesyłką pocztową Zł. 20.80

i w opr. Zł. 33.—



TREŚĆ:

INNE DZIEŁA ARTURA ŚLIWIŃSKIEGO:

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA.
Wyd. III. 1 50

JAN KAROL CHODKIEWICZ.
Hetman wielki litewski,
z 6 ryc. i mapą 3 60, w opr. 4 60

JOACHIM LELEWEL.
Zarys biograficzny. Lata 1786—1831. 6 60

MAURYCY MOCHNACKI.
Żywot i dzieła. Wyd. II. 6 —
w opr. ozd. 7 80
na pap. bezdrzewnym, w większ. form. 10 —

POLSKA NIEPODLEGŁA.
Historja w obrazach i opowiadaniach.
Z rycinami. 3 80, w opr. 6 —

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE.
Z 6 portretami. 3 40, w opr. 4 50

POWSTANIE LISTOPADOWE.
Wyd. IV z 12 portr. 3 40, w opr. 4 50

POWSTANIE STYCZNIOWE.
Z 12 portr. Wyd. II. 4 —, w opr. 5 20

STEFAN BATORY. (Wojny Moskiewskie).
Z rysunkami. 4 —, w ozd, opr. 5 20

HETMAN ŻÓŁKIEWSKI.
Z 9 rycinami. brosz. 3 80, w opr. 5 —
Wyd. większe na lepszym pap. brosz. 7 20
w ozd. opr. 8 40

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.
Wyd. II. — 25

8

— Naturalnie. Jestem przecież kobietą.

— A więc Margery życzy sobie w tej chwili mojej śmierci?

— Niezawodnie.

— Boże!

— Rozmowa państwa rozstrzyga moje wątpliwości co do zagadnienia: kobieta czy tygrys—abstrakcyjnie zauważył sędzia. — Dotychczas bowiem, oczywiście, ze względów czysto humanitarnych, miałem w tej kwestji zupełnie odrębny pogląd.

Ktoś nieśmiało zastukał do drzwi. Było to w tym dniu rzeczą wręcz niezwykłą, dotąd wszyscy wpadali gwałtownie.

— Proszę! — rzekł sędzia.

Była to Margery ze łzami w oczach, lecz z miną zaczepną. Zatrzymała się u drzwi.

— Brat mój, Sam, namówił mnie, abym tu przybyła dla wysłuchania objaśnień.

— Wyśmienicie zrobiłaś — ucieszył się Joe.— Gdzież jest mój przyjaciel, Sam?

— Został na dole w samochodzie. Ma się trzymać na baczności i kiedy dam sygnał chusteczką przybiegnie natychmiast, by wykonać, co początkowo zamierzał.

— Nie będzie się potrzebował fatygować na górę — zawyrokował Joe — wszystko składa się jak najlepiej.

— Czy istotnie? — mówże prędko...

— Otóż sprawa przedstawia się w ten sposób, że Phyllis...

— Więc mówisz jej już po imieniu?

— Do licha, jakże mam ją nazywać? Rzeczywiste jej nazwisko jest zresztą pani Kelley, lecz czyż nie brzmi to zbyt oficjalnie? A poza tem...

— Dobrze już, nazywaj ją sobie Phyllis. Nic mnie to nie obchodzi.

— Ona zatem — zaczął Joe, wskazując na jasnowłosą postać — myślała, że ja jestem kim innym, kogo poznała podczas wojny, kto nosił to samo nazwisko i za którego wyszła potajemnie zamąż. Należał do armji i nazajutrz po ślubie wyjechał. Odtąd nie dał znaku życia o sobie. Zupełnie naturalne jest to, co się stało, gdy ojciec jej wyczytał o moim ślubie w gazetach.

— Słyszy pani? — jakgdyby na usprawiedliwienie rzuciła Phyllis. — Przytem mój Joe Kelley był bardzo przystojnym mężczyzną.

— Czy przystojniejszym od mego? — wojowniczo zagadnęła Margery.

— Wolę na to pytanie nie odpowiadać, jeżeli to panią gniewa. Zresztą i ten Joe Kelley jest także moim, o ile obrządek ślubny ma jakiekolwiek znaczenie w tym kraju. Nie mam nic przeciwko objaśnieniom, jakich pani udziela, jednak nie mam zamiaru zwolnić go od obowiązków małżeńskich względem mnie, dopóki nie znajdzie się mój prawdziwy Joe Kelley.

— Lecz Joe nie kocha przecież pani — broniła się Margery — czy nie tak, Joe?

— To jest, ja... — zaczęła ofiara.

— Zabraniam ci odpowiadać — przerwała mu żona. — On będzie żył ze mną i nie życzyłabym sobie stwarzać gorszego wspólnego pożycia od przeciętnej pary małżeńskiej. Jest ono dostatecznie ciężkie.

— Należałoby się pani je poznać — zadrwiła sobie Margery.

— Zaklinam was, panie, nie kłóćcie się — perswadował ten, kto stał się kością niezgody — niema o co!

— Ja nie wiem — w zamyśleniu mówiła Phyllis — ale zdaje mi się, pan nie jest wcale taki straszny. Nie mogę wprawdzie porównać pana z moim poprzednim Joem — lecz wobec teraźniejszych mężów, sądzę, że znalazłoby się wielu gorszych.

— Oho! — krzyknęła Margery — ona się już w tobie zakochała.

— Mylisz się — zaprzeczył Joe — ona jest tylko na tyle delikatną, że nie chce ranić moich uczuć.

Margery skrzywiła noskiem.

— Skąd ty wiesz, jakie ona ma intencje? Żaden mężczyzna nigdy jeszcze nie zrozumiał, do jakiego stopnia może blondynka posunąć swą zdradę i podstęp.

— Zdradę? — Phyllis uczuła się ukłutą w najboleśniejsze miejsce. — Nazywa to pani zdradą, że byłam wierną człowiekowi, którego trzy lata nie widziałam? Jakiem prawem potępia mnie pani, skoro na samo tylko podejrzenie, że narzeczony pani mógł w swojem życiu znać inne kobiety, porzuca go pani w chwili ślubu. Mojem zdaniem, Joe może być szczęśliwym, iż w porę się przekonał, jaką podejrzliwą, starą...

— Nie mów tego, Phyllis — prosił Joe. — Pragnąłbym, byście się panie zaprzyjaźniły.

— Niech twoja Phyllis mówi, co chce — źle hamując złość, wołała Margery. — Nic nie pomogą twoje słowa osobie, której brak dobrego wychowania i wrodzonej dystynkcji.

— Mój Boże!

— Czy sądzi pani — pytała Phyllis z lodowatą uprzejmością — że jestem gorszą od pani, panno— jakiekolwiek jest twe nazwisko?

— Błagam cię, Marge, nie doprowadzaj jej do ostateczności. Ona ma rewolwer!

— Którego wstydziłabym się użyć — wzgardliwie dodała Phyllis, rzucając broń do kąta z takim skutkiem, że śpiące dotąd dziecko obudziło się i płaczem swym przyjęło udział w scenie. — Nie lękam się już grzechotnika, gdy słyszę wprzód jego grzechot.

Joe stanął między dziewczętami, obejmując Margery ramieniem. Gdyby nawet sam Salomon był w tej chwili obecny, nie wymyśliłby lepszego rozwiązania. Joe dał wyraz uczuciom i tem zdecydował o swym losie. Jeżeliby go prawo zmusiło do wspólnego pożycia z Phyllis, wewnętrznie był temu przeciwny.

Bibljografja Naukowej Organizacji i dziedzin pokrewnych

Wobec coraz większego zainteresowania się czytelników polskich literaturą, dotyczącą naukowej organizacji pracy i dziedzin pokrewnych, Koło Inżynierów Organizacji przy Stowarzyszeniu Techników w Warszawie, opracowało spis najważniejszych dzieł z literatury francuskiej, amerykańskiej i niemieckiej, aby ułatwić czytelnikowi zorjentowanie się przy studjach tego przedmiotu,

Najbogatszą jest literatura amerykańska, gdyż, jak wiadomo, organizacja naukowa powstała w Ameryce i tam najwięcej się rozwija.

Na podstawie tego katalogu Księgarnia M. Arcta w Warszawie, Nowy-Świat 35, zamówiła i sprowadza na skład dzieła najwybitniejsze i najpotrzebniejsze i podaje nam ich wykaz, obiecując stale nadsyłać spisy książek polskich i obcych, mogących interesować czytelników „Ameryki-Polski".

Ceny podane są w walucie kraju wydania książki. Przerachowanie na złote następuje według mniejwięcej następującej skali: 1 frank franc. — zł. 0,28, 1 gold mark—zł. 1,30, 1 szyling—zł. 1,20, 1 dolar — zł. 5,20. Koszta cła i sprowadzenia wynoszą od 20% do 50% ceny zależnie od wagi i rodzaju książki.

Na niektóre książki cen nie udało się ustalić z góry; przy niektórych zaś, w razie nowych wydań, cena może ulec małej zmianie.

KSIĄŻKI AMERYKAŃSKIE:

Barth, Carl G. Slide Rules for the Machine Shop (1904). — dol.

Committee on elimination of waste in ind. of the Feder Amer. Engin. Soc., Waste in Industry.

Clark, Wallace. The Gantt Chart — 2,50

Emerson, Harrington. Efficiency as a Basis for Operation and Wages (1910).

— The Twelve Principles of Efficiency (1913).

Gantt, H. L. Industrial Leadership (1918).

— Work, Wages and Profits (1913).

Gilbreth, F. B. and L. M. Applied Motion Study (1916).

— Fatigue Study (1916).

Gilbreth, F. B. Bricklaying System.

— Field System.

— Concrete System.

Going, Charles B. The Methods of the Santa Fe.

— Principles of Industrial Engineering (1911) — 2,50

Hartness. The Human Factor in Works Management — 1,50

Kent, William. Investigating in Industry (1914).

R. H. Lansdburgh. Industrial Management.

Munsterberg, Hugo. Psychology and Industrial Efficiency.

Merrick, Dwight V. Time Studies for Rate setting p. 354 (1923) — 6,—

Taylor, F. W. Shop Management (1911) — 1,50

— A piece Rate System (1895).

— The Principles of Scientific Management (1911).

Taylor, F. W. and Sandford E. Thompson. Concrete Costs (1912).

KSIĄŻKI FRANCUSKIE:

Jules Amar. Le moteur humain. Vol. 13 × 18, p. 690 (1913) — fr. fr. 45,—

— Organisation physiologique du travail. Vol. 16 × 25, p. 374 (1917). — 18,—

L. Benoist. Applications des nouvelles méthodes d'organisation du travail dans 5 usines de guerre françaises (1919) (Extrait du Bul. de la Société d'Encour, de l'indus. nation.)

Henri Fayol. (Sous la direction). L'éveil de l'esprit public. Vol. 16 × 25, p. 289 (1918) — 6,—

— Administration industrielle et générale. Vol. 16 × 25, p. 174 (1920) — 10,—

— L'incapacite industrielle de l'état. Vol. 15 × 24, p. 118 (1921) — 5,—

Franck B. Gilbreth. Étude des Mouvements appliquée. Vol. 13 × 21, p. 161 (1921). — 12,—

— Étude des Mouvements. Vol. 13 × 21 (1919) — 12,20

H. L. Gantt. Travail, salaires et benefices — 12,—

James Hartness. Le facteur humain dans l'organisation du travail. Vol. 16 × 25. p. 128 (1918) — 3,—

L organisation scientifique, 1923. Compte-Rendue du Congrès de l'organisation scientifique de 1923 — 20.—

L'organisation scientifique, 1924. Compte-Rendue du Congrès de l'organisation scientifique de 1924

Paul Negrier. Organisation technique et commerciale des usines d'après les methodes américaines (Système Taylor). Vol. 16 × 25, p. 186 (1920) — 16,—

F. W. Taylor. Principes d'organisation scientifique des usines. Vol. 16 × 25, p. 117 (1918) — 2,—

F. W. Taylor et. Sanford E. Thompson. Practique de la construction en beton et mortier de ciment armé ou non armé (traduit par M. Darras).

F. W. Taylor. La direction des ateliers. Vol. 16 × 25, p. 190 (1919) — 12,—

KSIĄŻKI NIEMIECKIE:

F. B. Gilbreth. (Freie deutsche Bearb. von C. Ross) — Gdm.

— Bewegungstudien (1921) — 2,50

— (Freie d. Bearb. von C. Ross). Das A : B : C. der wissenschaftlichen Betriebsfürung (trzecie wydanie (1920) — 2,50

F. W. Taylor. Ueber Dreharbeit und Werkzeugstähle (Deutsche Ausgabe der Schrift: „On the art of cutting metals"), wydanie IV, 1920 mk. 22,—

— Die Betriebsleitung, insbesodere der Werkstätten (Deutsche Bearbeitung der Schrift: „Shop management" von A. Wallichs), wyd. IV, 1920 mk. 20,—

William Kent (Uebersetzt und bearb. von K. Italiener). Warum arbeitet die Fabrik mit Verlust? — 3,65

Kobiety zaczęły płakać. Margery na ramieniu Joego, Phyllis z chusteczką przy oczach.

Zaskoczony tą sytuacją sędzia próbował tymczasem uspokoić dziecko. Usiłowania jego odniosły jednak wręcz przeciwny skutek, gdyż spłoszone zaczęło się jeszcze głośniej wydzierać.

Jakgdyby na odgłos płaczu we drzwiach ukazała się zmęczona kobieta średnich lat ze ścierką w ręku.

— Nareszcie cię znalazłam, nicponiu — krzyknęła uspokojona i odebrała dziecko z rąk sędziego. — Myślałam już, że wpadło do windy, szukałam go wszędzie, nawet w piwnicy. Sprzątałam właśnie w sąsiedniem mieszkaniu, gdy mi się gdzieś zawieruszyło.

Phyllis, szlochając, stała przy oknie i z goryczą rozmyślała nad swym losem. Dwa razy wyszła zamąż i nic z tego. Dalibóg, dla tak pięknej kobiety, — a wiedziała, że jest piękną — to zbyt boleśnie jątrząca rana.

Zrozpaczona spoglądała czas jakiś na ulicę, gdy nagle wydała okrzyk zdziwienia i radości:

— To on! — i wychyliła się, energicznie potrząsając chustką.

— Kto taki? — spytał zaciekawiony nagle Joe.

— Mój ukochany! — Phyllis w ekstazie uniosła ramiona — mój prawdziwy, jedyny Joe Kelley, mój mąż!

— Gdzie? — Margery przestała płakać. Ciągnąc za sobą Joego, podeszła do okna. Nawet posługaczka wyciągnęła szyję na ulicę.

— Ujrzałam go na ulicy — o, wszędziebym go poznała — widocznie i on mnie poznał, bo gdy machnęłam chusteczką, jak szalony rzucił się do wejścia tego domu. Nie zobaczycie go, bo już wszedł. Jakie szczęście, jakie szczęście! — i zaczęła skakać z radości. Nie mam już teraz żalu do nikogo, nawet za to, że mnie oboje nienawidzicie. Całowałabym cały świat — nawet ciebie! — to rzekłszy, zarzuciła ramiona na szyję Joe i wycisnęła serdeczny pocałunek na jego policzku.

Nie zdążyła go jeszcze wypuścić z platonicznego uścisku, gdy poczuła, jak jakaś nadludzka siła rozmyka jej ramiona i odrzuca w kąt pokoju.

Tak była zaskoczona tą napaścią, że oprzytomniała dopiero, gdy ujrzała, jak jakiś szaleniec dusi na podłodze Joego i okłada go kułakami.

— Ja cię nauczę, jak zdradzać moją siostrę — wył szalony — ja cię nauczę! Gdybym nie widział na własne oczy, nigdybym nie uwierzył.

— Dobrze mu tak, jeszcze go — podniecała posługaczka, która tak się przejęła kłopotami tych ludzi, że całkiem zapomniała o swoich własnych.

— Joe! — Przestraszony głos doniósł się z kąta, gdzie Phyllis stopniowo odzyskiwała równowagę, zbierając z podłogi szpilki do włosów. — Joe, mój drogi, przestań!

— Czego sobie kpisz ty, tam, w kącie, przecież Joe nic nie robi, co on ma przestać! — rzucił przez zęby szaleniec, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Tymczasem Phyllis zdobyła się na krok rozpaczliwy. W kącie, gdzie padła, leżał jej rewolwer. Strzeliła. Zapanowało ogólne milczenie. Każdemu z obecnych błysnęła myśl, czy kula nie utkwiła przypadkiem w jego ciele. Nawet dziecko płakać przestało. Wtedy dopiero szaleniec po raz pierwszy spojrzał na nią.

— To ty! — na nic więcej nie mógł się zdobyć.

Skoczył na równe nogi, porzucając najlepszego przyjaciela, który dotąd wił się w jego uścisku i rzucił się w stronę Phyllis. Chwycił ją w ramiona i wysoko uniósł w górę.

Dłuższą chwilę pozostawała Phyllis w tem położeniu i wydało się, iż jest to najodpowiedniejsze dla niej miejsce.

Tymczasem Margery nachyliła się nad porzuconą ofiarą gwałtowności ludzkiej i cuciła ją najumiejętniej stosowanemi całusami.

Joe w całej pełni odczuwał czar jej pieszczot, o ile to było możliwe w jego przykrej sytuacji, lecz wkońcu oburzenie wzięło górę nad wszystkiem. Spostrzegł też, że nadwerężone struny głosowe stopniowo odzyskują zdolność mowy.

— Do kroćset tysięcy djabłów i wszystkich ogni piekielnych, człowieku, co ty wyprawiasz!? Odejdź od mojej żony, Sam Green!

— Twoja żona?... Ten maleńki pączek różany twoją żoną? To ja jestem jej mężem, powiedz-że mu, Phyl!

— Dotąd tak sądziłam — poczęła niezdecydowanie—ale on, ten drugi mój mąż, nazwał cię Sam Green, gdy moje właściwe nazwisko jest pani Joe Kelley.

— Nareszcie, teraz wszystko zrozumiałem! — krzyknął oficer.

— Co mianowicie? — posypały się ze wszech stron pytania.

— To, że nie dostałem od ciebie żadnego listu! Zupełnie zapomniałem, że w dniu naszego poznania się byłem na urlopie za legitymacją mego przyjaciela Joe Kelley'a. Byłem zbyt zajęty tobą, aby cię wtajemniczać w takie drobnostki. Teraz rozumiesz, jak się to stało? Wybrano mnie z naszego oddziału do grupy, która otrzymała rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Francji. Nikomu nie wolno było opuszczać obozu. Lecz ja za wszelką cenę musiałem się wydostać.

— Dlaczego? — podejrzliwie spytała Phyllis.

— Widzisz, Phyl — wyznał niechętnie Sam— w mieście mieszkała pewna panna, z którą musiałem się pożegnać. Jechałem właśnie do niej, było to przed spotkaniem się z tobą, gdy naraz auto pękło, ty przecie byłaś świadkiem tego i sama wiesz doskonale, co było potem. Nie mogłem nikomu przyznać się, że Kelley nie jest mojem właściwem nazwiskiem, gdyż mogłoby to wyjść najaw i aresztowanoby mnie, jako dezertera. Zamierza-

łem wszystko wyjaśnić w pierwszym liście do ciebie, lecz, niestety, zauważyłem, że nie mam twego adresu. Nie otrzymując od ciebie wiadomości czułem, rzecz prosta, jak serce mi pęka, starałem się więc topić mą rozpacz w pełnem oddaniu się swym obowiązkom służbowym.

Phyllis zrobiła sceptyczną minkę.

— Byłem wówczas mniej niezależnym, niż obecnie. Nie mogłem sobie pozwolić na żonę — dodał filozoficznie — ale dziś, gdy mam już gażę oficera, mam możność utrzymania ciebie!

— Jakim sposobem?—przerwał ostro Joe. — Mam wielu przyjaciół w wojsku, którzy chcieliby się dowiedzieć, w jaki to sposób?

Sam Green impertynencji tej jakoby nie dosłyszał.

— Teraz zachodzi pytanie, kto z kim jest poślubiony?

Pytanie to zwrócone było do sędziego.

— Biorąc rzecz z punktu widzenia prawnego, nikt z państwa nie jest poślubiony — zawyrokował sędzia.

— Doskonale — rzekł Sam — postaramy się więc o nowe wydanie zezwoleń i zaczniemy od początku!

— Nieprędzej jednak, zanim te pierwsze obrządki ślubne będą unieważnione.

— Jakto? Przed chwilą pan objaśnił, że żaden z nich nie posiada siły prawnej.

— To nic nie znaczy. W każdym razie muszą być unieważnione. Tego wymaga prawo.

— Śmieszne jakieś prawo, które głosi, że coś nie posiada dostatecznej podstawy prawnej, by zobowiązywało, a z drugiej strony to coś posiada dostateczną podstawę prawną, by krępować swobodę.

— Mogę to zaraz wyjaśnić — ofarował się sędzia.

— Nie trzeba, sędzio, — pośpiesznie zaprotestował Sam — trzy lata nie widziałem mego słodkiego gołąbka i teraz nie mam czasu zastanawiać się nad tem, jakie jeszcze trudności stoją mi na przeszkodzie. Jestem obowiązany stawić się jutro w pułku, zabieram więc ją z sobą. Czy zgadzacie się oboje — ciągnął, zwracając się do Joe i swej siostry — na ponowne wszczęcie sprawy i powtórny ślub?

— Tak — powiedział Joe.

— Nie — rzekła Margery ledwie dosłyszalnym głosem.

— Jednogłośnie — zaopinjował Sam. — Czy zechce pan sędzia dokonać ceremonji ślubnej?

— Ależ to jest przeciwne memu...

— Lecz pan to uczyni!

— Jeżeli pan nalega...

— Dobrze, więc idziemy! Nasz pochód udaje się do okienka, gdzie wydają pozwolenia małżeńskie!

Śmiejąc się i gawędząc, poszli naprzód obaj mężczyźni, a za nimi przytulone do siebie obie panny młode. Zatrzymały się u drzwi, by się pocałować — choć przed chwilą jeszcze gotowe były zniszczyć jedna drugiej szczęście całego życia.

Kiedy zniknęły już w drzwiach, Margery wyznała swej towarzyszce:

— Jesteś jednak bardzo miła, moja droga.

I sędzia myślał to samo, lecz prócz posługaczki nie było nikogo, komuby mógł swą myśl wyrazić.

KONIEC

Od sochy do katedry

(Dalszy ciąg ze str. 12)

„Z biegiem czasu zacząłem pracować na akord, a ponieważ byłem chłopakiem mocnym, więc też wkrótce zarobek mój podniósł się do czterech koron dziennie, a nawet i do pięciu. Po upływie dwóch lat byłem już w posiadaniu oszczędności, które w walucie amerykańskiej wyrażały się w kwocie pięćdziesięciu dolarów.

„Tych pieniędzy jednak nie wystarczało. Na podróż trzeba było drugie tyle. Wiedziałem, że ojciec mój przez długie lata skrzętnej ekonomji uciułał sobie taką sumę, więc też zwróciłem się do niego:

„Ojciec wie, że ja wcale nie myślę pozostać na wsi. Ojciec ma tylko piętnaście morgów ziemi — i ośmioro dzieci żyjących. Jeżeli sobie pójdę precz, to o jedno dziecko będzie mniej do wyżywienia w gospodarstwie. Pożycz mi, ojcze, tych pieniędzy, któreś uskładał. Pojadę do Ameryki, zarobię i zwrócę ci".

„Matka stanęła znowu po mojej stronie i na ten raz dopięliśmy celu. W początkach lutego 1910 r., mając siedemnaście lat, pożegnałem swą rodzinną wioskę i udałem się do Bremy, gdzie wsiadłem na statek „Princess Irene". Po trzynastodniowej podróży morskiej wylądowałem w Nowym Jorku, będąc jeszcze w posiadaniu piętnastu czy dwudziestu dolarów.

„Towarzyszył mi w podróży jeszcze jeden chłopiec Polak, lecz żaden z nas nie rozumiał ani słowa po angielsku. Biuro immigracyjne dało nam przewodnika, który zawiózł nas na miejską Centralną Stację, posadził do pociągu i pojechaliśmy do miasta Northampton, w stanie Massachusetts, gdzie mieszkało kilku Polaków z naszych stron rodzinnych.

„Od pierwszego mego wejrzenia na Nowy Jork — błyszczący nad wodami portu, jak zaczarowany pałac, utkany z drżących świateł — Ameryka urzeczywistniła wszystkie me marzenia o niej. Pokochałem to potężne miasto z jego tłumami i wrzawą, ponad któremi unosił się nimb świetlny, otaczający taką nieprawdopodobną chojnością i nieopisanem pięknem gród Świata Nowego. Gdzieś po drodze kupiłem sobie pierników — pamiętam dotychczas, jak mi smakowały.

„Ludzie wszędzie okazywali nam przychylność. Wszyscy, jakgdyby byli w zmowie, starali się nam w czemkolwiek dopomóc. I tak było zawsze. Nigdy też nie doznałem żadnego rozczarowania w Ameryce, przynajmniej nigdy ze strony rzeczywistych Amerykanów.

„W Northampton znalazłem pokój do spółki z trzema innymi Polakami. Po upływie kilku dni otrzymałem robotę w fabryce koszyków, gdzie zarabiałem pięć dolarów i sześćdziesiąt centów na tydzień. Na utrzymanie wystarczało mi trzy dolary tygodniowo".

„Przepraszam — przerwałem mu — oczywiście tych upragnionych teatrów, ubrań, ciastek i mięsa nie miał pan chyba zbyt wiele za te trzy dolary tygodniowo?"

„Owszem, cośkolwiek z tego miałem — odpowiedział p. Mierzwa.—Zwykle sam sobie kupowałem prowizję, z której gospodyni gotowała mi obiady; mięso rzeczywiście jadałem trzy razy dziennie. Wyznaję, że cokolwiek gorzej miała się rzecz z ciastkami.

„Jednak w niedługim czasie zacząłem się interesować innemi rzeczami więcej, niż ubraniem i pokarmem. Zauważyłem bowiem zaraz w pierwszym tygodniu, że inni chłopcy w fabryce porozumiewają się w angielskim języku. Mogą się oni zwracać do majstra, a ten bezpośrednio daje im różne wskazówki i rozporządzenia, gdy zaś ja mogłem się porozumiewać z nim tylko na migi lub za pomocą tłumacza.

„Głównie dwie przyczyny zmuszały mię w owym czasie do nauczenia się języka: pierwszą przyczyną była chęć domagania się wyższego zarobku, drugą zaś — to żądanie lepszej roboty. Pierwsze me słowa w angielskim języku były „all right", lecz znajomość ich nie mogła mi pomóc w uzyskaniu ani lepszej pracy, ani większego zarobku; musiałem się więc zabrać do nauki.

„Zauważyłem, iż niektórzy chłopcy uczęszczają do szkół wieczorowych. Wydało mi się więc, że w tym dziwnym kraju łatwiej było o szkołę, niż o mięso lub ciastka, ponieważ nauczanie było zupełnie bezpłatne. Prędko też skorzystałem z takiego stanu rzeczy i swą amerykańską edukację rozpocząłem w szkole wieczorowej. Trzeba było zaczynać od — abecadła.

„Miasto Northampton posiada piękną instytucję, zwaną Domem Carnegie'go. Znajdują się w nim różne wydziały i kluby, a nauczycielami są studentki z uniwersytetu Smith'a. Uczęszczałem więc na kursa wieczorne podczas drugiej i trzeciej zimy mego przebywania w Northampton, ucząc się języka angielskiego, arytmetyki, geografji oraz historji.

„To było innym znów dziwem tego dziwnego kraju. Pomyśleć tylko, że młode kobiety — wykształcone, dobrze wychowane, częstokroć bardzo zamożne — poświęcają swój czas na nauczanie biednego przybłędy, na podobieństwo moje. Było to tak wielkiem w swej dobroci, iż mogło się wydać nieprawdopodobnem. I jest to wszędzie nieprawdopodobieństwem, z wyjątkiem Ameryki.

„Byłem już na tyle rozwinięty, aby móc uświadomić sobie w całej pełni tę wyjątkowo szczęśliwie nadarzającą się sposobność. Chłopcy, których znałem z fabryki, byli, zarówno jak i ja, cudzoziemcami. Większość z nich przyswajała sobie znajomość angielszczyzny wprost z ulicy. Mieli oni też nader ograniczony zapas wyrazów, okropną wymo-

wę oraz nie zdradzali najmniejszego pojęcia o gramatyce.

„Moje ambicje rosły równolegle z postępami w nauce. Nawet szły zawsze o jeden krok naprzód, przed rzeczą osiągniętą. I tak naprzykład, gdym wylądował, cały mój horyzont był zakreślony kwestją chleba powszedniego. Następnie celem moim było nauczenie się języka angielskiego, ażeby móc prosić o większy zarobek. Póżniej posuwam się o krok dalej i marzę o zostaniu konduktorem tramwajowym. Następny krok — pragnę już zostać policjantem. Wtedy wznoszę się jeszcze wyżej i ustalam swój ostateczny cel na posadzie maszynisty kolejowego.

„Wkońcu — lecz wyprzedzam wypadki mego opowiadania. Długo ciągnęły się miesiące pracy i nauki, zanim znalazłem właściwą drogę, na której zdecydowałem odbywać swą dalszą podróż życiową.

„W przeciągu trzech lat, z małą przerwą, pracowałem w fabryce koszyków. Spaliła się po upływie czterech miesięcy od czasu mego wstąpienia; byłem więc zmuszony szukać sobie innego zajęcia. Ktoś mi poradził udać się do cegielni. Zdawało mi się, że cegielnia jest to samo, co fabryka dachówek, a ponieważ w zakresie tej ostatniej miałem już nabyte doświadczenie, więc też bez namysłu przyjąłem pracę.

„Rezultatem — z uśmiechem mówił p. Mierzwa — był najwięcej wytężony dzień pracy, jakiegom kiedykolwiek doświadczył. Zaraz na wstępie dali mi taczkę z umieszczoną na niej wysoką ramą. Na ramę zaczęli nakładać rzędami świeże miękkie cegły, poczem kazali mi to odwieźć do suszarni.

„Ruszyłem z miejsca — lecz ujechałem nie dalej, niż pięć — sześć kroków. Za każdym razem, kiedy próbowałem pchnąć taczkę przed siebie, cała ta wysoka rama zaczynała się chwiać. Starałem się rozpaczliwie, by utrzymać ją w równowadze, lecz wkońcu na moje nieszczęście, cały ten ładunek zwalił się na kupę. Wziąłem się gorączkowo do zbierania cegieł, gdy jeden z robotników zwrócił się do mnie:

„Poczekaj, chłopcze — powiedział. — Nie bierz do rąk tych cegieł — są one za miękkie; musisz nabrać drugi ładunek".

„Powróciłem więc, naładowali powtórnie i znowu ruszyłem z miejsca. Tym razem ujechałem cokolwiek dalej, niż do miejsca pierwszej katastrofy, gdy naraz znów wszystko runęło.

„Widząc to, majster postanowił przerzucić mnie na inną robotę i kazał mi wozić suche już cegły do pieca. Tam musiałem je podrzucać innemu robotnikowi, który, stojąc na wysokiej tarcicy, układał je warstwami.

„Pan zapewne nigdy nie próbował wyrzucać cegły w górę; rekomenduję jednak uczynić to, jeżeli pan odczuwa potrzebę silnych ćwiczeń fizycznych. Rzuciłem jedną cegłę — złapał ją, lecz o mało nie zleciał, wyciągając się po nią. Potem z niecierpliwością krzyknął mi z góry: „Rzucaj naraz po cztery! Czy myślisz cały dzień bawić się kilkoma cegłami?"

„Cóż było robić — zaśmiał się p. Mierzwa — chwyciłem cztery cegły i podrzuciłem je w kierunku znajdującego się nade mną człowieka. Kiedy jednak posypały się z powrotem na ziemię i na moją głowę, sądziłem, że wyrzuciłem ich setkę całą. Gdy w ten sposób podrzucałem cegły, inni robotnicy z taczkami ugrupowali się za mną, czekając swojej kolejki. Każda moja cegła wylatywała w górę i spadała po kilka razy. Miałem wrażenie, że grad cegieł pada na mnie.

„W południe już za obopólną zgodą majstra i moją własną porzuciłem cegielnię. Sądziłem w tym dniu, iż nigdy nie dojdę do domu. Co przejdę ulicę, przysiadam na bruku, potłuczona głowa pada bezwładnie w nabrzmiałe dłonie — nabrawszy trochę świeżych sił, znów ruszam dalej. Cokolwiek znajduje się wewnątrz mojej czaszki — wesoło ciągnął pan Mierzwa — mam przynajmniej pewność, iż jest to dobrze opancerzone.

„Z cegielni przerzuciłem się do przędzalni bawełnianej; tam pracowałem kilka miesięcy, aż do czasu uruchomienia fabryki koszyków — pierwszego miejsca mego zarobkowania. Wstawałem o godzinie pół do szóstej, o szóstej spożywałem śniadanie, a na siódmą stawałem już do warsztatu. Z przerwą godzinną w południe pracowałem do szóstej wieczór.

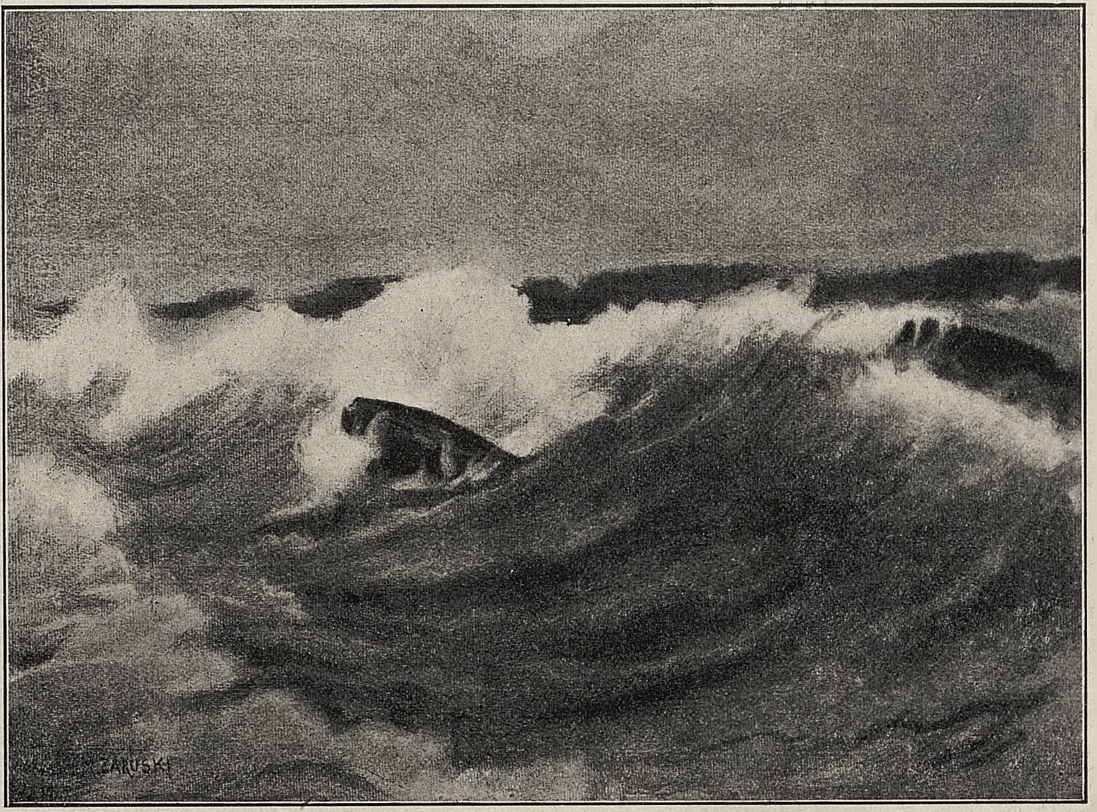
„Po wieczerzy zwykle siadałem do nauki i o godzinie ósmej szedłem do szkoły, gdzie zajęcia trwały do dziesiątej; często zatrzymywałem się dłużej w celu uzyskania dodatkowych wskazówek. Po powrocie do domu brałem się znów za książki i uczyłem się do drugiej w nocy.

„W jakiż sposób odpędzał pan od siebie senność?" — zapytałem.

„Senność! — powtórzył p. Mierzwa i niebieskie jego oczy błysnęły ogniem — największą raczej trudnością dla mnie było oderwanie się od książki i zmuszenie się do spoczynku. Żaden sknera nie spozierał nigdy tak pożądliwie na swe złoto, jak ja na swoje książki. Mojem złotem, które pragnąłem posiąść, była wiedza. Przyswojenie sobie kilku nowych słów było jakgdybym gromadził bogactwa.

„Naturalnie, byłem wówczas tylko chłopcem, z właściwem chłopcom zamiłowaniem do zabaw i rozrywek. I dziesięć godzin spędzonych za warsztatem bynajmniej nie osłabiały we mnie tego zamiłowania. Spółlokatorzy moi spędzali wieczory w kinach, na sportowych igrzyskach lub odwiedzali znajomych. Bardzo często nęciła mię chęć przyłączenia się do nich.

„Zwykle jednak idzie się za głosem tego, co najwięcej pociąga; ponad wszystko zaś pociągało mnie wykształcenie, więc szedłem za głosem jego. Ponieważ wieczory sobotnie były wolne od zajęć



„...W tej chwili ujrzałem krzesanicę wodną, która nagle wyrosła u prawej burty okrętu. Na jej wierzchołku kłębił się spieniony wał wodospadu. „Dzierżawa" legła na bok. Wodospad runął, rozbijając się o maszty, kajuty, szalupy... Poczułem uderzenie w głowę i znowu zanurzyłem się w głębię. Jeszcze raz zamajaczyła mi w oczach zielonawa, szklista toń wody — i nagle jakaś siła wyrwała mię z odmętów i wraz z burtą wyrzuciła wysoko. Ujrzałem światło dzienne. „Dzierżawa" dźwignęła maszty swe z wody.

Rzuciliśmy się znowu do pracy.

Statek ruszył przeciwko burzy. Straszliwie z nią zmagał się. Piersią z całego rozpędu uderzał w ściany gór wodnych, które nakrywały go wierzchołkami, przebijał góry nawylot, chwiał się i drżał na ich szczytach, spadał jak kamień w doliny...

Staliśmy więc bezczynnie, trzymając się drabinek sznurowych, i czekaliśmy na chwilę śmierci.

Lub cudu.

Jak zahypnotyzowani utkwiliśmy wzrok w ostatniej krawędzi przylądka i ocenialiśmy wprost na metry odległość jego od linji naszego kursu rzeczywistego: prześliźniemy się koło niego, czy rozbijemy się o czarne jego granity, do których morze ostatni swój szturm przypuszczało? U brzegów działy się rzeczy nieopisanie straszliwe. Myśleć o wydostaniu się z tamtych odmętów byłoby głupotą albo szaleństwem. Oczekiwanie to było duchową kalwarją, męką nie do zniesienia. Za chwilę wyrok miał zapaść: życie lub śmierć.

Żeleźnikow, nie odrywając oczu od przylądka, krzyknął mi w ucho zdławionym głosem:

— Siewierjanowicz, obejdziemy, czy nie obejdziemy?

— Nie obejdziemy — odkrzyknąłem mu zupełnie szczerze.

Nie wiedzieliśmy, kiedy po rozpaczliwej walce staliśmy tak bezsilni wobec przeznaczenia, że w głębi oszalałych tych nurtów przygotowuje się nasze zbawienie. Że rodzi się siła, która ma wyrwać nas z tych miejsc zatracenia i odrzucić na morze.

Że idzie cud..."

W takie noce naoczni świadkowie „zwykle do wieczności przechodzą". W tym wyjątkowym wypadku autor ocalał i daje nam porywające opowieści żeglarskie, drgające życiem i pachnące morzem, czy gdy mrożą lodem północy, czy palą słońcem południa.

Jest to, wydana przez M. Arcta w Warszawie, książka

GENERAŁA MARJUSZA ZARUSKIEGO

NA MORZACH DALEKICH

Bogato ilustrowana przez Autora, w kolorowej okładce kosztuje Zł. 10.50

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I W KIOSKACH „RUCHU"

12

szkolnych, więc raz w tygodniu pozwalałem sobie na kino. Lecz i tu nawet miałem na względzie nie tyle przyjemność, ile raczej naukę. Jeżeli zapłaciłem za wejście pięć centów, z reguły musiałem się nauczyć pięć nowych słów, wyświetlanych na ekranie. Jeżeli wejście kosztowało dziesięć centów, dziesięć nowych wyrazów musiało się utrwalić w mej pamięci.

„Początkowo robiłem zabawne błędy. Zawsze miałem przy sobie papier i ołówek i skrzętnie zapisywałem nieznane mi słowa. Powróciwszy do domu zaglądałem do słownika — mego nieodłącznego towarzysza.

„Niemało czasu upłynęło, zanim odkryłem, że „Mary Pickford" oraz „Charlie Chaplin" są to wyrazy, oznaczające imiona pewnych osób. Stosownie do mojej początkowej znajomości angielszczyzny, wyrazy te równie dobrze mogły oznaczać coś w rodzaju „roastbeef" (w polskim języku używamy zepsutego wyrazu „rostbef" — przyp. tłum.), lub „mince pie" (pasztet). Zapisując wyrazy na chybi trafi, w ich liczbie także i imiona własne, rzecz prosta, że tych ostatnich w słowniku moim nie odnajdywałem. Zwykle więc zapisywałem znacznie więcej słów, niż pozwalała mi na to ustanowiona regułą liczba pięć lub dziesięć.

„Czy pańscy spółlokatorzy nie protestowali przeciwko tak długiemu wysiadywaniu po nocach?" — wtrąciłem.

„Owszem — rzekł p. Mierzwa — protestowali bardzo energicznie. Bombardowali mnie poduszkami i innymi przedmiotami. Do protestu przyłączała się także gospodyni mieszkania, chodziło jej bowiem o to, że za dużo wypalam nafty. Uspokoiłem ją jednak zapewnieniem, iż naftę będę kupował za swoje własne pieniądze.

„Moja lampa naftowa miała jedną dobrą stronę: dawała cokolwiek ciepła. Innego źródła ciepła w pokoju nie było, nawet podczas silnych mrozów.

„Czasami spółlokatorzy moi przynosili do domu piwo lub coś w tym rodzaju i urządzali przyjęcia dla swych przyjaciół. W ucztach tych nigdy nie przyjmowałem udziału, lecz pewnego wieczoru jeden z gości wziął mi bardzo za złe moje odosobnienie. Był on roznosicielem pieczywa w jednej z piekarń; wyobraźnia jego podyktowała mu, iż jedynym celem, jakiego mogłem szukać w książkach, była chęć zostania buchalterem.

„Słuchaj — rzekł on pijanym głosem — przyłącz się do naszej zabawy, wszystko jedno buchalterem nigdy nie zostaniesz".

„Drwiny te przyjąłem, jak wyzwanie. Nie miałem najmniejszej pretensji do zostania buchalterem. Prawdopodobnie nie wiedziałem nawet, co to znaczy buchalter. Lecz nagle uświadomiłem sobie, że muszę posiąść wykształcenie, by zostać kimś, kto posiada większą wartość w życiu; postanowiłem więc pokazać, iż uczynić to potrafię.

„W Europie każdy, kto był na posadzie urzędowej, nosił uniform; uniform ten wyróżniał go, wywyższał niejako ponad zwykłych śmiertelników i upoważniał do rozkazywania. To było przyczyną mego zainteresowania się osobami policjantów i konduktorów. Połysk guzików miedzianych był dla mnie wyrazem autorytetu. Obecnie, rzecz prosta, mam w tej sprawie zgoła inny pogląd.

„Jedną z najważniejszych zwrotnic w moim rozwoju był moment, kiedym skierował swe ambicje od wyglądu do treści, od strony zewnętrznej do wewnętrznej. Uświadomiłem sobie wówczas, że to, co mieści się wewnątrz głowy człowieka nadaje mu większe znaczenie, aniżeli złoty znaczek lub sznureczek na czapce, mieszczącej się nazewnątrz głowy.

„Zwykle czytałem polską gazetę. Pewnego dnia, wkrótce po mojem zajściu z tym pijanym roznosicielem pieczywa, przeczytałem, iż pewna polska organizacja nabyła w stanie Pensylwanja stary budynek w celu otworzenia szkoły dla młodzieży polskiej. Uczniowie tej szkoły winni byli płacić dwieście dolarów rocznie za naukę wraz z całem utrzymaniem.

„Przeczytawszy tę wiadomość, tak się nią przejąłem, że nie mogłem spożyć obiadu. W tejże chwili napisałem do dyrektora szkoły, prosząc go o przyjęcie mnie w charakterze ucznia. W owym czasie zwróciłem już ojcu pożyczone od niego na podróż pięćdziesiąt dolarów i ponadto miałem uskładanych jeszcze sto dolarów. W liście swym objaśniłem, iż to są wszystkie moje pieniądze, lecz że zgadzam się na wszelką pracę w szkole, ażeby zarobionemi pieniędzmi pokryć różnicę.

„Podczas trzech dni oczekiwania na odpowiedź nic prawie nie jadłem, ani nie spałem. Żyłem wyłącznie nadzieją. Była ona jednak nielitościwie rozproszona odpowiedzią dyrektora, oznajmiającego, że dwieście dolarów jest nieodzownym warunkiem przyjęcia do szkoły. Miałem wygląd bardzo nieszczęśliwego chłopca, gdym tego wieczoru pokazał się w Domu Carnegie'go.

„Przypuszczam, iż więcej do szkoły chodzić nie będę — powiedziałem mej nauczycielce. — Wszystko na nic, ponieważ nie mogę się dalej kształcić.— I opowiedziałem jej przyczynę mego nieszczęścia.

„Nigdy nie zapomnę, jak przyjęła tę wiadomość. Dla mnie osobiście wszystko już było stracone. Lecz ona w sposób jak najzwyklejszy powiedziała: „Niema powodu do rozpaczy, do szkoły pan chodzić będzie. Jest wiele innych szkół, do których się pan dostać może. Naprzykład może pan wybrać szkołę w Mount Hermon niedaleko Northfield, albo udać się do Springfield i wstąpić do „American International College" (Amerykańskie Międzynarodowe Kolegjum). W Ameryce każdy ma przed sobą szkołę otwartą".

„Wydało mi się to cudem. Niema nic piękniejszego w Ameryce ponad to, że daje ona możność kształcenia się każdemu.

„Posłuchałem rady nauczycielki i już w grudniu 1912 r. wstąpiłem do oddziału przygotowawczego

„American International College". Miałem już wówczas dwadzieścia lat, lecz musiałem zaczynać swe studja od pierwszych początków. Na utrzymanie jednak byłem zmuszony zarabiać, wziąłem się więc do trzepania dywanów. Zdawało mi się, iż wytrzepałem tej zimy tyle dywanów, że możnaby było nimi wysłać cały stan Massachusetts.

„Doczekawszy się letnich wakacyj, udałem się znowu do fabryki koszyków, ponieważ miałem tam stałą robotę. Podczas następnych wakacyj pracowałem na plantacjach tytuniowych w pobliżu Northampton. Zimą zaś trzepałem dywany, froterowałem podłogi oraz doglądałem pieców.

„Pod koniec drugiego roku szkolnego uczyniłem już takie postępy, że byłem w stanie udzielać lekcyj innym. Przekonałem się wtedy, że do tej właśnie pracy czuję największe zamiłowanie; wówczas też ambicje moje — które początkowo ożywiały się dążeniami do stanowisk konduktora tramwajowego, policjanta lub maszynisty kolejowego — znalazły ostateczne oparcie, dając mi pełne zadowolenie, jakkolwiek połączone z pewnym strachem. Wtedy też zacząłem już snuć marzenia o katedrze uniwersyteckiej.

„Sześcioletni zakres pracy szkolnej odbyłem w przeciągu trzech lat. Zdarzało się, iż byłem zaszczycany honorowemi odznaczeniami w naukach oraz w życiu koleżeńskiem w szkole. Prawdopodobnie pomogło mi to do uzyskania stypendjum na uniwersytecie Amherst, które w zupełności pokrywało czesne uniwersyteckie. Starałem się też o ile mi sił starczyło o otrzymywanie stypendjum z roku na rok. Takim sposobem skończyłem uniwersytet.

„Znaczną jednak część swoich wydatków na utrzymanie zmuszony byłem zdobywać pracą, czy to doglądając pieców, czy też pracując w kuchni studenckiej. Zostałem prawdziwym ekspertem w zmywaniu statków kuchennych, naczelną jednak specjalnością moją było obieranie kartofli. Nie chwaląc się, twierdzę, iż byłem najlepszym obieraczem kartofli, jaki kiedykolwiek kończył uniwersytet Amherst!

„Obieranie kartofli ma niezaprzeczenie zdecydowane pierwszeństwo przed paleniem w piecach centralnego ogrzewania. Otóż, uważa pan, język niemiecki był jednym z przedmiotów, który mi przyczynił wiele kłopotu. Angielski język dostarczył mi o wiele mniej trudności. Główną przeszkodą, o którą się potykamy w angielszczyźnie, jest wymowa. Jest ona podobną do klimatu Nowej Anglji, opisanego przez Marka Twain'a, — rządzi się swem własnem prawem, nie podlegając żadnym zasadom, czy regułom. Słownik zaś niemieckiego języka był jakgdyby rafą podwodną, grożącą mi ciągłem niebezpieczeństwem rozbicia się. Zwykle więc wypisywałem na papierze szereg wyrazów niemieckich łącznie z angielskiem tłumaczeniem i papier ten przyczepiałem nad kubłem, gdzie obierałem kartofle. Mogłem tedy uczyć się ich napamięć. Od owego czasu irlandzkie kartofle, stały się dla mnie kartoflami iście niemieckimi.

„Podczas dwóch letnich wakacyj pracowałem też w charakterze służącego w domu obłąkanych w Northampton. Trzy lata podczas letnich miesięcy kosiłem trawę, zapomocą mechanicznej kosiarki, nie zarzucając przytem zmywania statków, aby tylko zarobić na utrzymanie.

„Żadne jednak z tych zajęć nie przyniosło mi najmniejszej krzywdy. Raczej naodwrót! Fizyczne ćwiczenia były mi potrzebne i szuflowanie węgla oraz kuchenne roboty w zupełności zastępowały gimnastykę.

„Gdziekolwiek się zwróciłem — ze wzruszeniem mówił p. Mierzwa — wszędzie spotykałem przychylność. W uniwersytecie Amherst, począwszy od rektora, wszyscy okazywali mi przyjaźń i pomoc. O ile sądzić mogę, fakt ten, że uczciwą pracą przebijałem sobie drogę, stwarzał tem bardziej przychylny dla mnie stosunek. Jeżeli zaś trafiały się wśród kolegów studentów przejawy snobizmu, ja osobiście ich nie odczuwałem.

„Jesienią 1920 r. wstąpiłem na dodatkowe wykłady w uniwersytecie Harvard, gdzie też na wiosnę otrzymałem już mój tytuł naukowy M. A. (Master of Arts). Miałem zamiar studjować nadal w następnym roku w celu uzyskania stopnia Ph. D. (Doktora Filozofji), lecz ponieważ zmuszony byłem zarabiać na utrzymanie, powróciłem więc do Amherst—do swego starego zajęcia koszenia trawy oraz zmywania statków w kuchni studenckiej.

„Było to niezawodnie przykrem zajęciem dla człowieka, który tylko co uzyskał M. A. od Harvardskiego uniwersytetu? — zwróciłem się z zapytaniem do p. Mierzwy. — Dlaczego pan nie próbował pisać, udzielać lekcyj lub coś podobnego?"

„Dlatego, że człowiek w równej mierze musi dbać o swoje ciało, jak i o swój umysł — była prędka odpowiedź. — Pracowałem umysłowo bardzo intensywnie w przeciągu dziewięciu miesięcy. Czułem potrzebę pracy fizycznej. Pycha jest strasznym tyranem, jeżeli zabrania czynić to, co jest koniecznem dla człowieka.

„Żywo przypominam sobie — ciągnął z uśmiechem p. Mierzwa — ten moment, kiedy, zmywając statki, otrzymałem telegram z propozycją objęcia stanowiska instruktora Wydziału Ekonomicznego na uniwersytecie Drake. Prawdopodobnie nie było drugiego takiego wypadku, by podobna propozycja była decydowaną nad miską z pomyjami.

„Należy przypuszczać, że rektor uniwersytetu Drake zwrócił się do Dziekana Haskins'a w Harvardzie z prośbą o wskazanie mu kandydata na objęcie tego stanowiska i że ten ostatecznie rekomendował moją osobę. Zastanowiłem się nad tą propozycją i dałem odmowną odpowiedź; czułem bowiem, że zanim wstąpię na drogę działalności profesorskiej, muszę przedtem zdobyć tytuł Ph. D.

Moja odpowiedź jednak była powodem drugiego telegramu, w którym proponowano mi już asystenturę i równocześnie wyższe, niż poprzednio, wynagrodzienie. Takim więc sposobem znalazłem się jesienią r. 1921 w uniwersytecie Drake.

Oto życiorys p. Mierzwy: czternaście lat temu biedny wiejski chłopak, myślący głównie o zdobyciu chleba powszedniego — dziś szanowany członek profesury uniwersyteckiej. Od czasu objęcia katedry w Drake już dwa wybitne uniwersytety proponowały mu swoje krzesła profesorskie.

Najpiękniejszą jednak rzeczą, wyłaniającą się z tego życiorysu, jest to, iż Ameryka jest rzeczywiście Krajem Nieograniczonych Możliwości. Nie tylko dla ludzi urodzonych i wychowanych w tym kraju, lecz także i dla cudzoziemców. Gdy siedzę nad swem biurkiem, widzę przez okno powiewającą flagę nad gmachem szkolnym. Jest to flaga kraju, w którym — podług słów nauczycielki p. Mierzwy: „każdy ma przed sobą szkołę otwartą".

Drugą zadziwiającą rzeczą w tem opowiadaniu jest prawdziwa rewelacja o tem, do czego jest zdolna istota ludzka, gdy należycie wykorzysta wszystkie te możliwości, nie mając nawet pieniędzy, ani „pleców" za sobą. P. Mierzwa mówi, że „wszyscy, jakgdyby byli w zmowie, starali się nam w czemkolwiek dopomóc". To świetne! Jednak on sam był pierwszym w tej zmowie. On czynił więcej, niż ktokolwiek! On dopomagał s a m s o b i e!

Zauważyłem już dawno, że Bóg nie jest jedynym, który „pomaga tym, którzy sami sobie pomagają". Żyjemy w d w ó c h Krajach Nieograniczonych Możliwości! Jeden nazywa się Ameryka, drugi — Naturą Ludzką!

Profesor Stefan Mierzwa

(Dalszy ciąg ze str. 13).

W jednym z ostatnich listów prof. Mierzwa pisze: „Oprócz moich obowiązkowych zajęć w Uniwersytecie Harvardskim jestem stale pochłonięty zbieraniem środków na polsko-amerykańską fundację szkolną. Stały Komitet, który w tym celu utworzony został, ułatwi mi znacznie to zadanie. Mamy na rok szkolny bieżący dziesięciu stypendystów z Polski, z których dwóch już jest na miejscu, a ośmiu niebawem nadjedzie.

Mamy nadzieję w roku przyszłym dać możność przyjazdu dwudziestu do dwudziestu pięciu studentom z Polski do Ameryki oraz pięciu do dziesięciu z Ameryki do Polski. Studentów tych umieszczono w następujących uniwersytetach: w Amherst 1, w Dartmouth 1, w Yale 1, w Harward 1, w Syracuse 1, w Johns Hopkins 1, i w Columbia 4. Daliśmy im wolny przejazd i po czterdzieści dolarów na nieprzewidziane wydatki. Stypendjum roczne wynosi pięćdziesiąt dolarów przy bezpłatnem nauczaniu, z wyjątkiem tych wypadków, gdzie wymaganą jest płaca za laboratorja" *).

Można prof. Mierzwie powinszować rezultatów osiągniętych w tej sprawie, będącej zarazem sprawą międzynarodową. Dalszy plan przedsięwzięcia opracowuje się. Odtąd zaczyna się nowy rozdział w dziejach stosunków polsko-amerykańskich, których doniosłość tylko przyszły historyk należycie ocenić potrafi.

---

*) Szczegóły o P. A. Kom. Styp. oraz wskazówki, jak stypendjum uzyskać znajdzie Czytelnik w lutowym numerze Ameryki-Polski.

Ze świata książki

BIBLJOTEKA MORGANA

Zmarły w 1913 r. słynny finansista amerykański, J. P. Morgan, był namiętnym zbieraczem dzieł sztuki, książek i rękopisów. Posiadając zaś ogromny majątek łatwo mógł zadośćuczynić tej namiętności, skupując bez targu wszystko, co się gdziekolwiek kupić dało.

W ten sposób w rezydencji jego w Nowym Jorku powstało istne muzeum najkosztowniejszych dzieł sztuki i osobliwości historycznych, bibljoteka zaś tak wzrastała, że bogacz wybudował na jej pomieszczenie wspaniały pałac marmurowy przy 36-ej ulicy w Nowym Jorku.

O rozmiarach bibljoteki najlepiej świadczy objętość dotychczas nieogłoszonego drukiem jej katalogu, obejmującego tysiąc, pisanych na maszynie, stron wielkiego formatu.

Rzeczoznawcy oceniają wartość jej na miljon funtów sterlingów.

Obecnie donoszą z Nowego Jorku, że spadkobiercy Morgana pragnąc, aby te skarby nie uległy z czasem rozproszeniu, i aby mogły przynieść korzyść badaczom, postanowili ofiarować całą bibljotekę stanowi Nowego Jorku z zastrzeżeniem, że korzystać z niej będą tylko istotni badacze i uczeni, nie zaś szeroka publiczność, którаby, kierowana tylko ciekawością, mogła uszkodzić bezcenne księgi i rękopisy.

Wiadomość o przekazaniu tej bibljoteki na własność stanowi nowojorskiemu rozproszyła ostatnie nadzieje bibljofilów angielskich, którzy wciąż liczyli się z możliwością sprzedaży przez spadkobierców Morgana nagromadzonych przez niego skarbów, a przez to i z możliwością powrotu do Anglji wywiezionych stamtąd przez Morgana rzadkich i cennych książek i rękopisów angielskich.

Zemsta „Peroby"

(Dalszy ciąg ze str. 17.)

Porungasowie, posłyszawszy rumor, wyszli wczesnym rankiem z domu zobaczyć, coby to takiego było.

Nie potrzebowali długo szukać i Pedro na czele swojej gromadki zapytuje:

— A to z czyjego rozkazu, mospanie?

— Z rozkazu paka, słyszycie? — odpowiada Nunes wyzywająco.

— Pako to jest pako. Ale ta peroba stanowi granicę. Połowa moja, a połowa wasza.

— Więc ja też chcę skorzystać z mojej. A waszą wam zostawiam — rzekł Nunes, pokazując różowe wióry.

Pedro zaledwie się mógł pohamować.

— A ty psie, nie wiem co mnie wstrzymuje...

— Ale ja wiem, że jestem u siebie i pierwszemu draniowi, który przejdzie granicę, palę w łeb.

Kłótnia zaostrzyła się. Z obu stron posypały się obelgi i przezwiska, a kobiety też rozpuściły języki.

Ale Nunes rozpromieniony wrzeszczał do jednorękiego, potrząsając fuzją:

— Do roboty, kumie. Nie potrzebuję nikogo, żeby nauczyć rozumu tych draniów.

Gromada Porungasów ustąpiła z pola walki, żeby uniknąć rozlewu krwi.

— Zachowaj twoje drzewo, pijaku. Ale poczekaj. Jeszcze na to krwawemi łzami zapłaczesz.

— Beee! — zaryczał tryumfująco Nunes.

Porungasowie oddalili się, mrucząc, przeprowadzeni zwycięskiem spojrzeniem Nunesa.

— Cóż, kumie? Widziałeś tych wszystkich draniów? Szermować językami to umieją. Ale żeby się tak zbliżyć, ho! ho! ho! Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

I tu olśnił starego, opowiadając jak on to dokazywał, rozwalając łby, jeden przeciwko trzem lub czterem zapaśnikom. Wreszcie zakończył:

— Wygraliśmy dzień, kumie. Daj pokój robocie i chodźmy przepłókać gardło.

Ta przepłókanka przewyższyła wszystkie pijatyki, jakie mogli zapamiętać.

Nunes, jednoręki i Pernambi zakrapiali zwycięstwo na wyścigi. Wreszcie ululali się tak, że zwalili się na ziemię niczem kłody.

Żona Nunesa, patrząc na to z najmłodszą z Maryjek, wiszącą u jej chudej piersi, wstrząsała głową, myśląc:

— Matko Niebieska! jaki m o n j o l o może z tego wszystkiego powstać?

Nazajutrz rano, gdy opary alkoholu wywietrzały im z głowy, zabrali się do roboty w najlepszej zgodzie. Dawną przyjaźń odżyła przy kieliszku. Wprawdzie kości mieli jak poprzetrącane, ale to nic.

Nunes całe dnie spędzał na podwórzu, patrząc jak jego towarzysz obrabia drzewo jedną ręką. Nie mógł się dość nadziwić, że stary dawał sobie rady, posługując się kikutem niby całą dłonią. A przytem jednemu i drugiemu nie zamykały się usta. Stary umiał mnóstwo dykteryjek, a Nunes wymyślał coraz inne, wszystkie dążące do wykazania przewrotności Porungasów.

Skoro pień już był ociosany, wyciągnięto sznur zmoczony w papce z węgla.

— Weź za ten koniec, towarzyszu — mówił stary. — Ciągnij teraz. Dobrze.

I ściskając końcami palców środek powroza, chłostał drzewo, znacząc je czarną pręgą.

Nunes okazywał wielkie zdolności do rzemiosła „ochładzaczy świdra".

Nazywają ochładzaczami świdra gapiów, którzy siadują godzinami całemi z jedną nogą na warsztacie, patrząc jak hebel pomyka, wydobywając z deski skręcające się w ślimaka wióry, lub jak dłóto wierci zwolna dziurę. A gdy kłak wychodzi z drzewa, rozgrzany tarciem, biorą go i z największą powagą dmuchają nań póki nie ochłodnie.

Podczas gdy Nunes tak się zabawiał, jednoręki wydrążał niezgrabnie wnętrze pnia, wiercił dziury i obrabiał tłuk. Potem wziął się do moździerza. Drążył go, drążył tak długo, że po upływie trzech godzin mógł go odłożyć na bok zupełnie skończonym. Potrzeba już było tylko dopasować podporę.

— Znacie, towarzyszu, historję zaczarowanego drzewa?

Nunes jej nie znał. Co go zresztą obchodziło na świecie prócz rzeczy, które mogły posłużyć do zohydzenia Porungasów.

Więc jednoręki, nie przerywając roboty, opowiedział historję, którą słyszał od swego ojca, wielkiego Teixeriny, tracza, cieszącego się opinją dobrego znawcy drzewa.

— W każdym lesie — to są słowa mego ojca — opowiadał jednoręki — jest jedno drzewo mściwe, które karze złość ludzką. Żyłem w lasach całe życie, miałem do czynienia z rozmaitemi drzewami; ścinałem embauvasy, embirussusy i nawet drzewka balsamowe, co się tutaj nie zdarza. Sypiałem— hej! ileż to razy na warsztacie. Tak i stałem się jak zwierz dziki. Przestając wciąż z drzewami, doszedłem do przekonania, że mają duszę jak ludzie.

— Boże nas strzeż od złego — rzekł Nunes, kichając.

— Tak mi mówił mój stary — ciągnął dalej jednoręki.—Ja tam nie mam żadnego zdania. „Drzewa mają duszę" powtarzam jego słowa „ponieważ cierpią, ponieważ płaczą". Czy nie widzisz, jak niektóre z nich padając jęczą, jak inne wylewają łzy, które kapią i na słońcu zamieniają się w żywicę? Tedy mają duszę, ponieważ wszystko na tym świecie jest stworzeniem Boskiem".

— No, a dalej! — rzekł Nunes.

— „Otóż — mówił mój ojciec — w każdym lesie jest drzewo, niewiadomo jakie, które inne jakby kupiły, żeby je pomściło. To drzewo zaczarowane".

„Biada temu, kto mu zanurzy siekierę w sercu. Może polecić swoją duszę djabłu. Jest zgubiony".

„Albo się nadzieje na jaki ostry pniak, albo spadająca zgóry gałąź roztrzaska mu głowę, albo zabije go jaka z drzewa zrobiona maszyna. Tak czy owak nie uniknie swego losu i na nic się nie zdadzą wszystkie ostrożności. Dziś czy jutro dosięgnie go nieszczęście".

— Oto co mi mówił mój ojciec. Co do mnie widziałem wiele rzeczy. Pamiętasz przy wyrąbywaniu lasu w Figucirao umarł syn Chica Peres. Ścinał właśnie gumowca, gdy nagle jak krzyknie. Ludzie się zlecieli. Chłopak miał piersi przebite na wylot. Co mu się mogło stać? Nikt nic nie zrozumiał. Mój ojciec zamyślił się i powiada: „To drzewo zaczarowane".

A ile podobnych wydarzeń! Aż się roi od nich na świecie. Naprzykład: Sebastjanek z Ponte Alta: zbudował sobie dom; sam ściął drzewo na szczyt. A tu właśnie szczyt się zawalił i roztrzaskał mu głowę. To też mój ojciec, jako człowiek doświadczony, zanim się wziął do roboty, rozpytywał zawsze, czy w okolicy nie było jakiego wypadku. A to, by się przekonać, czy czary już były wypuszczone, czy jeszcze zamknięte w drzewie i odpowiednio sobie postępował.

Takiemi to dykteryjkami jednoręki urozmaicał sobie godziny pracy, wykończając podporę.

Wreszcie m o n j o l o był gotów. Uradowany Nunes widział już pierwsze marzenie swych przyszłych wielkości prawie urzeczywistnione. Pozostawało tylko wprawić w ruch maszynę. Drobnostka. To też uradowany głaskał dłonią karminową perobę.

— Dobrze się popisałaś, moja stara! Utarłaś nosa tym pyszałkom, hi, hi!

Wrócili wcześnie tego dnia do domu, by uczcić godnie ten fakt przy pomocy baryłki wódki z trzciny cukrowej, którą do połowy wypróżnili.

W kilka dni potem m o n j o l o, dobrze już umocowany, dopasowany, był gotów na przyjęcie wody. Gdy otwarto rurę, woda chlusnęła gwałtownie, wypełniła kadź i spłynęła do ścieku. Maszynerja zajęczała na podporze i wyprostowała się. Tłuk spadł energicznie do moździerza. Paf! Nunes podskakiwał z radości.

— Widzicie teraz, przeklęte Porungasy, kto to jest Joao Nunes Eusebio de Ponte Alta.

Dzieciaki podniosły straszny wrzask, klaszcząc w ręce z radości, wystraszony Brinquinho szczekał zdaleka; to jednak nie wystarczało Nunesowi. Pobiegł po fuzję, nabił ją i, wycelowawszy w stronę sąsiadów z za góry, wystrzelił. Ale stara kapiszonówka nie podzielała jego zapału, wyrzuciła tylko kapiszon, a potem sza! Nunes mierzył z niej jeszcze czas jakiś, czekając na wystrzał, poczem, gdy zbyt długo zwlekała, rzucił broń daleko od siebie, zakląwszy szkaradnie.

Przypomniał sobie, że ma jeszcze trzy petardy, pozostałe z jakiejś uroczystości: nastawił je w kierunku Porungasów.

— Powąchajcie mi ten proch, dranie jedne!

Na nieszczęście zwilgotniałe race nie chciały się również zapalić.

— Wszystko spala na panewce, kumie. Chodźmy się przekonać czy i baryłka także spaliła na panewce.

Nie spaliła.

A dowód, że po pewnej chwili chrapali obaj jak dwa dydelfy.

Nazajutrz jednoręki wrócił do Ponte Alta, ku wielkiej rozpaczy Nunesa, który tracił w nim króla kompanjonów.

Co się tycze monjola, z braku kukurydzy czekano na zbiory, żeby go wypróbować.

Deszcze pory ciepłej ustały. Przyszło lato świeże i pogodne. Liście kukurydzy pożółkły; dojrzałe kolby pochyliły się. Zaczęto je zrywać.

Niecierpliwy Nunes wyłuskał pierwszy koszyk ziarna i napchał niem moździerz.

Niestety! niema zupełnego szczęścia na tym świecie. Próba nie powiodła się. Mlewa nie było. Trzon nie dopasowany do wydrążenia nie działał prawidłowo. Tłuk, czy to, że był za lekki, czy też z przyczyny jakiejś wady w równowadze podpory, zbaczał na lewo i wyrzucał kukurydzę nazewnątrz.

Na dobitkę moździerz przy pierwszym deszczyku zaczął nabierać wody. Zrobiono go z popękanego drzewa. Nie był nic wart.

Nunes pohamował gniew i zabrał się do naprawy niedoborów. Zmniejszył przeciwwagę, powiększył prąd wody, tu coś zacieśnił, tam poluźnił, pozatykał szpary piaskiem. Całe dnie trawił na tej głuchej walce z wybrykami źle dostosowanej maszynerji. Ale szatański gruchot po każdej naprawie psuł się jeszcze gorzej.

Wreszcie biedaczysko Nunes wybuchnął. Z ust jego potoczyła się cała litanja przekleństw na tego łotra Teixurę.

— A! niegodziwy partacz! Sam djabeł się go wyparł.

Po przekleństwach nastąpiły groźby. Pójdzie do Ponte Alta i wytataruje mu skórę jak rzeszoto. Wybije mu drugie oko.

Jego niemądra żona chciała też dorzucić swoje trzy grosze.

— A mówiłam. A ostrzegałam cię. Ale jak kto ma tępą głowę...

Nie skończyła. Nunes chwycił za kij i biorąc w zapamiętaniu złości nieszczęsną swą połowicę za znienawidzonego partacza, sprawił jej takie lanie, że murzynby od niego zbielał.

— A masz, psie! A masz, przeklętniku! Ja cię nauczę stawiać m o n j o l a, lucyperze!

I walił ile wlazło.

Żona, wrzeszcząc wniebogłosy, uciekła do lasu, a za nią cała czereda wystraszonych dziewcząt. Musiała potem przez cały tydzień smarować się

MARJA BUYNO-ARCTOWA

PERŁY KSIĘŻNICZKI MAJI



„..I pozornie zaginęła wszelka pamięć o dziwnych przygodach małej księżniczki i o jej perłach. Lecz tylko pozornie. W rzeczywistości nie ustawały domysły i najfantastyczniejsze przypuszczenia, krążące około zniknięcia Maji. Szeptano sobie pocichu, iż to księżna-pustelnica ukryła ją w jakimś oddalonym klasztorze przed złym grafem, który knuł wrogie zamiary przeciwko dziecku dla jakichś tajemniczych celów. Mała Maja traciła przez to świetność i blask, jaki jej dało urodzenie, lecz unikała złej doli i nieszczęścia. Inni znów gotowi byli wierzyć fantastycznej opowieści, iż mała księżniczka sama, za namową łabędzia, który był zaczarowanym królewiczem, uciekła w świat, by ocalić czarodziejskie perły. Byli i tacy, którzy twierdzili, iż to zły graf, a właściwie zły Czarownik, bo za takiego uchodził często właściciel Czarnego zamczyska, porwał małą księżniczkę i trzyma ją uwięzioną, żądając wyjawienia tajemnicy, gdzie ukryła perły.

W długie wieczory zimowe prządki przy kądzieli snuły wciąż nowe opowieści o zniknięciu małej księżniczki, a podawane z ust do ust stawały się coraz fantastyczniejsze i coraz dalsze od tego, co było lub mogło być.

Aż księżniczka Maja i jej perły stała się księżniczką z bajki, jednej z tych, których tak wiele krąży między ludźmi, dając im chwile zapomnienia i uciechy, pobudzając serca do żywszego bicia, wyciskając łzy wzruszenia lub uśmiech szczęścia.

Ach! Kto tam pyta, czy są bajką, czy nie bajką!"

A kto zapyta — otrzyma, tak, jak Błękitny Chłopiec, odpowiedź ustami Nieznanej Dziewczynki: — „To Życie śpiewa swą najcudniejszą baśń — Baśń Szczęścia!..."

A że Szczęścia na świecie niewiele, że go trudno znaleźć — każde dziecko, a dorosłym także dobrze by to zrobiło, powinno przeczytać tę ostatnią książkę M. Buyno-Arctowej.

WYDAWNICTWO ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35

160 stronic z 10 czarnemi i 3 barwnemi, całostronicowemi rycinami, w pięknej, kolor. okładce.

CENA ZŁ. 8.—

GŁOSY PRASY O TEJ KSIĄŻCE:

Jan Lorentowicz pisze w „Expresie Porannym":

..Najwięcej właśnie talentu ujawniła autorka, znana pisarka dla młodzieży, w tem zacieraniu granic pomiędzy zjawą a rzeczywistością. Współżycie młodziutkiej księżniczki Maji z drzewami i roślinami parku i z łabędziami na stawach ma w sobie urok niepowszedni. Autorka wyczuwa bardzo subtelnie czary natury a wyobraźni dziecięcej podsuwa bardzo ładny świat przeżyć. Jedna to z najlepiej napisanych książek dla młodzieży, jakie mi się zdarzyło czytać w ostatnich latach...

Z. Dębicki pisze w „Kurjerze Warszawskim":

..„Perły księżniczki Maji", z ilustracjami A. Gawińskiego, należą do najlepszych książek gwiazdkowych w plonie tegorocznym. Wartość ich pedagogiczna określa triumf dobra nad złem, zwycięstwo jasnych, słonecznych mocy, to znaczy prawdy i piękna nad tem, co im się w życiu przeciwstawia...

maściami; tak była posiniaczona. Ale Nunesowi zrobiło to dobrze. Żółć mu się ulała i uspokoił się.

Wieść o tych zdarzeniach doszła wprędce do uszu Porungasów.

Pedro rozpromieniony nie mógł się pohamować. Chciał na własne oczy zobaczyć maszynę, która go tak sprawiedliwie pomściła. Ułożył sobie cały plan w głowie i przeszedłszy na drugą stronę wzgórza, skierował się prosto do domu przeciwnika.

Gdy wrócił, trzymał się za boki od śmiechu.

— Hi! hi hi! moje dzieci. Powiadam wam, nie macie pojęcia. Jeszczem nie przeszedł na drugą stronę, kiedy usłyszałem harmider, jakgdyby tam wszyscy djabli młócili. No, myślę, hałasuje zdrowo. Hi! hi! hi! Podchodzę. Nunes siedzi na progu i łuska kukurydzę. Kiedy mnie zobaczył, stropił się widocznie i przerywa sobie robotę. Ale ja staję przed nim i mówię: „Co u licha; dwóch ojców rodziny, a zwłaszcza dwóch sąsiadów, nie może tak przez całe życie boczyć się na siebie. Co minęło, to minęło. Nie mówmy o tem. Podajmy sobie dłonie.

Spojrzał zukosa w stronę owego harmideru, hi, hi, hi, i widocznie zbity z pantałyku, wyciąga do mnie rękę, nie otworzywszy gęby. Potem obraca się do środka i woła: „Podaj-no tam kawy". Zerknąłem do kuchni. Same baby. Ano, zaczynam gawędę. On mi odpowiada, ale się rozmowa nie kleiła. Wreszcie biorę na odwagę: „A cóż m o n j o l o, sąsiedzie? Idzie?" Nunes pożółkł jak cytryna.

— Ano, nieźle. Nieźle.

— Z przeproszeniem, chciałbym zobaczyć.

Nie ruszając się z miejsca, odpowiada: „A to idźcie".

Idę tedy i własnym oczom nie wierzę.

— Matko Boska! Ależ to przecież nigdy nie było m o n j o l o ani tu, ani u samego djabła. Wszystko pokiełbaszone, powiązane łykami. Nie widać nic, tylko same kołki, ciężarki. Trzon ma dziewięć piędzi, a otwór, o ile mi się zdaje, dziesięć.

— Quia, quia, quia — zagadano dokoła, bo już oni się tam wszyscy na m o n j o l o s a c h znali.

— Tłuk, moje dzieci, nie waży nawet półtorej arroby *) Trzon spartolony krzywi się. Na ziemi pełno kukurydzy, aż biało. Trzon w swoją stronę, a tłuk w swoją. Matko Boska! co za partanina!

Małe Porungaski aż się oblizywały.

— Ale co huczeć, to huczy!

— Ba! sprawiedliwie. Ale do mielenia! Jak wół do roboty. Nie zmiele i trzech litrów przez noc. Moje dzieci, trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć.

Twarze Porungasów zasępione od czasu ścięcia peroby, rozpromieniły się znowu uśmiechami sarkazmu i zemsty. A chmury, które krążyły nad nimi, powędrowały zaciemnić niebo w Varjao.

*) Arroba — rodzaj ciężarka do ważenia, coś w rodzaju funta. — (Przyp. tłum.).

Zaczął się odwet. Cała rodzina była niezmordowana w wymyślaniu coraz nowych, śmiesznych szczegółów. Ojciec narysował główny kontur, a synowie dodawali, każdy inną ozdobę, tak że wkrótce biedny m o n j o l o stał się pośmiewiskiem całego sąsiedztwa. Dość było go wspomnieć, aby ludzie zaczęli się pokładać ze śmiechu.

Doszło to do uszu Nunesa. Duma jego, rozrosłszy się bujnie podczas epoki megalomicznych marzeń, zeschła się, jak przedwcześnie zerwany zielony owoc. Nie mogąc się pomścić na nieszczęsnym m o n j o l o, znienawidził biedaka i wprost patrzeć nie mógł, jak ten dniem i nocą klekotał, mieląc jak na kpiny. A Nunes coraz częściej szukał pociechy w wódce, upijając się jak nieboskie stworzenie.

Żona jego, rozczochrana i cała w łachmanach, krzątała się koło gospodarstwa, straciwszy wszelką nadzieję, żeby taki człowiek mógł się kiedykolwiek poprawić.

Pernambi, zawsze chełpliwy jak ojciec i bardziej rozwydrzony niż kiedykolwiek, sprawiał wrażenie zdziecinniałego staruszka. Trzymał wciąż fajkę w ustach i grzmocił swoje siostrzyczki, aż się rozlegało.

Brinquinho stracił zupełnie wiatr. Siedząc na zadzie, oglądał się to na prawo, to na lewo i trząsł łbem, nie wiedząc co myśleć o swoich państwu.

I tak to trwało całe miesiące.

Wreszcie przyszło nieszczęście. Czy stało się to za sprawą zaczarowanego drzewa, czy nie, dość, że niewinny zapłacił za winnego, co jest w porządku sprawiedliwości biblijnej.

Pewnego pięknego dnia Nunes dowiedział się, że José Cuitelo nazwał swoją sparszywiałą kobyłę „harmiderką".

To dopełniło miary!

— Nawet ten pies Cuitelo — jęknął biedaczysko, tuląc do serca butelkę.

Pociągnął jeden łyk i zawołał:

— Chodź, mój mały Pernambi, chodź. Napij się z ojcem, synku.

Dzieciak nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy. Pociągnął jeden łyk, potem drugi, potem trzeci i mlasnął językiem.

Reszta butelki zniknęła w gardle jego życiodawcy.

Pernambi, odurzony oparami alkoholu, siedział czas jakiś, myśląc o niebieskich migdałach, potem wyszedł.

Nunes wyciągnął się na słońcu, by uciąć drzemkę.

Był to spokojny sierpniowy dzień. Niebo zaciągnięte mgłą, słońce czerwone, bez blasku, chylące się ku zachodowi. Z góry spadały zwolna spalone żarem listki s a m a m b a i, zataczając w powietrzu koła.

Po upływie godziny pijak obudził się i potoczył dokoła przygasłym wzrokiem.

Myśli i aforyzmy:

— „Jakto, ja mam drzwi za sobą zamykać — słyszane to rzeczy! Dlaczego nie ma ich zamknąć tamta pani, która widocznie boi się przeciągu; dlaczego nie ma ich zamknąć kto inny — lecz koniecznie ja? Paradne sobie!" —

* * *

„Gdy człowiek ma egzemę, uczuwa wtedy tak piekielną ochotę podrapania się, że trzeba być nadczłowiekiem, aby móc się temu oprzeć. Że zaś drapanie w tym wypadku wywołuje ujemne skutki, tedy kto ma egzemę, a nie jest nadczłowiekiem — niech każe sobie skrępować ręce. Komu zaś wpadła w oko cudza żona, niech idzie na szosę i niech cały dzień tłucze kamienie, niech to powtórzy i drugiego dnia, ale sumiennie, nie pokładając rąk; trzeciego dnia już żadne niebezpieczeństwo cudzemu statkowi małżeńskiemu nie będzie groziło".

* * *

„Uderzmy się wszyscy ilu nas jest w piersi i powiedzmy, czy nie przeżywaliśmy chwil, w których nawiedzały nas cudne i przeponętne wizje, o których jednak wstyd nam było głośno mówić.

Przypuśćmy, że jestem artystą i dziś rano ukończyłem chef d'oeuvre mojej sztuki — przepyszną Nanę w bardzo uroczym, lecz zawstydzającym momencie, być może iż sam przeżyłem z Naną ów moment, co pozwoliło mi w arcytwór mój włożyć wiele szczerości i dzięki temu mój talent wspiął się na niesłychaną wyżynę. Bo szczerość, to skrzydła talentu!

Czy wystawię ten obraz? (Nie)".

* * *

„Ja prawię do słupa o logarytmach, lub o cnocie — słup ujawnia doskonałą obojętność. Co prawda z takąż drewnianą obojętnością będzie w tym samym wypadku milczał doskonały matematyk, bardzo przytem cnotliwy, lecz nie znający języka, w którym przemawiam.

Wreszcie, łotr, wyćwiczony w matematyce i rozumiejący po polsku — w sprawie logarytmów będzie mi przytakiwał, ale namawianie do cnoty sprawi na nim taki sam skutek jak na słupie, gorzej, bo w skutku mojej przemowy może czynnie, a w sposób dla mnie niemiły, zamanifestować swą niechęć dla cnoty.

* * *

„Ja z pewnością nie będę tym, ktoby mszycę zaprawiał do rozpoznawania zapachów perfum, ani was do rozpoznawania tego, co cnota, co wdzięk, co dobro, co piękno. Nie jesteście niemowlętami, ja zaś nie mam składu smoczków i buteleczek do mleka, ani nie wyrabiam leków dla neurasteników, ani narkotyków, ani papki wzmacniającej. Radźcie sobie sami — to jedyna rzecz uczciwa. Ale głupstw nie prawcie."

* * *

„...Najgorliwiej szuka człowiek tych rzeczy, których wcale nie zgubił. Któż z większem zacietrzewieniem i z większem poirytowaniem szuka okularów, gdy nie ten, co ma je na nosie! Gdy człowiek ma prawdę w sobie, wtedy teleskopem poszukuje jej na niebie."

— Co się stało z Pernambim? — zapytał siedzących w pobliżu córeczek. Małe nie wiedziały.

— Zawołajcie mi Pernambiego — wybełkotał pijak i zaczął znowu drzemać, kiwając się.

Jedna z dziewczynek pobiegła na poszukiwanie brata. Nunes ledwo mógł otworzyć oczy. Głowa jego chwiała się, jakby mu kto szyję skręcił. Z ust ciekła mu spieniona ślina, a wraz z nią padały urywane słowa bez związku.

Nagle krzyk przeraźliwy woddali wstrząsnął domkiem.

— Mamo! na pomoc!

Kobieta wybiega za zagrodę, rozgląda się na wszystkie strony i pędzi, skąd idzie głos. Dziewczynki wystraszone lecą za nią prosto do monjola.

Krzyki rosną, krzyki boleści, rozpaczy.

— O! moje biedne dziecko! — wrzeszczy woddali matka.

Nunes podnosi się, opiera o odrzwia i mruczy:

— Co tam u licha takiego?

Wtem natyka się na żonę, która wraca roztargana, mówiąc sama do siebie.

— Co się stało, żono? — pyta Nunes.

Nieszczęśliwa przeszywa męża spojrzeniem nieopisanej wściekłości.

— Co się stało? To twoja robota, przeklęty pijaku. Twoje obmierzłe chlanie to sprawiło, niegodziwcze. Idź zobacz! Idź zobacz, obwiesiu.

Nunes, zataczając się, idzie.

I trafia na straszliwy widok.

Pośród wrzeszczących dziewczynek chude ciało Pernambie'go, który wpadł głową naprzód w moździerz. Wątłe nożyny wiszą nazewnątrz. A monjolo niewzruszony wznosi się i opada, wznosi się i opada, miażdżąc jakąś czerwoną masę, złożoną z mąki, mózgu i porośniętej włosami skóry.

Opary alkoholu rozwiewają się i Nunes, oszalały, chwyta za siekierę, zgrzytając zębami i rycząc:

— Przyszedł dzień! Przekleństwo!

I nastąpiła ponura scena.

Szaleniec z rykiem wściekłości walił siekierą w krwiożercze monjolo. Jeden cios w trzon: „Masz, Belzebubie". Jeden w tłuk: „Masz, djable". Jeden w moździerz: „Pęknij, szatański synu".

I ciach! ciach! ciach! dziesięć, dwadzieścia, sto ciosów siekierą, jakich najmocniejszy drwal-by się nie powstydził.

Het, daleko latały wióry, różowe wióry peroby. I odłamki, i strzępy!...

Długo trwał tragiczny pojedynek szału i bezdusznej materji.

Wkońcu, gdy przeklęty monjolo był już tylko stosem bezkształtnych kawałków, nieszczęsny ojciec runął zadyszany na ziemię, tuląc w objęciach martwe ciało syna. A drżące jego ręce grzebały w moździerzu, szukając brakującej główiny.

KONIEC.

Przemysł i Ekonomika

(Dalszy ciąg ze str. 19)

ku 1845 stwarza przedsiębiorstwo Waterbury Brass Co.; w r. 1853 — Holmes, Booth i Heydens; w r. 1869 — Holmes, Booth i Atwood, obecnie pod firmą Plume i Atwood. Był on więc założycielem sześciu wielkich przedsiębiorstw mosiężnych, w tej liczbie trzy były prowadzone bezpośrednio przez niego. Wszystkie te przedsiębiorstwa, z wyjątkiem jednego, są czynne dotychczas albo jako spółki niezależne, albo jako przedsiębiorstwa wchodzące w skład innych firm. I. Holmes był zwolennikiem teorji, że przemysłowe przedsiębiorstwo jest najwięcej wydajnem, kiedy zatrudnia około 1.000 do 1.500 ludzi. Poniżej tej liczby jest ono za małe; ponad tę liczbę — za duże. Zakładał on więc jedno przedsiębiorstwo po drugiem, rozwijał go mniej więcej do tej wielkości, odprzedawał go i następnie znów zaczynał od początku. Ciągłość i trwałość jego pracy oraz przedsiębiorstw, które stworzył, stawiają na porządku dziennym zagadnienie, czy przypadkiem nie miał on słuszności i czy nie należałoby dziś istniejące warunki poddać rewizji z punktu widzenia tej teorji. Należałoby też wyjaśnić, czy istnieją w niektórych przynajmniej gałęziach przemysłu tendencje w kierunku przekraczania granic w sprawie traktowania rozmiarów przedsiębiorstw. Takie kwestje wymagają interwencji ekonomiki.

SPRAWA ROBOTNICZA.

W obszernej dziedzinie spraw robotniczych ekonomista jest czynnikiem niezbędnym. Zarówno przedsiębiorca, jako też i przewódcy ruchu robotniczego nie mogą lekceważyć sobie tej pracy, jaką ekonomiści już dokonali i mogą jeszcze wykonać w tej dziedzinie. Im zawdzięczamy gruntowne studja, przeprowadzone nad kwestją nominalnych i rzeczywistych płac zarobkowych we wszystkich główniejszych gałęziach przemysłu i we wszystkich krajach, sięgając wstecz aż do czasów średniowiecza, oraz nad kwestją cen i historji perjodycznych fluktuacyj i przyczyn tych ostatnich. Nie wielu kierowników przemysłu, bezpośrednio zajętych zagadnieniami spraw robotniczych, uświadamia sobie tę okoliczność, że wiele z tych ciężkich warunków pracy, w jakich oni się znajdują, nie są czemś nowem, że warunki te powtarzają się w następstwie szerokich wahań konjunktur gospodarczych. Jako przykład tych korzyści, które czerpiemy z prac ekonomistów, mogą służyć studja, wykazujące nam z dostateczną jasnością, jak w każdym okresie wzrostu cen, poprzedzającym dobre konjunktury, masy robotnicze stają się agresywne, płace zarobkowe rosną, związki zawodowe uzyskują nowych członków, wzmaga się ich siła i działalność. Okres świetnych konjunktur mija i wraz z następującym po nim zastojem z nieubłaganą koniecznością występują całemi serjami odporne strajki, z wynikiem przeważnie niepomyślnym, w celu utrzymania wysokich płac poprzedniego okresu; słabnie też jednocześnie ruch związkowy. W związku z takiemi objawami następuje też zawsze okres wzmożonych eksperymentów socjalnych, zbaczających często na tory politycznego szarlatańśtwa etc., dopóki nie zacznie świtać znów okres pomyślnego rozmachu gospodarczego, dając początek nowemu cyklowi przemian ekonomicznych. Dzieje rozwoju przemysłowego Stanów Zjednoczonych, poczynając od r. 1830, pokazują nam, jak ściśle określonemi są te cykle ekonomiczne, wyjaśniają nam poza tem tę poszczególną fazę rozwojową, w której się obecnie znajdujemy, oraz tłumaczą nam przyczynę i istotę istniejących zaburzeń robotniczych.

Konkretyzując te powyżej wypowiedziane myśli, pragnęlibyśmy w następujących wskaźnikach przedstawić ściśle określone i praktyczne drogi, prowadzące do możliwie ścisłego i korzystnego zbliżenia się ekonomiki z przemysłem.

Wskazanem jest:

a) Poświęcanie więcej czasu na czytanie prac z dziedziny ekonomiki, historji przemysłu oraz ruchu robotniczego; dotyczy to zarówno przemysłowców i kierowników przemysłu, jak i przewódców ruchu robotniczego.

b) Wydawanie więcej książek, traktujących o sprawach ekonomicznych i socjalnych, któreby jednak dały się czytać. Ekonomika jest nader żywotnym przedmiotem, dotyczącym każdego człowieka. Zarówno kierownicy przemysłu jak i szeroka publiczność czytaliby niezawodnie książki ekonomiczne, gdyby były łatwo pisane. Większość ich obecnie do czytania się nie nadaje.

c) Nauczanie zdrowych zasad ekonomicznych na uniwersytetach, politechnikach, w szkołach średnich i in. zakładach naukowych i wogóle udostępnianie ich szerszemu, niż dotychczas, ogółowi.

d) Popularyzowanie i zużytkowywanie w większym zakresie wszystkich źródeł informacyj ekonomicznych i statystyki: rządowej, przemysłowej, finansowej etc.

c) Badanie warunków ekonomicznych oddzielnych gałęzi przemysłu przez odnośne zrzeszenia, celem udzielania pożytecznych informacyj i źródłowych danych drobniejszym członkom zrzeszenia, firmom bowiem większym są one łatwiej dostępne.

f) Rozpowszechnienie systematycznych badań w zakresie źródeł, ilości i cen surowców i materjałów, zużywanych w różnych gałęziach przemysłu, oraz rozwój środków uprzystępnienia szerokiemu ogółowi wszystkich tych informacyj.

Jeżeli ekonomiści i przedstawiciele przemysłu pójdą ręka w rękę w kierunku osiągnięcia tych celów, wówczas wzmoże się efektywna wartość nauk ekonomicznych i korzyści stąd wypływające odczują w równej mierze przedsiębiorcy i robotnicy, jak również i całe społeczeństwo.

Pukajcie, a będzie Wam otworzono...

(Dalszy ciąg ze str. 23).

nald Mc Kenna, doniosła w swym raporcie, iż Niemcy w samych tylko Stanach Zjednoczonych posiadają ulokowanych $ 1.300.000.000. Ile zaś pieniędzy inwestowali Niemcy w przedsiębiorstwach i bankach Anglji, Szwajcarji, Włoch, Hiszpanji, w Skandynawskich krajach, w Południowej Ameryce i na Wschodzie?

Omawiając następnie rozkosze niemieckich turystów po całej Europie, ich zakupy surowców w Ameryce, ich luksusowe uczty berlińskie, pos. Andrew w ten sposób kończy swą przemowę: „Jeżeli zamożniejsze warstwy społeczeństwa niemieckiego pozwalają sobie na takie rozkosze, o których tylko co wspomniałem; jeżeli urodzaje w Niemczech są dobre; jeżeli niema trudności w sprowadzaniu z zagranicy potrzebnych im produktów; jeżeli mają w naszym kraju ogromną sumę $ 1.300.000.000; jeżeli mogą zakupywać u nas miedź, bawełnę i inne surowce w ogromnych ilościach — w imię czego, pytam, mamy Niemcom robić prezent w sumie $ 10.000.000 kosztem naszych własnych obywateli?" (Remarks of Hon. A. Piatt Andrew in the House of Representatives, March 24, 1924, Washington).

Taka odprawa, wyniesiona na forum spraw międzynarodowych, nie zraża jednak Niemców w ich wytrwałem i wszelkiego naśladowania godnem dążeniu do zdobycia środków pieniężnych dla odbudowy swego państwa. Oczywiście wysiłki swe kierują już nie na drogę kwesty, lecz tranzakcyj handlowych i finansowych. Jakie rozmiary przyjęły te wysiłki, sądzić możemy z listu pewnego przedsiębiorstwa nowojorskiego (Niemiecko-Amerykańska S. A.), rozesłanego do wszystkich izb i towarzystw handlowych w Niemczech i opublikowanego w amerykańskiem piśmie „Exporters and Importers Journal" z dn. 15 sierpnia b. r. Z listu tego dowiadujemy się, że w okresie ostatnich kilku miesięcy bardzo wielu kupców, przemysłowców i finansistów niemieckich przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, w celu uzyskania kredytu w jakiejkolwiek bądź formie. Więcej jednak, niż osobistych wizyt, przywozi codziennie poczta niemieckie prośby i propozycje, skierowane do różnych banków i przedsiębiorstw w tym samym celu. Zarząd wspomnianej spółki widzi się zmuszonym zwrócić uwagę sfer zainteresowanych w Niemczech na bezcelowość tych wysiłków, przynajmniej w najbliższych miesiącach, ponieważ „warunki dla dokonywania poważniejszych operacyj kredytowych w Stanach Zjednoczonych jeszcze nie dojrzały".

Z chwilą jednak załatwienia na Konferencji Londyńskiej kwestji spłat reparacyjnych ze strony Niemiec, warunki te najzupełniej dojrzały.

I tu właśnie natychmiast zaczęły wydawać owoce wszystkie te wysiłki niemieckie, które jeszcze kilka tygodni temu uważane były jako bezcelowe i bezowocne. Kwestja kredytowania Niemiec — zarówno rządu, jak przemysłu i całej gospodarki niemieckiej — jest dominującą obecnie w sferach finansowych Ameryki.

Poważniejsze banki amerykańskie poczyniły przygotowania do skoncentrowania ogromnych sum na pożyczkę państwową niemiecką w myśl planu Dawes'a.

Lecz sumy, zebrane na państwową pożyczkę, mają być tylko częścią tych ogólnych kredytów, jakie Ameryka zamierza udzilić prywatnym przedsiębiorstwom niemieckim. Oto co w tej sprawie mówi nie kto inny, jeno sam minister skarbu Stanów Zjednoczonych, Mr. Mellon, w dniu swego przyjazdu z Europy do Ameryki w początkach września b. r.: „Już i obecnie banki amerykańskie użyczają kredytu Niemcom, lecz ogólna suma kredytów, jaka popłynie stąd do przemysłu i handlu niemieckiego, bezwątpienia znacznie przewyższy tę sumę, jaką Niemcy otrzymują tytułem międzynarodowej pożyczki, w wysokości $ 200.000.000. („New York Times", Sept. 5).

O tem samem mniej więcej mówi bankier nowojorski, H. Murray Jacoby, — że najtrudniejsze czasy już minęły i że kapitał amerykański podąży obecnie do Niemiec. Obawiać się trudności z powodu tego, że jakoby plan Dawes'a nakłada na przemysł niemiecki zbyt wielkie ciężary, niema racji bytu, ponieważ ogólny przyrost roczny oszczędności Niemiec przed wojną przewyższał 30 razy tę sumę, jaka jest potrzebną na spłaty procentów oraz na amortyzację zaciąganego obecnie długu.

Co się tyczy formy, w jakiej kredyt będzie udzielany, to ogólne mniemanie sfer bankowych nowojorskich jest takie, iż początkowo będą to krótkoterminowe zobowiązania wielkich firm niemieckich, gwałtownie potrzebujących kapitału obrotowego; zobowiązania te będą w końcu b. r. lub na początku przyszłego wymienione na długoterminowe obligacje. Taki plan, jak mówią bankierzy, „jedną kulą zabija naraz trzy zające: będzie pomocą dla niemieckich przedsiębiorstw; użyzni grunt pod przyszłe interesa dla banków i wreszcie plan ten w żadnej mierze nie stanie wpoprzek drogi niemieckiej rządowej pożyczce". („New York Times", Sept. 9).

Zjawia się też zaraz w Nowym Jorku, między innymi, bankier berliński, Kurt Seelig, w celu zaciągnięcia pożyczki dla kilku przedsiębiorstw niemieckich w wysokości $ 25.000.000. „Kapitał potrzebny jest Niemcom — mówi on — w celu nabycia surowców dla uruchomienia fabryk i zatrudnienia bezrobotnych. Amerykańscy inwestorzy otrzymają nie tylko znaczny procent od swego kapitału, lecz i pierwszorzędne zabezpieczenie na hipotekach fabrycznych oraz na towarach złożo-

nych na składach. Banki nasze będą płaciły 6 do 9% za pieniądze do zapotrzebowania, oraz 10 do 12% za pieniądze z miesięcznym terminem. Obecnie nasze banki pobierają 20% za krótkoterminowe pożyczki, co doszczętnie rujnuje nasz przemysł; jednak nawet i na taki procent pieniędzy w bankach niema". (New York Times", Aug. 25).

W ostatnim czasie jeden tylko bank nowojorski w przeciągu jednego tygodnia otrzymał zgórą sto podań o udzielenie kredytu niemieckim firmom; w mniejszej ilości otrzymują takie propozycje wszystkie inne banki amerykańskie. Obliczają, iż suma wymaganych dotąd przez Niemców kredytów sięga kwoty $ 1.000.000.000. („New York Times", Sept. 5).

W tych doskonale zharmonizowanych głosach Niemców, wołających o pomoc amerykańską, dźwięczą też czasami i inne tony, tony utajonej groźby na wypadek, jeżeli pomocy tej nie uzyskają. Oto co mówi następca tronu „niekoronowanego króla Rzeszy Niemieckiej" — Dr. Edmund Stinnes: „Zdolność Niemiec do wypełnienia zobowiązań, wynikających z tytułu planu Dawes'a, jest uzależniona w przeważnej mierze od rozmiarów tego kapitału amerykańskiego, który będzie wlany w niemiecki organizm ekonomiczny. — Nie mamy żadnych iluzyj co do wielkości ciężarów przyjętych przez siebie z racji umowy Londyńskiej. Lecz świat cały musi być ostatecznie przeświadczony o naszej niezłomnej gotowości do ekonomicznej pacyfikacji Europy. — Jeżeli zaś tego nie będzie, nie bacząc nawet na pakt Londyński, nie my będziemy temu winni". („New York Times", Sept. 1).

W taki więc niezmordowany sposób przeorywuje potężny pług niemiecki grunt psychiki, nastrojów i świadomości amerykańskiej. Czyż można się po tem wszystkiem dziwić, jeżeli z takiego gruntu wschodzi urodzaj pełen powodzenia? Czy w samej koncepcji planu jenerała Dawes'a nie tkwi zjawa spirytystyczna niemiecka, objawiająca się na seansach magnatów finansowych Ameryki? Niewątpliwie przyszłe badania zdemaskują tu niejedno medjum i ukażą światu realną mechanikę nowoczesnej międzynarodowej polityki.

Urodzaj ten daje już plony i nie czekając początku subskrybcji państwowej pożyczki, Ameryka finansuje już przemysł niemiecki w nader hojny sposób. Oto kilka ważniejszych operacyj finansowych, załatwionych na rynku amerykańskim w ostatnich czasach.

Grupa banków nowojorskich z potężnym „Equitable Trust Company" na czele sfinansowała pożyczkę w wysokości $ 10.000.000 dla pewnego syndykatu węglowego w zagłębiu Ruhry. Ma to być narazie sześciomiesięczna pożyczka z prawem prolongaty w zależności od warunków, jakie będą istniały w tym terminie. („Journal of Commerce", Sept. 8).

Ten sam bank „Equitable Trust Co" zawarł tranzakcję z niemiecką „Devisenbeschaffungsstelle", na mocy której niemiecki przemysł cukrowniczy uzyskuje $ 4.000.000. Kredyt ten oparty jest na sześciomiesięcznych wekslach na $7\frac{1}{2}$ i 8%; oprócz tego regularnego procentu ustanowiona jest jeszcze komisja w wysokości $\frac{1}{3}$%. Właściciele cukrowni uzyskują gotówkę pod zdeponowane w „Devisenbeschaffungsstelle" certyfikaty eksportowe na cukier. W ten sposób przedsiębiorstwa uzyskują kapitał obrotowy.

Drugą gałęzią przemysłu, która uzyskała już kredyt w Ameryce, jest przemysł potasowy. Dwa banki nowojorskie—Chase National Bank oraz International Acceptence Bank — sfinansowały pożyczkę wekslową w kwocie $ 6.000.000.

Dochodzą do pomyślnego końca pertraktacje o udzielenie chemicznemu przemysłowi niemieckiemu $ 40.000.000. Szczegóły tej tranzakcji będą w najbliższym czasie opublikowane („Journal of Commerce", Sept. 11).

Grupa niemieckich banków hipotecznych znalazła w Ameryce nabywców na swe 8% obligacje na sumę kilku miljonów dolarów. („Jour. of Com.", Sept. 13).

Ogółem obliczają, że Niemcy otrzymali już takiemi drobnemi partjami około $ 100.000.000, z których znaczna część przypada na niemiecki „Schacht Gold Bank". Bank ten jeszcze w kwietniu b. r. uzyskał $ 5.000.000, lecz suma ta — jak pisze „The Economic World", May 3 — miała takie znaczenie, jakgdyby wynosiła $ 50.000.000, ponieważ była pierwszą, która otworzyła handlowe kanały między Rzeszą Niemiecką a Stanami Zjednoczonemi.

M. H. SZPYRKÓWNA

Gwiazdy i dolary



Nowa gwiazda literatury polskiej — autorka książek: „Gwiazdy i dolary", „Będziesz Maleńką", „Człowiek, który zwarjował", „Pierwiosnki", „Wielki Cham" i „Grzech". Powieść „Grzech", której pierwszy rękopis zginął w Rosji, została nanowo opracowaną i stanowi początek „Wielkiego Chama". Obecnie szanowna autorka pracuje nad nową fascynującą powieścią p. n. „Prorok z Puszczy", opartej na filmopisie jednego ze znanych byznesmenów kinematograficznych w Polsce, który się kryje pod pseudonimem Fr. Odrowąż. Powieść tę zaczniemy drukować w przyszłym numerze.

(Ciąg dalszy) 11)

Broadway wieczorem! Królestwo świetlnej reklamy, specjalności amerykańskiej, doprowadzonej do poziomu sztuki. Cudzoziemiec, który o zmierzchu wyjdzie na Broadway w New-Yorku — bo mało które miasto nie ma swego Broadwayu — czuje się porwanym w potężny wir ruchu, dźwięku i barw. Wspaniałe szyby wystaw jarzą się światłami, snopy świateł tryskają w pomysłowych rozplotach nad teatrami i kinami, lśnią się tęczą lampek u wejścia do restauracji, a nadewszystko mienią się i nikną, wykwitają i mierzchną znów wysoko ponad dachami właściwe reklamy świetlne— specjalnie i nieraz bardzo artystycznie a zawsze— pomysłowo skombinowane napisy, figury, postacie i rzeczy. Wygląda, jakgdyby w nieogarnionej wysokości odbywała się mistyczna, świetlna feerja, wyczarowana laską maga na szafirowo-czarnej opończy nocy. Światło jarzy się, mieni jak kameleon tysiącem tęcz, wzmaga się, blednie, łamie się w szeregi liter, wyodrębnia kształty ptaków, ludzi i zwierząt, wykwita cudownemi złocieniami niewidzianych na ziemi kwiatów. Mimo cały bezmiar wystaw sklepowych i reklam malowanych, mimo przepych ulicy i bogactwo tłumu, który sunie dołem: przechodzień nie może po raz pierwszy oderwać oczu od tej bezgłośnej sarabandy świateł, roztańczonej w powietrzu i przykuwającej blaskiem. Czy jest to prymitywne, dziecinne niemal sprowadzenie sztuki do krzykliwych efektów? Czy — krzykliwy efekt, podniesiony do poziomu sztuki? Trudno zadecydować, i zresztą niema celu. Amerykanie to robią dla—interesu. Wygra ten, czyj pomysł i wykonanie pobiją inne—prosta zasada konkurencji. Ale pomarańczowo-złoty kot o czerwonych źrenicach, zwijający na wysokości szesnastego piętra zieloną włóczkę z kręcącego się tęczowego koła na kłębek, który następnie goni po dachach i znów nawija już w zgoła innym kolorze—nie zdaje się wiedzieć wcale, że służy tylko jako reklama firmie pończoszniczej. Zwija, śmiga kłębek, gaśnie i znów zwija, tuż przed szkołą tańców, na której szyldzie sześć wylampkowanych na tęczowo figurynek tańczy ceremonjalnie menueta w coraz to innych strojach, a na co wszystko zgóry spogląda rozkładający i zwijający wspaniały wachlarz ogona, samotny, dumny paw. Szczególne, świetlne, oderwane od ziemi misterjum barwnych zjaw!

O tem, jak kolosalny nakład techniki i kosztu może być zużyty w Ameryce na cele zupełnie prymitywne dla interesu, można się najdowodniej przekonać na owej wspomnianej już Coney Island. Zapomnieć o tej instytucji nie jest łatwo choćby dlatego, że wieczorem rozmaite przecznice obok wielkich ulic są obstawione autobusami, kaptującemi przechodniów na wycieczkę.

— Coney Island! Śpieszcie na Coney Island! Ostatni czas, abyście zwiedzili niezrównane atrakcje Coney Island! — wrzeszczy zachrypłym głosem taki autobusowy antreprener, biegając przed przechodniami i wymachując rękami.—Tylko dwa dolary od osoby za miejsce w autobusie! Korzystajcie ze sposobności!

Publiczność powoli się ładuje, i skoro wóz jest skompletowany, impressario nareszcie wieńczy swoją osobą miejsce obok szofera i auto rusza. Automobile w Ameryce jeżdżą szybko, nie wyłą-

czając nawet, kiedy wiozą na cmentarz nieboszczyka. To też w jakąś godzinę przecinamy miasto, począwszy od centrum i aż po najbardziej chińskie zakamarki. Wydostajemy się na pustkowia podmiejskie, mijamy dziwnie nieufne mosty i tunele, stworzone dla bandytów, i wreszcie docieramy do oazy świateł, po której rychło poznajemy, że to jest właśnie widziane już z morza, przybrzeżne dziw-zjawisko. Wyładowujemy się, z prawem zajęcia miejsca z powrotem w pierwszym lepszym autobusie, płacimy jakieś bilety przy jakichś okienkach i wreszcie wpychamy się w bramę Sezamu, która się za nami zatrzaskuje. Już!...

Morze światła! Mrużymy oczy i nie orjentujemy się wcale, co to jest. Wiemy z pewnością jedno, że stoimy na ziemi. Wszystko naokoło natomiast lata, skacze, wiruje i chwieje się w sposób zgoła obłąkańczy. Jakieś fruwające przed nami nogi, kopyta, koła, potwory, wiatraki... Powoli posuwamy się naprzód. Jesteśmy na olbrzymim placu, terenie rozmaitych atrakcyj. Są tam karuzele, wirujące stoły, zębate koła, kręcące się fotele, zapadające się podłogi, woskowe góry, nieruchome bieguny, łodzie spadające z piątego piętra na wodę z dwunastu pasażerami, sunące labirynty i tysiąc innych rzeczy, których ani zapamiętać, ani nazwać, ani obejrzeć niema możności. Zbita ciżba przy każdej takiej atrakcji, zbita ciżba przy kioskach z chłodnikami i łakociami, zbita ciżba w rozrzuconych tu i tam kawiarniach i restauracjach, ciżba wszędzie! Gdzieś strzelają rakiety, gdzie indziej świetlne węże wylatują w powietrze i opadają snopami iskier, jeszcze w innem miejscu wybuchający sporadycznie, przeciągły zbiorowy wrzask wieści o jakiejś szczególnie fascynującej sztuce.

— To kolej piekielna! — Informują bywalcy. — Dla amatorów najsilniejszych wrażeń!

Za silne wrażenia na całym świecie płaci się osobno, to też dokupujemy jakieś kartki i jesteśmy za nową bramą, już na terenie piekła. Sapristi Christi! Światła gdzieś poznikały, ponury i dziwaczny krajobraz wyrasta niespodziewanie, jak w teatrze. Niemniej, jest prawdziwy. Kotlina między skalnemi złomami, dzikie głazy sterczące tu i tam, a roztwierające się w małą płaszczyznę — maleńkie szyny, na szynach — lilipucie wagoniki, jak dla dzieci, tworzące pociąg — zabawkę. Właściwie, są tylko ławki na dwie osoby, zamykane drzwiczkami jak w kościele — dachu niema. Za kolejką w skale — czarna gardziel tunelu. Przed nią — to samo. Po ławeczkach już pełno par, które się kurczowo trzymają pod ręce, czepiając się wolną ręką poręczy. Mężczyźni ironicznie zaciekawieni, kobiety drżą z emocji i chwytają się sąsiadów. Siadamy i w niczem nie odstępujemy od ogólnego nastroju. Co w tej czarnej dziurze będzie? Brr!

— Ostatni sygnał, kolejka rusza!... — Woła donośnie taki artysta od piekła. — Trzymać się mocno poręczy! Nie wychylać, i, w razie czego, nie tracić przytomności! Panie o słabych nerwach proszone są raczej o pozostanie! Ostatni czas!..

— Ach! Ach! Ach! — rozlega się w rozmaitych dialektach po rozmaitych ławkach. To nerwowe panie dają o sobie znać. Wpijają się spazmatycznie w ramię towarzysza, ale żadna wysiąść nie chce. Piekielnik wsiada sam, coś gwiżdże, coś dzwoni, słychać zgrzyt, przeciągły wrzask jadących, przeciągły wrzask oczekujących na swoją kolej — i piekielne wagoniki znagła, jakby poderwane niesamowitą siłą, zrywają się z miejsca i na łeb, na szyję lecą w czarną dziurę, nieomal prostopadle w dół.

— Huaa! Huaa! — rozlega się szatański chichot pod sklepieniami. Najbardziej udane dziecię szatana i sowy nie mogłoby wydać doskonalszego wrzasku, i to jest ostatnie wrażenie, jakie podróżujący kolejką piekielną osobnik uświadomić sobie może. Dalsze dzieje są nieuchwytną dla słowa orgją mroków, czerwonych ślepi, nagłych przepaści, w które ostatni wagon, zlatując, widzi pierwszy pod sobą, nagłe szczyty, kiedy pierwszy wagon widzi ostatnie prostopadle pod sobą, głowy, ręce, nogi i korpusy podskakujące w dziwnych rzutach naprzód, wtył, wbok, nadół, szalony świst wiatru w uszach, piekielny łoskot pod sklepieniami, dusza, która ucieka z ciała, serce, wyraźnie skaczące do gardła i opadające znów, niemilknący na chwilę wrzask kobiet, umyślne podgwizdy i skowyty mężczyzn, chaos ruchu, mroku i lecącej naoślep zwarjowanej maszyny, istne, autentyczne, patentowane piekło i — nareszcie!... przeciwległy otwór tunelu, z którego wylatujemy na placyk, gdzieśmy wsiadali. Ufff!...

Myślałby ktoś może, że tu się zatrzymujemy? Bynajmniej. Amerykanin lubi czuć, za co płacił swoje dolary. Jedziemy, nie zatrzymując się jeszcze raz i jeszcze raz. Wówczas nareszcie wyładowujemy się, ale nie możemy odmówić sobie satysfakcji przyjrzenia się, jak będą wsiadali inni. Ceremonja się powtarza, i dopiero kiedy z mroków tunelu słyszymy niesamowite: — Huaaa! — odchodzimy z pewną kompensatą, że nie nas jednych to spotyka. Nawiasem mówiąc, antreprenerzy wynajmują podobno specjalistów od robienia popłochu, którzy jadą za darmo, byle tylko krzyczeli. Bez sensacji połowa przyjemności poszłaby na marne; zresztą, nastrój się udziela.

Udziela się też i nam, i tarzamy się w rozkoszach technicznych Coney Island w sposób niepowściągliwy, walcząc o rekord. Rzucamy się w fotele, które się kręcą, umocowane na kole, które się kręci w inną stronę, skutkiem czego głowa delikwenta unosi się w powietrze i buja nieodpowiedzialnie aż do ukończenia tortury. Siadamy w łódkę na kółkach, ulokowaną na wielopiętrowej wysokości i decydujemy się na to, że tu już nadszedł nasz koniec, gdyż oszalałe kółka pędzą zawrotnie po pochyłym pomoście wdół, potem

zawisają w przestrzeni na zawrotnym poziomie nad jeziorem, potem tracimy wzrok, słuch i przytomność, i odzyskujemy je dopiero pod wpływem potężnego plusku, z jakim spadamy na fale. Publiczność na brzegu wrzeszczy, my zaś odskakujemy od wody trzy razy, jak płaski kamyk, i wypływamy z wdziękiem na spokojne nurty, bez kropelki na włosach ani ubraniu, poczem dumnie lądujemy wprost w objęcia karuzeli. Przechodzimy szereg innych dziwnych tortur, kręcimy się, zderzamy, podskakujemy, zapadamy się i tak bez końca, aż, na kwadrans przed ostatecznem skonaniem, decydujemy się coś zjeść, i już tylko od stolika patrzeć na obłąkane widowisko. Zjadamy wieloraką serję mięczaków, (bo to wyspa) ogromnie obrzydliwych i niezmiernie kosztownych, jesteśmy zdumieni, zachwyceni, porwani atrakcjami Coney Island, opuszczamy ją z prawdziwym żalem i, niespodzianie dla siebie, znagła wyznajemy sobie wzajemnie, że jednak w ciągu najbliższego roku noga nasza tu więcej nie stanie; są wrażenia, które ogromnie zyskują na tem, aby je przeżywać w odpowiednich odstępach czasu. I podczas gdy autobus nas trzęsie z powrotem ku miastu, decydujemy, że cudzoziemiec, zwiedzający Amerykę, nie może nie być na Coney Island, ale że dwa razy być na Coney Island zdolen jest tylko — tubylec.

* *

Trójbarwny Sztandar—z trzech pasów szyt!
Twój tatuś jest Żyd! Twój tatuś jest Żyd!
Twej matce w kędziorach włos spływa na brew
— A tyś jest ich krew!...

Czyli: — Gwiazdy gwiazdami, ale ty, Abramku czy Chaimku, zbytnio się nie przejmuj tą amerykańską wolnością, która ma na drugie imię asymilacja. I, mimo wszystko, pamiętaj, że Amerykaninem będziesz tylko dla byznesu. Bezinteresownie zaś, naprawdę, to będziesz zawsze Żydem, którego dobry Jehowa nie poto wywiódł z niewoli egipskiej, aby go oddać w niewolę amerykańską lub jaką bądź inną. A kto wie nawet, czy twojej mamie nie poto włosy się kręcą, żebyś rozumiał, że ty czasem możesz się też kręcić, choćby i za amerykańskim sztandarem. Ale czyś widział taki głupi włos, coby z głowy sam wypadł a do czego innego z dobrej woli przyrosnął? Nu, to i ty z narodu izraelskiego nie wyjdziesz a do żadnego innego nie przyrośniesz, pfuj... Choćby ci nie wiem co o asymilacji i braterstwie narodów opowiadali, — amen.

Trzeba jednak na tem samem miejscu przyznać, że nieraz w sklepie, restauracji, poczekalni i t. d. ten lub ów ogromnie amerykański przygodny świadek naszej polskiej rozmowy zwracał się niespodzianie z charakterystycznym gardłowym akcentem:

— Państwo są tyż z Polski? No, co tam teraz u nas słychać?...

I słuchając, jak obecnie dzieje się z tem czy owem „u nas“, kiwał głową, krzywiąc usta w iście żydowskim, szyderczym i żałosnym pół-grymasie. Poczem tłumaczył szeroko, jak wiele lepiej — istotnie — jest mu w tej równej i wolnej Ameryce, i jak tu jest wszystko sprawiedliwie, i jak tu doskonale można żyć. W końcu zaś tych wywodów, u każdego inaczej, lecz u wszystkich to samo, wypływało niespodziane pytanie.

— Państwo są z Warszawy... To może państwo byli kiedy i w Wolbromiu? Tam są lasy, piękne lasy w tym Wolbromiu, ts! ts! jakie lasy!... Bo ja to tam się chował, jak był małym bojsem!... Ciekawe, czy ten Wolbrom taki i dzisiaj jest?...

Jednego interesuje Wolbrom i lasy, drugiego — Piaseczno i rzeka, trzeciego jeszcze co innego, ale każdego — to, co go otaczało w dzieciństwie, spędzonem w okropnej ruderze wypchanej betami i robactwem, jakiemi do dziś dnia świecą i długo świecić będą nasze Wolbromie, Sokołowy i Piaseczna. Istotnie, w Ameryce mieszka, ubiera się i żyje inaczej. A jednak na jakiejś niteczce jak na pajęczynce przeciągniętej przez Atlantyk z Piaseczna do New-Yorku, rozświetla się czasem, w chwili sentymentu, maleńka tęcza. Tęcza, przeznaczona może nie Polsce, pewno i nie walącej się w błoto ruderze z betami. Ale przeznaczona o tyle Polsce i o tyle ruderze, że one to właśnie stanowiły ów kraj wyśpiewany przez wieszczów, ale odczuty przez najuboższego nędzarza, choć sam może tego nazwać nie zdoła: — kraj lat dziecinnych.

*
* *

Zwiedzając Ellis Island — wyspa amerykańska, przez którą Ameryka filtruje wychodztwo pod względem sanitarnym, formalnościowym i każdym — smutne zresztą, jakkolwiek wzorowo obstawione miejsce — widzieliśmy postać szczególniejszą. Była to Żydówka, stara jak sama ziemia. Siedziała sztywno na krześle przy oknie, wyglądającem na jakiś ślepy mur i patrzyła przed siebie nieruchomemi, zasnutemi bielmem oczami, w wysokim czepcu z kwiatami i wstęgami nad pergaminową twarzą i w smoliście czarnej peruce. Na mantylę zwieszała się zżółkła jak jej skóra, nitka pereł. Siedziała nieruchomo wpatrzona przed siebie i wydawała się tak niewiarogodnie zgrzybiała, że zwróciliśmy na nią uwagę. Oprowadzająca nas sanitarjuszka wytłumaczyła, że przybyła tutaj, sprowadzona przez dzieci, które dobrze stojąc materjalnie, chciały matce zapewnić spokojną starość w rodzinie. W drodze zapadła jednak na jakieś złośliwe zakażenie oczu i odsiaduje kwarantannę, która będzie przewlekła. Przytem wydaje się, że ma nostalgję, jakkolwiek trudno zrozumieć, co mówi. Potrafi tak siedzieć całemi dniami bez ruchu, a co szepce, trudno dociec, bo mówi, zdaje się, w żargonie.

— Przybyła z Polski!... — dodała uprzejmie: może państwo się będą umieli z nią porozumieć?

Wyraziliśmy wszelką gotowość, ale mimo żeśmy stanęli tuż niemal przy jej twarzy, stara ani drgnęła. Patrzyła przez nas, jak przez pustą przestrzeń. Na pytanie pielęgniarki nie powiedziała nic.

— Nie słyszy — powiedziała po polsku jedna z naszych pań. — A może nawet nas nie widzi?...

Wtedy bławe, zasnute źrenice starej Żydówki drgnęły w swej nieruchomości i sztywno podniosły ku nam bielma. A z wyschniętej szpary warg wydobyły się z wysiłkiem chropawe i bezbarwne słowa, z których usłyszeliśmy tylko w trybie pytania:

— Sind sie gekim aus Częstochowa?...

Nieszczęściem, powiedzieliśmy, że z Warszawy. Natychmiast straciła dla nas całe zainteresowanie i popadła w uprzednią martwotę. Nie mogliśmy się jej już dobudzić żadnemi sposobami. Jedynie zaklęte słowo: Częstochowa — otwierało zamykające się już dla życia drzwi świadomości; jedynie ten obraz wzniecał w zagasłych oczach słabą iskierkę życia. I kiedy za godzinę wracaliśmy przez tę samą sztywną, jasną, nieposzlakowanie czystą i szpitalnie chłodną w swej urzędowości salę, siedziała na tem samem miejscu, w tej samej wyprostowanej postawie, z temi samemi martwemi, patrzącemi wprost oczami. I zdawało się, że ta dogorywająca powłoka człowieka czeka jedynie na takiego, któryby na jej pytanie: — Sind sie gekim aus Częstochowa?... — odpowiedział: Tak! — A usłyszawszy je, przyjmie to za ostatnie namaszczenie, i odda w spokoju Przedwiecznemu ostatnią iskierkę życia, wydartego rodzinnej ruderze w Częstochowie. *(c. d. n.)*

Gwiazdy o miłości

(Dalszy ciąg ze str. 15)

Teraz wiem, że takie uczucie nie może bvć trwałem i nie daje prawdziwego szczęścia. Taka fałszywa miłość przynieść może nędzę jedynie i cierpienie.

Miłość prawdziwa, ta, która trwa i aż do starości jest przyjaźnią i szczęściem, musi polegać na wzajemnym szacunku i zaufaniu. Taka przyjaźń



Klisza „Paw-filmu"
Alice Terry.

idealna oparta jest na podobieństwie zainteresowań w stosunku do ludzi, książek i przyjemności.

Najpiękniejsze związki, zawarte między mymi przyjaciółmi, zaczęły się przyjaźnią, która rozwinęła się potem w miłość cudowną.

Jak jestem pewną życia i śmierci, tak samo wiem: Bez szacunku wzajemnego i zaufania niema mowy o trwałej miłości.

Woodrow Wilson o książce

Wielki twórca „Trzynastu Punktów" i „Ligi Narodów" był zapalonym miłośnikiem książki. Z dzieła jego p. t. „Byt Ludzki" przytaczamy szereg myśli o tej najwierniejszej przyjaciółce człowieka.

„Najrzadszym rodzajem książek" — rzekł pan Bagehot — „jest rodzaj książek nadających się do czytania, najdoskonalszym stylem zaś—styl godny człowieka".

Doświadczenie istotnie wskazuje nam, że pomiędzy górami książek, które zjawiają się co roku, bardzo mało jest stworzonych istotnie do czytania. Jedne z nich powstały jako temat do rozważań i roztrząsań, inne mogą, a przynajmniej powinno się tego spodziewać, nas kształcić lub informować, pognębiać lub też podnosić na duchu, oburzać lub bawić — ale my czytamy, posiadając pociąg do lektury i smak swobodnego miłośnika, nie dlatego aby stać się więcej uczonymi — ale, aby wymknąć się na chwilę z tego ciasnego koła codziennego życia, które nas więzi i gnębi.

My szukamy w książkach zadowolenia, a więc żmudnie dążymy do powiększania naszych wiadomości, radujemy się, widząc w książkach świat ludzi, świat czynow. Żądamy od książek przyjacielskości i odświeżenia duszy, wzbogacenia myśli i dobrego, wiernego towarzystwa w tym najszerszym ze światów.

Ludzie istotnie kochający mistrzów, których dzieła można naprawdę czytać i z którymi można się duchowo jednoczyć, nie mogą nie patrzeć bez oburzenia na rozszczepianie całości utworów, na przykłady gramatyczne, na wyrywanie żywcem z tekstu poszczególnych „wadliwych" zdań i pokazywanie nagich i drżących ciekawym widzom. Bezsprzecznie w każdym utworze musi być układ gramatyczny, ale powstaje to w sposób podświadomy, każde zaś zdanie ujawnia swe znaczenie w sposób bezpośredni, gdyż bezpośrednią jest myśl żywa, a nie martwym obrazem zręcznie zmyślonym i opracowanym. „Zmiłujcie się, nie tykajcie się tekstu", mamy ochotę krzyknąć: „czyż nie rozumiecie, że utwory stracą całą swą wartość, gdy je rozczłonkujecie, przestaną być dawnymi dobrymi, szczerymi przyjaciółmi?

Mówiąc, że książka jest godną czytania, nie chcemy przez to zaznaczyć, że winniśmy ją studjować. Nie uczymy się przecież ani pięknego opowiadania, ani poematu, którego czar nas przykuwa, ani pieśni bojowych—ani nawet rozważań tyczących się specjalnie żywotnych zagadnień z dziedziny Czynu. Wiele jest rzeczy na świecie, których nie trzeba wcale się uczyć: powstają one w naszej świadomości same, nie dając nam możności zbadania, w jaki to uczyniły sposób. Pamięć o nich trwa w nas, niesposób ich zapomnieć lub je oddalić. Stają się one częścią naszej istoty, jako osobiste doświadczenia i przenikają do najtajniejszych skrytek naszego umysłu.

Gdy pochłaniamy książki godne czytania, nie czynimy tego dla zaspokojenia naszego pożądliwego apetytu, który szukałby w nich swego pokarmu — te same książki przez swe zalety podniecają w nas żądzę umysłowe. Nie czytamy, aby skrócić czasu, lecz raczej aby go przedłużyć i do naszych wolno wlokących się chwil dodajemy życie nowe, pełne, świetniejsze; do naszych myśli i przeżyć dodajemy nowe myśli, inne przeżycia.

W dzieciństwie każda książka wydaje się nam cudowną, nowe światy przed zachwyconem, bezkrytycznem okiem — odkrywającą, opowieścią; w miarę jednak tego, jak starzejemy się — książki, wraz z nami, stają się mniej cudowne. Gdy przewracamy czasem karty zamierzchłych opowieści dzieciństwa — pytamy ze smutkiem: — gdzież podział się ten tak piękny, cudowny świat — sen dzieciństwa?

— Ideałem prawdziwego człowieka może być tylko ideał duchowy, przebywający w najczystszych regjonach ducha, na najwyższych szczytach wzniesień.

— Gdy mówimy, że nasz ulubiony twórca pisze jak Człowiek — jest to dowodem naszego największego, szczerego zachwytu. On jest tym, który każe nam ludzkość miłować; w tem wszystkiem, co on mówi, jest szlachetny zapał, który w nas oddźwięk znajduje, prawdziwy dowcip, zrozumienie istoty rzeczy w połączeniu, z pewnym umiarem w myśli i formie.

Prawdziwy twórca daje nam przestrzeń i jasność, w których jasno zarysowuje się całokształt wszechrzeczy, występują najaw barwy istotne, nie zaś nastrój pracowni lub sal uczelni.

— Nie żądamy od gramatyków, by poezje pisali; od filologów — powieści. Wszyscy ci ludzie stracili kontakt ze wszechświatem i nieznacznie stali się zwykłymi wyrobnikami szarego dnia codziennego. Nie zwracamy się również ani do handlowców, by tworzyli systematy ekonomji politycznej, ani do zawodowych polityków, aby wiedzę o rządzie państw nam wykładali — my zwracamy się do Ludzi o wszechobejmującym widnokręgu myślowym i wszechobejmującem uczuciu.

(Tłum. St. Centk.)

DO CZYTELNIKÓW

Poznanie—to oręż, którym torujemy sobie drogę w wędrówce życiowej. Nie darmo też prof. Z. Łempicki nawołuje do stworzenia u nas „nauki o zagranicy", by, poznawszy ją, tem snadniej orjentować się w kulturze, gospodarce i polityce świata całego.

W tej nauce o zagranicy miesięcznik „Ameryka-Polska" zajął już dawno ściśle określone i zdecydowane miejsce: sięga on do źródeł samych najzdrowszej i najtęższej cywilizacji nowoczesnej—do poznania Ameryki, która w tak przeogromnej mierze wpływa dziś na kształtowanie się losów Europy i innych części świata.

Samego jednak poznania nie wystarcza. Chodzi o to, by poznanie w czyn praktyczny zamienić, by wszelką myśl nową, a dobrą i celową odlać niezwłocznie w formę rzeczy, w kształt trwały. W ten tylko sposób przebudowywać starą i budować nową będziemy Polskę zdrową, silną, a więc i szczęśliwą.

W tej pracy ciężkiej, lecz wielkiej i wdzięcznej, nasi Czytelnicy muszą przyjąć jak najżywszy udział, jeżeli w nich żarzy się jeszcze ogień patrjotyzmu. Bowiem — niechaj to nie będzie paradoksem—Polak dzisiejszy jest najmniej patrjotycznym obywatelem pośród narodów Europy zachodniej, nie mówiąc już o obywatelach Stanów Zjednoczonych, którzy swój Sztandar Gwiaździsty stawiają wyżej ponad wszystko, chyba tylko na równi z Bogiem!

Poznając więc ten kraj wielki i jego patrjotyzm najwyższy, ucząc się nowych prawd życia, współpracując z Redakcją naszego pisma, propagując jego idee i jednając mu nowych zwolenników, nadsyłając nam swe prace, artykuły, autoreferaty wydanych dzieł z zakresu spraw, objętych naszym programem, Czytelnicy przyczynią się do stworzenia placówki, z której na kraj cały będzie promieniował entuzjazm do pracy gospodarczej, tej zwykłej i przyziemnej pracy. Z niej, jak ze źródła, wytryska dobrobyt ogólny i kultura najszczytniejsza.

ULGI DLA PRENUMERATORÓW

Pragnąc uprzystępnić swym Czytelnikom nabycie dobrych i poważnych książek, Redakcja porozumiała się z wydawnictwami i uzyskała ulgowe warunki dla prenumeratorów „Ameryki-Polski" na szereg książek, których opis podajemy na str. 71. Zwłaszcza:

BIBLJOTECZKA EKONOMICZNO-SPOŁECZNA

złożona z 10 tomików prac polskich ekonomistów, powinna znajdować się wszędzie.

Cena 10 tomów — 17 zł.
dla prenumeratow 10 „

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO

Okładka pomysłu i wykonania artysty-malarza i ilustratora *Antoniego Gawińskiego.*

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna	zł. 27.—	Roczna	dol. 5.50
Półroczna	„ 14.—	Półroczna	„ 2.75
Kwartalna	„ 7.50	Kwartalna	„ 1.50

Numer pojedyńczy . . . zł. 2.50

Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT. Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl. Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK. M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.